

# John le Carré

Mistrz powieści szpiegowskiej powraca z książką,  
której głównym bohaterem jest George Smiley.

## Szpiegowskie dziedzictwo



WYDAWNICTWO  
SONIA DRAGA

# John leCarré

## Szpiegowskie dziedzictwo

Z języka angielskiego przełożył  
Jan Rybicki



Tytuł oryginału:  
A LEGACY OF SPIES

Copyright © David Cornwell, 2017  
Copyright © 2018 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga  
Copyright © 2017 for the Polish translation by Wydawnictwo Sonia Draga

Projekt graficzny okładki: Mariusz Banachowicz

Redakcja: Bożena Sęk  
Korekta: Maria Zając, Joanna Rodkiewicz, Marta Chmarzyńska

ISBN: 978-83-8110-399-2

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione i wiąże się z sankcjami karnymi.

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!  
*Polska Izba Książki*

Więcej o prawie autorskim na [www.legalnakultura.pl](http://www.legalnakultura.pl)

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o. o.  
ul. Fitelberga 1, 40-588 Katowice  
tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28  
e-mail: [info@soniadrage.pl](mailto:info@soniadrage.pl)  
[www.soniadrage.pl](http://www.soniadrage.pl)  
[www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga](https://www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga)

E-wydanie 2018

Skład wersji elektronicznej:

**virtualo**  
[konwersja.virtualo.pl](http://konwersja.virtualo.pl)

# Spis treści

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

Podziękowania

Przypisy

# 1

Niniejszy tekst to próba jak najwierniejszego opisu mojego udziału w brytyjskiej operacji dezinformacyjnej o kryptonimie „Fuks”, skierowanej przeciwko wschodnioniemieckiej agencji wywiadowczej Stasi pod koniec lat pięćdziesiątych i na początku sześćdziesiątych XX wieku, zakończonej śmiercią najlepszego brytyjskiego agenta, z jakim przyszło mi kiedykolwiek pracować, i niewinnej kobiety, za którą oddał życie.

Zawodowy oficer wywiadu podlega takim samym uczuciom jak cała reszta rodzaju ludzkiego. Dla agenta liczy się tylko to, czy potrafi je w sobie zdusić, wszystko jedno, czy w czasie rzeczywistym czy – tak jak w moim przypadku – pięćdziesiąt lat później. Jeszcze kilka miesięcy temu, gdy nocą leżałem w łóżku w położonym na odludziu gospodarstwie w Bretanii, wsłuchując się w porykiwanie bydła i kurze swary, z głębokim przekonaniem zagłuszałem oskarżycielski głos sumienia, które od czasu do czasu usiłowało zakłócić mi sen. Przecież byłem wtedy zbyt młody, zbyt niewinny, zbyt naiwny, zbyt niski stopniem. Szukasz winnych – odpowiadałem sumieniu – to męcz nie mnie, tylko tych mistrzów mistyfikacji: George’a Smileya i jego pana Kontrolera. Przecież to ich wyrefinowanej chytryści, ich pokrętnemu akademickiemu sposobowi myślenia, nie mojemu, zawdzięczamy wielki sukces i wielki żal, które przyniosła nam operacja „Fuks”. Dopiero teraz – gdy niejako zostałem wywołany do tablicy przez Firmę, której poświęciłem najlepsze lata życia – przychodzi mi na stare lata wyznać całą prawdę o blaskach i cieniach mojego udziału w całej sprawie.

Zasadniczo nie wiem, jak to się stało, że dałem się zwerbować do Intelligence Service – do „Cyrku”, bo tak my, młodzi gniewni, nazywaliśmy angielski wywiad w tych dawnych i podobno dobrych czasach, gdy jego siedzibą była nie groteskowa forteca nad Tamizą, lecz barchanowo-wiktoriańska kupa czerwonych cegieł na łuku Cambridge Circus. Jest to dla mnie taka sama tajemnica jak okoliczności moich narodzin. Nic dziwnego, jedno z drugim jest ze sobą nierozzerwalnie związane.

Mój ojciec – właściwie go nie pamiętam, więc co wiem, wiem od mamy – był utracjuszem z angielsko-francuskiej rodziny z Midlands, człowiekiem ulegającym rozlicznym zachciankom, spadkobiercą szybko topniejącej fortuny. Jego jedyną pozytywną cechą była miłość do Francji. Latem roku 1930 bawił u wód w nadmorskim kurorcie Saint-Malo na północnym wybrzeżu Bretanii, gdzie uczęszczał do kasyn i domów rozpusty, czyli wiódł światowe życie. Tak się złożyło, że w tym samym mieście przebywała wtedy moja matka, licząca sobie lat dwadzieścia i wypełniająca tam powinności druhny na ślubie bogatego handlarza bydłem. Tak przynajmniej twierdziła. Była moim jedynym źródłem w tej kwestii, a że nie miała najmniejszych skrupułów, by rozmijać się z niewygodną dla niej prawdą, nie wykluczam, że znalazła się tam w mniej cnotliwym celu.

W każdym razie zawsze opowiadała, że wypiuwszy o jeden kieliszek za dużo, wraz z drugą druhną ulotniły się z wesela i w eleganckich strojach ruszyły na zatłoczoną promenadę,

gdzie wkrótce pojawił się też mój ojciec. Matka była ładna i płocha, jej towarzyszka znacznie mniej. Nawiazali burzliwy romans, o którego szczegółach matka jakoś wolała nie opowiadać, za to zaraz musiał odbyć się drugi ślub, bo już byłem w drodze. Ojciec najwyraźniej nie zaliczał się do wielkich zwolenników małżeństwa – nawet na początku związku częściej był nieobecny niż obecny.

Ale teraz cała ta historia nabiera cech heroicznych, bo nadeszła wojna. Wojna, jak wiadomo, zmienia wszystko, mojego ojca też więc zmieniała. Kiedy wybuchła, zaczął nachodzić brytyjskie Ministerstwo Obrony i ofiarowywał swe usługi każdemu, kto chciałby z nich skorzystać. Matka twierdziła, że pragnął w pojedynkę ratować Francję po klęsce. Nawet jeżeli u podstaw tego patriotycznego zapału leżała chęć znalezienia się jak najdalej od rodziny, to tej herezji nie wolno mi było wypowiadać w obecności mamy. Anglicy właśnie stworzyli Kierownictwo Operacji Specjalnych, które według słynnych słów samego Winstona Churchilla miało „wzniecać pożary w całej Europie”. Portowe miasteczka na południowo-zachodnim wybrzeżu Bretanii – a już szczególnie nasze kochane Lorient, dawna baza francuskiej marynarki wojennej – były już wtedy głównym schronieniem niemieckich łodzi podwodnych. Ojciec pięciokrotnie lądował na spadochronie wśród bretońskich równin, sprzymierzał się z każdym oddziałkiem ruchu oporu, na który trafił, nieźle napsuł krwi Niemcom i wreszcie zginął w nader nieprzyjemny sposób – w gestapowskiej katowni w Rennes, tym samym bardzo wysoko zawieszając dla syna poprzeczkę poświęcenia i patriotyzmu. Oprócz tego pozostawił mi w spadku jeszcze tylko niczym nieuzasadnioną wiarę w angielski system oświaty oparty na elitarnych szkołach prywatnych. Choć jego niczego nie nauczyły, mnie skazał na ten sam los.

Ale pierwsze lata życia spędziłem niczym w raj. Matka gotowała i opowiadała, dziadek był szorstki w obejściu, lecz miał dobre serce, w gospodarstwie niczego nam nie brakowało. W domu mówiło się po bretońsku. W parafialnej szkółce w naszej wsi prześliczna młoda zakonnica, która kiedyś spędziła pół roku w Huddersfield jako piastunka do dzieci, uczyła mnie podstaw angielskiego i – zgodnie z prawem – francuskiego. W wakacje gonilem na bosaka po otaczających nasze gospodarstwo polach i pagórkach, zbierałem dla mamy grykę na *galettes*, karmiłem starą maciorę Fadette i bawiłem się jak szalony z innymi dziećmi ze wsi.

Przyszłość dla mnie nie istniała. A potem objawiła się nagle.

Grubaska nazwiskiem Murphy, kuzynka mojego nieżyjącego ojca, odebrała mnie z objęć mamy w Dover i wzięła do siebie do Ealing. Miałem osiem lat. Z okna wagonu zobaczyłem po raz pierwszy balony zaporowe. Przy kolacji mąż pani Murphy oświadczył, że za parę miesięcy wojna się skończy, pani Murphy, że nie. Żeby ich rozumiał, mówili powoli i wielokrotnie powtarzali jedno i to samo. Następnego dnia pani Murphy wzięła mnie do Selfridges i kupiła mi szkolny mundurek – na wszystko skrzętnie brała rachunki. Następnego dnia już stała na peronie dworca Paddington i uroniła łezkę, gdy machałem do niej nowiutką szkolną czapkę.

Nie będę się rozwodził nad zarządzoną przez ojca anglicyzacją. Trwała wojna, ale szkoły musiały jakoś funkcjonować. Nie byłem już Pierre, tylko Peter. Moją nędzną angielszczyznę wyszydzały koledzy, bretońską francuszczyznę – zrozpaczeni nauczyciele. Mimochodem powiedziano mi, że moja wioska Les-Deux-Églises została zajęta przez Niemców. Listy

od mamy, jeżeli w ogóle przychodziły, to w brązowych kopertach z angielskimi znaczkami i londyńskimi stemplami. Minęło wiele lat, nim potrafiłem wyobrazić sobie, przez ile musiały przejść bohaterских rąk, by trafić do mnie. Wakacje były dla mnie jednym pasmem letnich obozów i rodzin zastępczych. Szkoły przygotowawcze z czerwonej cegły ustąpiły po jakimś czasie granitowoszarzym szkołom prywatnym, ale program był zawsze taki sam: taka sama margaryna, takie same kazania o patriotyzmie i Imperium Brytyjskim, taka sama bezsensowna przemoc, obojętne okrucieństwo oraz niezaspokojony i niewspominany popęd seksualny. Pewnego popołudnia wiosną 1944 roku, niedługo przed lądowaniem w Normandii, dyrektor szkoły wezwał mnie do siebie i oświadczył, że ojciec zginął śmiercią żołnierza i że mam być z niego dumny. Więcej nie może powiedzieć, bo to tajemnica państwowa.

Miałem lat szesnaście, gdy po szczególnie nudnym semestrze wróciłem – niedouczony angielski niedorostek – do wyzwolonej Bretanii. Dziadek nie żył. Z mamą łożę dzielił już kto inny, niejaki monsieur Émile. Nie za bardzo go lubiłem. Pół mojej Fadette oddano za okupacji Niemcom, pół partyzantom. Uciekając przed sprzecznościami dzieciństwa i kierowany poczuciem synowskiego obowiązku, pojechałem na gapę pociągiem do Marsylii, dodałem sobie rok i próbowałem się zaciągnąć się do Legii Cudzoziemskiej. Moja donkiszoteria skończyła się tak, że ta szlachetna formacja musiała uczynić wyjątek i dać wiarę płaczliwym tłumaczeniom mojej mamy, że żaden ze mnie cudzoziemiec, tylko Francuz, i puściła mnie wolno wprost w nową niewolę, tym razem na londyńskim przedmieściu Shoreditch, gdzie Markus, przyrodni brat ojca, kompletnie do niego niepodobny, prowadził firmę handlu kosztownymi futrami i dywanami. Sprowadzał je ze Związku Sowieckiego – ale kraj ten zawsze nazywał Rosją – i chciał uczyć mnie własnego fachu.

Stryj Markus to kolejna niewyjaśniona tajemnica w moim życiu. Do dziś nie wiem, czy propozycja pracy u niego nie została zainspirowana przez moich późniejszych panów. Gdy zapytałem, jak zginął ojciec, pokręcił głową z dezaprobatą – ale dezaprobata nie dotyczyła ojca, tylko głupiego pytania. Czasem zastanawiam się, czy można być tajemniczym z urodzenia, tak jak z urodzenia można być bogatym, wysokim, muzykalnym. Markus nie był ani niemiły, ani skryty, ani skąpy. Po prostu był tajemniczy. Choć nosił nazwisko Collins, pochodził skądś w Europie Środkowej. Jak nazywał się przedtem, nie dowiedziałem się nigdy. Mówił po angielsku bardzo szybko, ale z obcym akcentem, i nigdy też się nie dowiedziałem, jaki był jego język ojczysty. Nazywał mnie Pierre. Miał przyjaciółkę imieniem Dolly, modystkę z Wapping, która w piątki po południu przyjeżdżała po niego do magazynu. Mimo to nie wiedziałem, gdzie znikali na cały weekend, czy byli małżeństwem lub mieli gdzie indziej jakichś innych małżonków. W życiu Dolly był jakiś Bernie, ale nadal nie wiem, czy mąż, syn czy brat, bo Dolly też była z natury tajemnicza.

I do dziś nie wiem nawet, czy Transsyberyjska Firma Handlu Futrami i Dywanami Collins i S-ka była prawdziwą firmą czy tylko przykrywką dla działalności wywiadowczej. Kiedyś próbowałem to sprawdzić, lecz bez żadnych rezultatów. Wiem tylko, że ilekroć stryj Markus wybierał się na targi do Kijowa, Permu czy Irkucka, trząsł się jak galareta. A po powrocie pił na umór. I że przed każdym jego wyjazdem w firmie zjawiał się wygadany Anglik imieniem Jack, który czarował sekretarki, wsadzał głowę przez drzwi do sortowni

i wołał: „Cześć, Peter (nigdy: Pierre), u ciebie wszystko okej?”. Potem zaś brał stryja na dobry obiad. Po obiedzie stryj wracał do gabinetu i zamykał się w nim na klucz.

Jack podawał się za handlarza sobolami, teraz jednak wiem, że handlował zupełnie czym innym. Bo kiedy stryj wreszcie oświadczył, że lekarz zabronił mu dalszych wyjazdów na targi, Jack zaproponował, żebym to ja tym razem poszedł z nim na obiad. Zabrał mnie do Klubu Podróżników na Pall Mall i pytał, czy nie żałuję, że nie jestem w Legii, czy z tą moją dziewczyną to tak bardziej na poważnie i dlaczego uciekłem ze szkoły, chociaż byłem tam kapitanem drużyny bokserskiej, i czy nie myślałem kiedyś, żeby przysłużyć się angielskiej ojczyźnie, bo jeżeli żałuję, że z powodu wieku ominęła mnie wojna, to teraz jest okazja, żeby to nadrobić. Przy obiedzie tylko raz wspomniał o ojcu i uczynił to tak niedbale, jakby chciał mi dać do zrozumienia, że o mało o tym nie zapomniał:

– Aha, a co do twojego szanownego tatusia, świeć, Panie, nad jego duszą, to coś ci powiem, ale ja ci tego nie mówiłem. Tak?

– Tak.

– Był z niego naprawdę dzielny facio. Przysłużył się ojczyźnie jak nie wiem. Obu ojczyznom. Starczy?

– Skoro tak pan mówi...

– No to za tatusia!

Za tatusia, czemu nie. Później już piliśmy bez wznoszenia toastów.

A potem w eleganckim wiejskim dworku gdzieś w Hampshire Jack, jego kolega Sandy i świetnie zorganizowana dziewczyna imieniem Emily – natychmiast się w niej zakochałem – zrobili mi krótki kurs opróżniania skrzynek kontaktowych w centrum Kijowa, a konkretnie za kawałem tynku w ścianie starego kiosku, którego replika stała u nich w oranżerii. I drugi kurs: jak odczytać sygnał, że mogę opróżnić skrzynkę – na kracie będzie poszarpana zielona wstążka. I trzeci: jak dać znać, że skrzynkę opróżniłem – wrzucić pudełko po rosyjskich papierosach do kosza na śmieci pod wiatą przystanku autobusowego.

– I wiesz co, Peter, jak będziesz się starał o ruską wizę, to weź francuski paszport, nie angielski – powiedział Jack z głupia frant. Przypomniał mi, że stryj ma filię w Paryżu. – A przy okazji... Emily jest zajęta – dodał, na wypadek gdybym sobie coś ubzdurał. Oczywiście ubzdurałem sobie.

\*

I to była moja pierwsza misja, pierwsze zadanie dla instytucji, którą potem poznałem pod nazwą Cyrku – i równocześnie pierwsza przymiarka do roli tajnego żołnierza stworzonego na obraz i podobieństwo ojca. Nie zliczę już, ile podobnych misji wypełniłem w ciągu paru następnych lat – sześć? siedem? Leningrad, Gdańsk, Sofia, potem Lipsk i Drezno. O ile wiem, wszystko poszło jak po maśle, jeśli nie liczyć zbierania się na odwagę „przed” i powolnego uspokajania „po”.

Podczas długich weekendów w innym dworku z innym pięknym ogrodem poszerzałem repertuar sztuczek: kontrobservacja, przekazania błyskawiczne... Kiedyś na chwilę przerwano mi te zabawy, by podczas skromnej ceremonii w jakimś konspiracyjnym mieszkanku na South Audley Street wręczyć mi ojcowskie odznaczenia za odwagę – jedno



francuskie, jedno angielskie – i odczytać formułkę ich nadania. Mogłem zapytać, dlaczego tak późno, już wtedy jednak wiedziałem, że pytać nie należy.

Ale dopiero gdy zacząłem jeździć do NRD, w moim życiu pojawił się gruby, wiecznie zaaferowany okularnik: George Smiley. Stało się to w pewne niedzielne popołudnie w hrabstwie West Sussex, gdzie odbierał ode mnie informacje już nie Jack, tylko taki twardziel imieniem Jim, Czech z pochodzenia, mniej więcej w moim wieku. Dużo później się dowiedziałem, że na nazwisko – kiedy już wolno mu było mieć nazwisko – miał Prideaux. Wspominam o nim tutaj, bo i on miał wielki wpływ na moją dalszą karierę.

Gdy składałem raport, Smiley nie mówił wiele, siedział i słuchał, i tylko czasem spojrzął na mnie jak sowa przez te swoje grube szkła. Kiedy skończyłem, zaproponował przechadzkę po ogrodzie; ogród był wielki i przechodził w park. Rozmawialiśmy, trochę posiedzieliśmy na ławce, trochę pospacerowaliśmy, znowu usiedliśmy, cały czas gadając. Czy mamusia żyje, czy ma się dobrze? Trochę zesklerociała, ale poza tym w porządku. Potem o ojcu – czy mam jeszcze jego ordery? Powiedziałem zgodnie z prawdą, że mama poleruje je co niedziela. Ale nie dodałem, że czasem przypina mi je do koszuli i płacze. W odróżnieniu od Jacka ani razu nie zapytał o moje liczne dziewczyny. Zapewne uznał, że lepiej, że jest ich cała kupa, bo kupy nikt nie ruszy.

Teraz, kiedy wspominam tę rozmowę, nie mogę oprzeć się wrażeniu, że już wtedy był gotów zastąpić mi ojca – co zresztą potem się stało. Ale może to ja tak myślałem, a on wcale nie. W każdym razie gdy wreszcie złożył mi propozycję współpracy, wydawało mi się, że trafiłem do domu, choć dom był przecież po drugiej stronie Kanalu, w Bretanii.

– Bo widzisz, zastanawialiśmy się – powiedział, a jego głos dochodził mnie jakby z oddali – czy nie chciałbyś zacząć pracować z nami trochę bardziej na stałe. Ludzie, którzy współpracują z nami z zewnątrz, nie zawsze dobrze odnajdują się wewnątrz. Ale myślę, że ty się odnajdziesz. Nie płacimy wiele. A czasem praca u nas kończy się z dnia na dzień. Za to jest to ważna praca, jeżeli tylko myśli się o celach, a nie za bardzo o środkach.

## 2

Moje gospodarstwo w Les-Deux-Églises składa się z jednego prostego i całkowicie bezpłciowego wiejskiego dworku, jednej rudery z kamiennym krzyżem na dachu będącej ongiś stodołą, resztek umocnień z dawno zapomnianych wojen i starej jak świat kamiennej studni, teraz już niewykorzystywanej, ale kiedyś służącej partyzantom jako magazyn broni, której nie chcieli zostawić na pastwę hitlerowskiego okupanta. Mam jeszcze stareńki piec chlebowy, chatkę kryjącą zdezelowaną prasę do cydru i z pięćdziesiąt hektarów nudnego pastwiska ciągnącego się aż do klifu, aż do brzegu morza. Rodzina mamy mieszkała tam od czterech pokoleń – moje jest piąte. Nie jest to jakaś szczególnie prestiżowa ani rentowna posiadłość. Gdy wyglądam z okna w salonie, widzę na prawo nieforemną bryłę wieży dziewiętnastowiecznego kościoła, a na lewo krytą strzechą białą kapliczkę – i stąd wzięła się nazwa miejscowości, Dwa Kościoły. Tu, w Les-Deux-Églises, podobnie jak w całej Bretanii, albo jest się katolikiem, albo nikiem. Ja jestem nikiem.

Żeby dostać się do gospodarstwa z Lorient, trzeba najpierw przez pół godziny jechać na południe nadmorską drogą wysadzaną wysmukłymi topolami, które w zimie sterczą w górę jak patyki. Po drodze mija się zachodnie partie Wału Atlantyckiego Hitlera, tak solidne, że już teraz sprawiają wrażenie współczesnego Stonehenge. Po jakichś trzydziestu kilometrach trzeba zacząć wypatrywać po lewej pizzerii o szumnej nazwie Odyssée i za chwilę pojawi się po prawej stronie śmierzące złomowisko, gdzie Honoré – chyba najbardziej nieadekwatnie nazwany człowiek w okolicy, bo to pijak i włóczęga, mama zawsze mnie przed nim ostrzegała, wstrętny gnom – handluje starociami, starymi oponami i nawozem. Po dojechaniu do sfatygowanego drogowskazu z napisem „Delassus” – to panięńskie nazwisko mamy – skręca się w od dawna nienaprawianą drogę. Trzeba mocno hamować przed dziurami albo – jeżeli jest się monsieur Denisem, naszym listonoszem – pędzić między nimi karkołomnym slalomem. I tak właśnie czynił monsieur Denis pewnego słonecznego ranka na początku jesieni, ku oburzeniu kur na podwórku i całkowicie ignorowany przez Amoureuse, moją ukochaną irlandzką seterkę, zbyt zajęta swym kolejnym miotem, by przejmować się głupimi ludzkimi sprawami.

Kiedy już monsieur Denis, zwany w okolicy Le Général, tak jest podobny z twarzy i z postury do prezydenta de Gaulle’a, wygramolił się z żółtej furgonetki i ruszył na ganek domu, wiedziałem od razu, że w kościstej dłoni niesie mi list z Cyrku.

\*

Z początku nie byłem nawet zaniepokojony, tylko rozbawiony. Pewne rzeczy w brytyjskich służbach specjalnych nie zmieniają się nigdy. Jedną z nich jest obsesyjny lęk przy wyborze papeterii do korespondencji jawnej. Lepiej nic oficjalnego, urzędowego, bo to grozi dekonspiracją. Koperta nie powinna być prześwitująca, więc może liniowana? Czysta biel za bardzo rzuca się w oczy, zatem lepiej jakiś jej odcień, tylko znowu żeby to nie wyglądało na

liścik miłosny. Niebieski mat, jakiś odcień szarości – może być. Ta koperta była bladoszara.

Następne pytanie: adres drukiem czy odręczny? Odpowiedź musi uwzględniać specyfikę adresata w terenie, czyli w tym wypadku mnie: a ja jestem Peter Guillam, emeryt, trzymany na odległość, co bardzo mu dotąd odpowiadało. Od wielu lat zamieszkały na wsi we Francji. Nie pojawia się na zjazdach weteranów, o rodzinie wiadomości brak. Pobiera pełną emeryturę z tego jednego źródła, więc zawsze można go o coś pomęczyć. Wnioski: w zabitej dechami bretońskiej dziurze, gdzie cudzoziemców jak na lekarstwo, zaadresowana drukiem, na wpół oficjalna koperta z angielskim znaczkiem może wzbudzić ciekawość, więc lepiej już zaadresować ręcznie. A teraz najtrudniejsze. Agencja – bo teraz tak brzmi nowa nazwa Cyrku, my mówiliśmy „Firma” – nie może sobie odmówić przyjemności umieszczenia na kopercie kwalifikacji poziomu tajności, nawet jeżeli miałyby to być tylko „korespondencja prywatna”. A może wzmocnić to jeszcze słowem „osobista”? „Korespondencja prywatna, osobista, do rąk własnych adresata”? Za dużo. Lepiej niech będzie „prywatna”. A najlepiej „osobista”.

1 Artillery Buildings

London, SE14

Szanowny Panie,

nie znamy się, ale pozwoli Pan, że się przedstawię. Jestem kierownikiem działu w Pana dawnej firmie. Zajmuję się kwestiami bieżącymi i historycznymi. Niespodziewanie wypłynęła pewna sprawa, w której brał Pan kiedyś znaczący udział, więc muszę niestety prosić Pana o niezwłoczne pojawienie się w Londynie w celu ułatwienia nam wypracowania stanowiska.

Zostałem upoważniony do zaproponowania Panu zwrotu kosztów podróży (klasa ekonomiczna) oraz dziennych diet w wysokości 130 GBP na cały czas Pana pobytu w Londynie (wysokość diety uwzględnia londyński dodatek drożyzniany).

Ponieważ nie posiadamy Pana numeru telefonu, bardzo proszę o potwierdzenie przybycia telefonicznie (prosić Tanię) na podany wyżej numer i na nasz koszt albo e-mailem na poniższy adres. Choć to może dla Pana kłopot, muszę stwierdzić, że sprawa jest pilna. Na zakończenie zwracam uwagę na ust. 14 porozumienia rozwiązującego Pana umowę o pracę.

Z poważaniem,

A. Butterfield  
(RPSS)

PS Bardzo proszę o wylegitymowanie się paszportem w recepcji.

RPSS to oczywiście „radca prawny szefa służby”. Ustęp 14 umowy mówi o „dożywotnim obowiązku wspierania służby na każde żądanie”, a sam zwrot „zwracam uwagę” znaczy tak naprawdę „pamiętaj, kto ci płaci emeryturę”. Nie mam e-maila. Dlaczego list jest bez daty? To też tajemnica państwowa?

W sadzie są Catherine i jej dziewięcioletnia córka Isabelle. Bawią się z dwiema złośliwymi kózkami, którymi ktoś nas niedawno uszczęśliwił. Catherine jest drobną kobietą o szerokiej bretońskiej twarzy i spokojnych piwnych oczach, które taksują każdego beznamietnie. Gdy wyciąga ręce, kózki skaczą na nie i wtedy mała Isabelle, którą cieszą dziwne rzeczy, klaska w dłonie i okręca się na pięcie z radości. Ale Catherine, choć muskularna, musi uważać, by chwycić na raz tylko jedną kózkę, bo przewróciłyby ją, gdyby skoczyły razem. Isabelle mnie ignoruje. Nie lubi, jak się jej patrzy w oczy.

Dalej na polu głuchy Yves, dochodzący parobek, zbiera kapustę nisko pochylony do ziemi. Prawą ręką ścina łodygi, lewą odrzuca główki na wózek, ale ani na chwilę nie zmienia kąta pochylenia tułowia. Przypatruje mu się stara klacz Artemis, kolejna znajda Catherine. Parę lat temu do naszego gospodarstwa przybłąkał się struś, który uciekł z okolicznej hodowli. Kiedy Catherine skontaktowała się z właścicielem, powiedział, że może zostać u nas, bo jest za stary. Ptaszysko zostało i kiedy wreszcie zdechło, pochowaliśmy je z honorami.

– Chcesz czegoś, Pierre? – pyta Catherine.

– Niestety muszę wyjechać na kilka dni – odpowiadam.

– Do Paryża? – Catherine nie aprobuję moich wyjazdów do Paryża.

– Do Londynu – mówię. A że nawet na emeryturze muszę mieć legendę operacyjną, dodaję: – Ktoś umarł.

– Ktoś, kogo kochasz?

– Już nie – mówię z taką stanowczością, że aż się sobie dziwię.

– A, to mała strata. Wyjeżdżasz wieczorem?

– Jutro. Rano mam samolot z Rennes.

Dawniej popędziłbym do Rennes natychmiast, na byle znak z Cyrku. Ale dziś nie.

\*

Tylko ktoś, kto został szpiegiem za dawnych czasów Cyrku, może zrozumieć obrzydzenie, jakie poczułem, gdy następnego dnia o czwartej po południu zapłaciłem taksówkarzowi i ruszyłem betonowym wybiegiem prowadzącym do nowej i szokująco ostentacyjnej siedziby Agencji – ktoś taki jak ja, kto w sile szpiegowskiego wieku powracał zgoniony jak pies z jakiegoś zakazanego zakątka imperium, najczęściej sowieckiego, albo z jakiegoś kraiku będącego jego częścią. Jechało się autobusem wprost do Londynu, potem metrem na Cambridge Circus. Tam już czekali na raport. Wystarczyło wspiąć się na pięć brudnych schodków przed wejściem do tego wiktoriańskiego potworka, który nazywaliśmy różnie: Centrala, Biuro czy po prostu Cyrk. I już było się u siebie.

Co z tego, że zaraz trzeba było awanturować się przy składaniu raportu, u zleceniodawcy czy w administracji? Były to zwykłe rodzinne kłótnie między bazą a terenem. Starsuszek portier w budce przy wejściu mówił znacząco: „Witamy z powrotem” i pytał, czy nie chcę oddać walizki do przechowalni. Odpowiadało się zawsze: „Nie, dziękuję, Bill” albo: „Nie warto, Mac”, w zależności od tego, kto miał służbę, i nigdy nie pokazywało się przepustki. Człowiek sam nie wiedział, dlaczego już się uśmiecha. Na wprost trzy stare rachityczne windy, których każdy nie cierpiał od pierwszego dnia w pracy; dwie utknęły gdzieś na górze, a trzecia stała się prywatną własnością Kontrolera, więc nawet nie warto było się wściekać. W dodatku znacznie przyjemniej było zagubić się na chwilę w labiryncie i ślepych zaułkach korytarzy będących prawdziwym ucieleśnieniem świata, w którym żyło się na własne życzenie, wśród przeżartych przez korniki drewnianych schodów, odrapanych gaśnic, wypukłych luster oraz woni starego dymu papierosowego, neski i dezodorantów.

Ale dziś – zgoła inny potwór. Witamy w lunaparku dla szpiegów pięknie położonym nad samym brzegiem Tamizy.

Bacznie obserwowany przez dresiarzy obojga płci melduję się przed recepcją, całą z pancernego szkła, i patrzę, jak mój brytyjski paszport znika w hermetycznym metalowym podajniku. Twarz za szkłem jest kobieca, ale kretyńsko akcentowane kretyńskie formułki wypowiada elektroniczny głos statystycznego Anglika:

– *Wszystkie posiadane klucze, telefony komórkowe, pieniądze w bilonie, zegarki, przybory piśmienne i wszelkie inne przedmioty metalowe proszę złożyć do kontenera na stole po lewej stronie, zachować biały numerki i z butami w rękach szybko przejść przez drzwi oznaczone napisem „Goście”.*

Paszport wraca, szybko przechodzę. Jakaś wesoła dziewczynka – na oko czternastoletnia – obmacuje mnie paletką do ping-ponga, potem zostaję prześwietlony w postawionej na sztorc szklanej trumnie. Wkładam z powrotem buty i zawiązuję sznurówki – z jakiegoś powodu jest to bardziej poniżające niż wcześniej ich zdejmowanie – po czym ta sama wesoła dziewczynka prowadzi mnie do nieoznaczonej windy. I jeszcze pyta, czy miło mi minął dzień. Niemilo. Noc też nie była miła, jeśli ją to interesuje, ale nie interesuje. Dzięki listowi od A. Butterfielda spałem najgorzej od dziesięciu lat, lecz tego też nie mogę jej powiedzieć. Ja jestem – lub byłem – zwierzęciem polnym. Moim naturalnym środowiskiem zawsze były otwarte przestrzenie szpiegostwa. Właśnie się przekonuję – na stare lata – że takie sympatyczne wezwanie, nagle i niespodziewanie przychodzące od Cyrku w jego nowym wcieleniu i domagające się natychmiastowego stawienia w Londynie, wystarczy, bym przez całą noc sondował moją duszę.

Dojeżdżamy już na ostatnie, jak mi się zdaje, piętro, ale brak jakichkolwiek informacji na ten temat. W świecie, w którym kiedyś żyłem, największe jego tajemnice zawsze znajdowały się na najwyższym piętrze. Moja młodzieżowa obstawa ma na szyi całą wiązkę tasiemek z kartami elektronicznymi. Właśnie przysuwa jedną z nich do nieoznaczonych drzwi, wchodzę, zamyka mnie w środku. Próbuje poruszyć klamkę. Ani drgnie. Parę razy w życiu zdarzyło mi się, że mnie zamykano, ale zawsze robiła to konkurencja. Nie ma okien, tylko dziecinne malunki kwiatów i domów. Twórczość latorośli A. Butterfielda? A może graffiti poprzednich więźniów?

I jeszcze jedno: gdzie się podziały wszystkie dźwięki? Im dłużej nasłuchuję, tym gorsza staje się ta cisza. Nie słychać wesołego stukotu maszyn do pisania, upartych dzwonek nieodbieranych telefonów, zajeżdżony na śmierć wózek na akta nie grzechocze jak mleczarska dwukółka po gołym parkiecie korytarza, wściekły męski głos nie ryczy nagle: „Skończone wreszcie z tym gwizdaniem!”. Coś musiało się zagubić podczas przeprowadzki z Cambridge Circus na nadrzeczne bulwary – i to nie tylko skrzywienie wózków.

Parkuję tyłek na fotelu ze stali i skóry. Przerzucam sfatygowany numer tygodnika satyrycznego i zastanawiam się, kto stracił poczucie humoru – ja czy panowie redaktorzy? Wstaję, znowu próbuję otworzyć drzwi, siadam z powrotem, ale na innym fotelu. Dochodzę do wniosku, że A. Butterfield na pewno zgłębia właśnie tajniki mojej mowy ciała. Zresztą niech mu idzie na zdrowie, bo gdy wreszcie drzwi otwierają się zamasyście, do pokoju wpada krótko ostrzyżona ruchliwa czterdziestolatka i odzywa się do mnie z akcentem pozbawionym wszelkich klasowych cech:

– Ach, Peter, świetnie, że jesteś. Jestem Laura. Zapraszam.

A ja zdążyłem tymczasem przeżyć na nowo i w przyspieszonym tempie chyba wszystkie

nieudane misje i wszystkie katastrofy, w jakich brałem udział przez całe życie popełniania prawnie uświęconych świąństw.

Maszerujemy pustym korytarzem i wchodzimy do białego aseptycznego gabinetu o nieotwieralnych oknach. Zza biurka wyskakuje jak piłeczka świeżutki, choć w nieokreślonym wieku okularnik prosto z prywatnej szkoły, bez marynarki, za to w szelkach, i chwyta mnie za dłoń.

– *Peter!* Coś takiego! Ależ ty świetnie wyglądasz! Jakbyś odmłodził o połowę! Podróż miałaś dobrą? Herbaty? Kawy? Na pewno nie? Naprawdę, jak to miło, że się pofatygowałeś. To nam ogromnie pomoże. Poznałeś już Laurę? Oczywiście, że poznałeś. Wybacz, że musiałeś czekać. Miałem telefon z samej góry. Ale teraz już okej. Siadajże!

Mówi to wszystko, konfidencjonalnie mrużąc oczy, żeby jeszcze bardziej się ze mną zbratać, i już prowadzi mnie do wysokiego krzesła, na którym jak się potem okazało, przyjdzie mi długo siedzieć – aż dziw, że od razu nie każe mi stanąć w kącie. Potem siada z powrotem za biurkiem, na którym piętrzą się Cyrkowe akta, same stare szpargały, oznaczone barwami wszystkich krajów. Między nimi układa teraz urękawione łokcie, skrywając je przed moim wzrokiem za papierami, i opiera podbródek na dłoniach.

– Aha, jestem *Bunny* – przedstawia się. – Wiem, głupie imię i w ogóle ciężki wstyd, żeby dorosły człowiek nazywał się „Króliczek”, ale co zrobić? Przylgnęło do mnie w dzieciństwie i tak już zostało. Jak się zastanowić, to chyba dlatego trafiłem tutaj. Przecież nikt nie traktowałby poważnie sędziego Sądu Najwyższego, za którym wszyscy wołaliby tak po korytarzach, nie?

Czy on zawsze tak miałe ozorem? Czy teraz tak mówią wszyscy radcy prawni Secret Service w średnim wieku? Raz jak małe dziecko, raz jak ktoś sprzed stu lat? Dawno już straciłem wyczucie współczesnej angielszczyzny, ale sądząc po minie Laury, która właśnie siada obok niego, oni rzeczywiście tak teraz przemawiają. Laura, gdy siedzi, wygląda, jakby zaraz miała rzucić się na mnie. Na środkowym palcu prawej dłoni nosi sygnet. To po tatusiu czy zawołowany symbol preferencji seksualnych? Jak ja już długo nie byłem w Anglii...

Ale najpierw gadka szmatka, w czym bryluje *Bunny*. Jego dzieci, dwie dziewczynki, uwielbiają Bretanię. Laura była w Normandii, ale w Bretanii nie. Nie mówi, z kim tam była.

– No, ale ty się przecież urodziłeś w Bretanii! – woła nagle *Bunny* ni stąd, ni zowąd. – Powinniśmy ci mówić „Pierre”!

Ja na to, że nie, że może być *Peter*.

– Więc, *Peter*, zrobił nam się, szczerze mówiąc, niezły pasztet. – Teraz *Bunny* mówi wolniej i donośniej, bo właśnie zauważył wśród moich siwych loków aparacik słuchowy, który sobie niedawno sprawiłem. – Jakiś kryzys to jeszcze nie jest, ale sytuacja jest dynamiczna, właściwie nawet wybuchowa. Bardzo potrzebujemy twojej pomocy.

Odpowiadam, że służę pomocą z największą przyjemnością i bardzo się cieszę, że po tylu latach mogę się jeszcze na coś przydać.

– Moja rola polega na tym, że mam chronić Agencję. To moja praca – mówi *Bunny*, jakbym nic nie powiedział. – Ty jesteś tu jako osoba prywatna, oczywiście też jako były pracownik, od dawna na zasłużonej i spokojnej emeryturze, ale nie mogę zagwarantować, że twoje i nasze interesy będą w tej sprawie stuprocentowo zbieżne. – Oczy jak szpareczki. Sztuczny uśmieszek. – Czyli powiem tak: wszyscy oczywiście szanujemy cię za te

wspaniałe rzeczy, które dawno, dawno temu robiłeś dla Agencji, ale Agencja to Agencja. A ty to ty. A ja jestem prawnikiem i nie mam litości dla nikogo. Jak się ma Catherine?

– Doskonale, dziękuję. A czemu pytasz?

Bo jej nie wpisałem na listę. Bo chce mnie nastraszyć. Bo daje mi do zrozumienia, że będzie ostro. I że ta „Agencja” ma szeroko otwarte oczy.

– Zastanawiamy się, czy nie powinna znaleźć się na tej dość długiej liście osób, z którymi łączyły cię kiedyś zażyłe stosunki – wyjaśnia Bunny. – Wiesz, taki mamy regulamin.

– Catherine dzierżawi ode mnie gospodarstwo. To córka i wnuczka poprzednich dzierżawców. Ja też tam mieszkam, bo tak mi wygodnie. I nie wiem, czy to wasz interes, ale nigdy się z nią nie przespałem i nie zamierzam się przespać. Wystarczy?

– Jak najbardziej. Dziękujemy.

To pierwsze kłamstwo wyszło mi całkiem niezłe. Teraz trzeba szybko odbić piłeczkę:

– Zaczynam mieć wrażenie, że sam mogę potrzebować adwokata.

– Na razie na to za wcześnie. Zresztą nie stać cię. Takie ceny... W papierach masz napisane raz, że jesteś żonaty, raz, że nie. To się zgadza?

– Zgadza.

– I to wszystko w ciągu jednego roku? No, no, jestem pod wrażeniem.

– Miło mi.

Czy my sobie żartujemy? Czy prowokujemy się nawzajem? Coś mi się zdaje, że to drugie.

– Taki błąd młodości? – sugeruje Bunny tym samym grzecznym pytającym tonem.

– Nieporozumienie – odpowiadam. – Jeszcze jakieś pytania?

Ale Bunny łatwo nie rezygnuje i chce, żebym to wiedział.

– Czyli kto zawinił? Dziecko? A może ojciec? – Ten sam gładki ton.

Udaję, że się zastanawiam.

– A wiesz, chyba nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby ją o to spytać – odpowiadam. A ponieważ on dalej nad tym medytuje, dodaję: – Skoro już sobie opowiadamy, co kto z kim i tak dalej, to może mi powiesz, co tu robi Laura?

– Laura jest od historii – odpowiada dźwięcznie Bunny.

Czyli historia to baba o pozbawionej wyrazu twarzy, krótkich włosach, piwnych oczach, bez makijażu. Już nikt się nie uśmiecha. Oprócz mnie.

– No to co mamy w akcie oskarżenia, Bunny? – pytam wesoło, skoro idziemy do zwarcia.

– Podpalenie portów Jej Królewskiej Mości?

– Co ty wygadujesz, Peter, jaki akt oskarżenia?! – oponuje równie wesoło Bunny. – Trzeba tylko wyjaśnić to i owo. Pozwól, że zanim przejdziemy do konkretów, zadam ci jedno pytanie. Mogę? – Zmrużenie oczu. – Operacja „Fuks”. Jak ją przygotowano, kto ją prowadził, w którym miejscu poszło coś nie tak i jaki był w niej twój udział?

Podobno gdy sprawdzają się najgorsze przeczucia, ludziom robi się lekko na duszy. Nie w moim przypadku.

– Jaka operacja? Powiedziałaś: „Fuks”? Tak?

– „Fuks”. – Głośniej, bo może nie wychwycił tego mój aparat słuchowy.

Powolutku. Muszę pamiętać, że jestem w podeszłym wieku. I pamięć też już nie ta... Bez pośpiechu.

- Co to było ten „Fuks”? Bunny, musisz mi podpowiedzieć. O jakich czasach mówimy?
- Z grubsza biorąc, początek lat sześćdziesiątych. Odpowiesz mi dziś?
- I to była aż operacja?
- Tajna. O nazwie „Fuks”.
- Przeciwno komu?

Teraz Laura zachodzi mnie od tyłu:

– Sowietom i satelitom. A konkretnym celem był wywiad NRD. Znany również pod nazwą Stasi. – Na pełny regulator, żebym na pewno usłyszała.

Jaka „Stasi”? Co to jest „Stasi”? Ach tak, Stasi!

– A o co tam chodziło? – pytam Laurę, kiedy już przypominałem sobie, co to było Stasi.

– O dezinformację, wprowadzenie przeciwnika w błąd, ochronę ważnego źródła informacji. Przeniknięcie do moskiewskiego Centrum w celu zidentyfikowania jednego lub więcej zdrajców w Cyrku. – I nagle zmienia ton na płaczliwy: – Tylko że nie mamy na to żadnych papierów. Jedynie kilka odnośników do akt, po których nie zostało ani śladu. Nie wiemy, czy ktoś je spalił, czy tylko wyniósł.

– „Fuks”... „Fuks”... – powtarzam, kręcąc głową i uśmiechając się, jak to my, starcy, mamy w zwyczaju, nawet jeżeli nie jesteśmy tak starzy, jak się innym wydaje. – Bardzo mi przykro. Niestety. Nic mi się nie przypomina.

– Nic a nic? – To już Bunny.

– Nic a nic. Zero. – A równocześnie z całych sił usiłuję wyrzucić z głowy to wspomnienie: jestem młody, przebrany za dostarczyciela pizzy i pędzę skulony nad kierownicą motorynki, wioząc jakieś ekstrapilne akta z kwatery głównej Cyrku pod pewien londyński adres.

– Bo jeżeli zapomniałem powiedzieć albo ty nie dosłyszałaś – mówi tymczasem Bunny niewinnym głosem – to o ile nam wiadomo, w operacji „Fuks” brał udział twój przyjaciel i kolega Alec Leamas. Pewnie pamiętasz, że to ten, co dał się zastrzelić przy murze berlińskim, kiedy biegł na pomoc swojej dziewczynie Elizabeth Gold, zastrzelonej chwilę przedtem pod tym samym murem? Jego też nie pamiętasz?

– Cholera, oczywiście, że pamiętam – wybucham. I dopiero po chwili tłumaczę: – Pytałeś mnie o „Fuksa”, nie o Aleca. Ale odpowiedź brzmi: nie. Nic nie pamiętam. W życiu o tym nie słyszałem. Sorry.

\*

W każdym przesłuchaniu odpowiedź „nie” staje się punktem zwrotnym. Wcześniejsze uprzejmości przestają się liczyć. Kiedy się powie „nie”, potem już nic nie będzie takie samo. Z punktu widzenia przesłuchującego to sygnał do natychmiastowych represji również dlatego, że przeciętny przesłuchujący jest głębszy od przesłuchiwanego. Ale gdy drzwi zatrząskują się przed nosem inteligentnego przesłuchującego, on nie próbuje zaraz ich wyważyć. Woli się wycofać i podejść do celu z innej strony. Sądząc po zadowolonym uśmiechu Bunny’ego, do tego właśnie się szykował.

– No dobrze. – Znów korzysta z wersji głosu przeznaczonej dla niedosłyszących, choć mu mówię, że słyszę dobrze. – Zostawmy na razie operację „Fuks”. Czy masz coś przeciwko



temu, żebyśmy razem z Laurą zadali ci parę wstępnych pytań na tematy bardziej ogólne?

– Czyli jakie?

– Czyli na przykład na temat odpowiedzialności osobistej. Stary problem: gdzie kończy się posłuszeństwo względem przełożonych, a zaczyna odpowiedzialność za własne czyny. Rozumiesz, o co chodzi?

– Nie bardzo.

– Powiedzmy, że jesteś w terenie. Centrala dała ci zielone światło, ale nie wszystko idzie zgodnie z planem. Połała się niewinna krew. Panuje przekonanie, że ty albo jakiś twój bliski kolega przekroczyliście uprawnienia. Myślałeś kiedyś o takiej sytuacji?

– Nie.

Albo zapomniał, że niedosłyszę, albo uważa, że słyszę doskonale.

– A nie potrafisz, tak sam z siebie, teoretycznie wyobrazić sobie, że coś takiego mogło się zdarzyć? Bo przecież w swojej karierze musiałeś chyba nie raz i nie dwa znaleźć się w podbramkowej sytuacji?

– Niczego takiego sobie nie przypominam. Bardzo mi przykro.

– Ani razu się nie zdarzyło, że przekroczyłeś uprawnienia, że spowodowałeś coś, czego potem nie mogłeś zatrzymać? Albo że postawiłeś własne uczucia, potrzeby czy choćby zachcianki ponad obowiązkami służbowymi? I że w efekcie doszło do czegoś, czego ani nie chciałeś, ani nie przewidziałeś?

– Wtedy dostałbym nagane z Firmy, nie? Albo ściągnięto by mnie z powrotem do Londynu. A gdyby to było coś naprawdę poważnego, po prostu wyrzucono by mnie z roboty – wyliczam z poważną miną zdyscyplinowanego pracownika.

– Ale popatrzmy na to szerzej. Powiedzmy, że doszło do pokrzywdzenia osób trzecich. Zwykłych ludzi z zewnątrz, którzy w wyniku czegoś, co zrobiłeś przez pomyłkę, w ferworze walki, w chwili słabości, stali się niewinnymi ofiarami działalności Firmy. Ludzi, którzy później, nawet o całe pokolenie, dochodzą do wniosku, że mogą wytoczyć Agencji śliczny procesik. Najlepiej o odszkodowanie, ale jak się nie da, to choćby o zabójstwo albo jeszcze gorzej. Przeciwno całej Agencji lub – tu unosi brwi w udawanym zdziwieniu – konkretnemu byłemu pracownikowi. Nigdy nie pomyślałeś o czymś takim? – W tej chwili mówi nie jak prawnik, tylko raczej jak lekarz, który chce przygotować pacjenta na bardzo złą wiadomość.

Tylko się nie spieszyć, podrapać się po głowie... Nic z tego.

– Szczerze mówiąc, człowiek tak był wtedy zajęty myśleniem, jak najbardziej zaszkodzić przeciwnikowi... – Zmęczony uśmiech weterana. – Z przodu przeciwnik, z tyłu Centrala... Między młotem a kowadłem nie ma za dużo czasu, żeby filozofować.

– Dla kogoś takiego najlepiej zacząć od skargi do parlamentu, bo potem łatwiej wszcząć postępowanie sądowe. Przedstawić roszczenia, ale za bardzo się w parlamencie nie spieszyć.

Tak mi przykro, Bunny, lecz ja ciągle myślę.

– Bo potem można wszcząć postępowanie i wtedy śledztwo parlamentarne musi ustąpić wymiarowi sprawiedliwości. I dać mu wolną rękę. – Znów czeka chwilę i znów na próżno, więc teraz już mówi ostrzej: – Dalej nie pamiętasz „Fuksa”? Trwającej dwa lata tajnej operacji, w której odegrałeś znaczną, może nawet heroiczną rolę?

To samo pytanie zadaje mi Laura spojrzeniem swych szeroko otwartych piwnych oczu zakonnicy, a ja jeszcze raz symuluję sięganie w głąb swojej starczej pamięci – a niech to

licho! nadal niczego nie mogę sobie przypomnieć. Starość nie radość. I zniechęcony kręcę siwą głową.

– A może to były jakieś ćwiczenia? – pytam niepewnie.

– Przecież Laura dopiero co ci powiedziała, co to było – rzuca Bunny, więc nie pozostaje mi nic innego, jak mruknąć: „A, no tak” i udawać zażenowanie.

\*

Na razie więc zostawiliśmy operację „Fuks” i na nowo zaczęliśmy rozważać widmo zwykłej osoby z zewnątrz, która najpierw będzie ciągać konkretnego byłego funkcjonariusza służb przed komisję parlamentarną, a potem drugi raz po sądach. Jeszcze tylko nie powiedzieliśmy, o jakiego funkcjonariusza tu chodzi, nikogo nie wymieniliśmy z nazwiska. Mówię: „my”, bo każdy, kto choć raz kogoś przesłuchiwał albo choć raz był przesłuchiwany, wie doskonale, że między przesłuchiwanym i przesłuchującym wytwarza się więź, która sprawia, że widzą siebie po jednej stronie stołu, a sprawy, o których mowa – po drugiej.

– No bo weźmy na przykład twoje akta personalne. Czy raczej to, co z nich zostało – skarży się Laura. – Nie chodzi o to, że czegoś w nich brakuje. To cud, że w ogóle coś w nich zostało. Niech będzie, że były tam różne aneksy o takiej klauzuli tajności, że dokumenty nie nadawały się do Akt Ogólnych. O tym nie da się powiedzieć marnego słowa, bo właśnie po to są tajne aneksy. Ale jak zajrzeć do Akt Tajnych, co tam znajdziemy? Jedno wielkie nic!

– Kurwa, chłopie – wyjaśnia na wszelki wypadek Bunny. – Przecież według kartoteki cała twoja kariera w Agencji to jedna wielka kupa protokołów zniszczenia.

– Żeby choć tyle – dodaje Laura, której najwyraźniej nie razi taki mało prawniczy język.

– Czekaj, Laura. Powiedzmy uczciwie – Bunny zaczyna się bawić w dobrego policjanta – że może to wszystko sprawka przekłętej pamięci Billa Haydona. Tak czy nie? – I zaraz do mnie: – Ale może ty nawet nie pamiętasz, kto to taki Bill Haydon?

Haydon? Bill Haydon? No nie, oczywiście, że pamiętam: umieszczony w Cyrku przez Sowietów podwójny agent, który jako szef wszechwładnego Wspólnego Komitetu Sterującego przez trzy dekady sumiennie zdradzał Moskwie wszystkie nasze tajemnice. To człowiek, o którym myślę chyba codziennie, ale to nie powód, żeby zaraz zrywać się na równe nogi i wrzeszczeć, że to świnia, że złamię mu kark – co zresztą zrobił mu ktoś, kogo dobrze znam, ku ogólnej satysfakcji nas wszystkich.

Laura tymczasem wciąż gawędzi z Bunnym:

– O tak, bez dwóch zdań. Ślady po Billu Haydonie widać wszędzie w Tajnych Aktach. Zresztą przecież ty, Pete, byłeś jednym z pierwszych, którzy wyniuchali, co w trawie piszczy. Oczywiście w roli osobistego asystenta George’a Smileya, jego stróża i pupila. Prawda?

Bunny kręci głową z podziwem.

– George Smiley. Najlepszy oficer operacyjny w naszej historii. Sumienie Cyrku. Według jednych istny Hamlet, według innych nie tak bardzo. Co za człowiek! Tylko że akurat w przypadku operacji „Fuks” – dodaje, ale wciąż do Laury, jakby mnie w ogóle nie było w pokoju – może wcale nie Bill Haydon plądrował tajne akta, tylko na przykład nie wiedzieć

czemu właśnie George Smiley? Na tych protokołach zniszczenia jest kupa różnych dziwnych podpisów. Nazwiska, których w życiu nikt nie słyszał, ani ja, ani ty. Nie mówię, że to Smiley osobiście. Na pewno miał kogoś, kto go w tym wyręczył. Kogoś zaufanego, kto w ciemno spełniał jego rozkazy niezależnie od ich legalności. Nasz George nigdy nie lubił brudzić sobie rączek. Ale to wielki człowiek był.

– A co ty o tym myślisz, Pete? – pyta Laura.

Wiem dokładnie, co myślę. Mam bardzo zdecydowane myśli w tym względzie. Nie cierpię, jak się do mnie mówi Pete. I w ogóle ta rozmowa zaczyna przybierać bardzo niekorzystny obrót.

– Bez przesady, Lauro. Po co, na miłość boską, właśnie George Smiley miałby kraść akta z Cyrku? Co innego Bill Haydon. Bill ukradłby wdowie ostatniego pensa i jeszcze by się z niej śmiał.

– A ja myślę, że akurat George miałby ku temu dobre powody – odpowiada za Laurę Bunny. – W końcu szefem Operacji Tajnych był przez dziesięć najgorętszych lat zimnej wojny. Z Komitetem Sterującym walczył na noże. To była prawdziwa wolna amerykanka: podkradanie sobie agentów, włamania do sejfów... Przecież to George wymyślał najbardziej podejrzane operacje, w jakich wtedy uczestniczyła Agencja. Kiedy było trzeba, zagłuszał głos sumienia. Coś mi się zdaje, że często musiał zagłuszać. Całkiem łatwo potrafię sobie wyobrazić, jak twój kochany George zamiata papierki pod dywan. – A teraz mówi już wprost do mnie: – I całkiem łatwo potrafię sobie wyobrazić, że mu pomagasz. Że nie miałbyś z tym żadnych problemów. Zresztą niektóre z tych dziwnych podpisów dość przypominają twoje pismo. Nawet nie musiałeś kraść tych akt. Wystarczyło wynieść je pod czyimś nazwiskiem i gotowe. A co do naszego nieodżałowanego Aleca Leamasa, który tak tragicznie zginął pod murem berlińskim, to jego akta nawet nie zostały przetrzebione, tylko po prostu się ulotniły. Nie została po nich choćby karta katalogowa w starym indeksie. Ale ciebie jakoś to nie dziwi...

– Dziwi, i owszem. Jestem w szoku. I głęboko poruszony.

– Ależ dlaczego? Tylko dlatego, że twierdzę, że zwinęłaś akta Leamasa z tajnego archiwum i skryłaś je w jakiejś dziupli? W końcu dla wuja George'a też kiedyś kradłaś akta. To czemu nie akta Leamasa? Ot, pamiętka po tym, jak go tam załatwili... A jak było tej jego dziewczynie?

– Gold. Elizabeth Gold.

– A, pamiętasz. Elizabeth. Liz. Wiesz, że jej akt też nie ma? W sumie to nawet jakby romantyczne: akta Aleca Leamasa i Liz Gold znikają razem w oddali... A swoją drogą jak to się stało, że byliście z Leamasem tacy dobrzy kumple? Z tego co słyszałem, do końca prawdziwi towarzysze broni.

– Robiliśmy razem to i owo.

– A co?

– Alec był ode mnie starszy. I mądrzejszy. Kiedy robił jakąś operację i potrzebował pomocnika, prosił o mnie. Jeżeli kadry i George nie mieli nic przeciwko temu, pracowaliśmy razem.

Laura wraca do rozmowy:

– To daj nam parę przykładów tej waszej wspólnej pracy. – Jej ton sugeruje, że nie

aprobuję wspólnej pracy, ale mnie jak najbardziej odpowiada, że mam pretekst do dygresji.

– Cóż, Aleca poznałem w Afganistanie. Jakoś w połowie lat pięćdziesiątych. Ale tak na serio zaczęło się od wprowadzania w teren małych zespołów przez Kaukaz do Rosji. Dla was to są oczywiście opowieści z czasów króla Ćwieczka. – Lekki chichot, kiwanie głową. – Muszę przyznać, że za dobrze nam nie szło. Dziewięć miesięcy później przenieśli go do roboty w krajach bałtyckich. Wprowadzał i wyprowadzał agentów na terenie Estonii, Łotwy i Litwy. Znowu poprosił, żeby mnie do niego przydzielili, więc przydzielili. – Dla ułatwienia Laurze życia wyjaśniam: – Bo państwa bałtyckie należały wtedy do Związku Sowieckiego. Zresztą jestem pewny, że świetnie to wiesz.

– No i teraz nie mówi się „agenci”, tylko „osobowe źródła informacji”. A Leamas był wtedy oficjalnie w Travemünde, zgadza się? Na północy Niemiec?

– Zgadza się. Pod przykryciem członka Międzynarodowej Grupy Ochrony Łowisk. Ochrona łowisk za dnia, nocą lądowanie na plażach.

Bunny przerywa nasze tête-à-tête:

– A te nocne wycieczki miały w ogóle jakąś nazwę?

– „Scyzoryk”, o ile się nie mylę.

– Nie „Fuks”?

Lepiej to zignorować.

– „Scyzoryk”. Trwało to parę lat, potem się skończyło.

– To co robiliście?

– Najpierw szukało się ochotników. Szkolenie w Szkocji, w Czarnym Lesie, wszystko jedno. Głównie Estończycy i Łotysze. Potem wysyłało się ich do siebie. Musiał być nów, gumowe pontony, wyciszone silniki. Lornetki na podczerwień, te rzeczy. Komitet powitalny na plaży dawał sygnał, że można, i jedziemy. To znaczy nie my, tylko nasi agenci.

– A jak już agenci odpłynęli, co robiliście z Leamasem? Oczywiście jak już otwarliście butelkę, bo zdaje się, że w jego wypadku inaczej się nie dało?

– No, na pewno nie zostawialiśmy, żeby się gapić – odpowiadam, nie dając się sprowokować. – Należało zrobić swoje i w nogi. Od tego momentu to była już sprawa tamtych... A właściwie czemu pytasz?

– Częściowo po to, żeby wiedzieć, jak to było. Częściowo dlatego, że tak świetnie pamiętasz „Scyzoryk”, a „Fuksa” ani trochę.

I znowu Laura:

– Kiedy mówisz, że to była ich sprawa, agentów, zapewne chcesz powiedzieć, że zostawialiście ich na łasce losu?

– Można tak to ująć, jeśli ci na tym zależy.

– A jaki był ten los? Chyba że tego też nie pamiętasz?

– Ginęli.

– Dosłownie?

– Jednych łapali jeszcze na brzegu. Innych parę dni później. Paru przewerbowali, musieli trochę popracować przeciwko nam, dopiero potem ich rozwalali – odpowiadam z naciskiem i już słyszę złość we własnym głosie. Nie bardzo chcę nad nią zapanować.

– I kogo mamy za to winić, Pete? – Wciąż Laura.

– Za co?

– Za to, że ginęli.

Nie zaszkodzi drobny wybuch gniewu.

– No przecież tego zdrańca Haydona, naszego firmowego zdrajcę! A kogo innego? Biedacy byli spaleni, jeszcze zanim odpłynęliśmy od brzegu w Niemczech. Dzięki naszemu kochanemu szefowi Komitetu Sterującego, tego samego Komitetu, który od początku planował całą akcję!

Bunny pochyla głowę, patrzy na coś, co ma pod blatem biurka. Laura najpierw spogląda na mnie, potem spuszcza wzrok na własne dłonie i ten widok bardziej jej odpowiada. A paznokcie ma krótko obcięte, jak u chłopca, i czyściutko wyszczotkowane.

– Peter... – Teraz Bunny strzela salwami, nie pojedynczo. – Jako główny radca prawny Agencji... powtarzam, nie występuję tu jako twój adwokat... muszę stwierdzić, że bardzo mnie niepokoją pewne aspekty twojej przeszłości. Chodzi o to, że jeżeli parlament ustąpi pierwszeństwa sądowi, jawnemu, tajnemu, wszystko jedno, niech nas Pan Bóg zachowa od jednego i drugiego... no więc każdy dobry adwokat może dać do zrozumienia, że w trakcie swojej kariery byłeś zamieszany w śmierć bardzo wielu osób i że nie za bardzo się tym przejmowałeś. I że byłeś przydzielany, na przykład przez naszego kochanego George'a Smileya, do takich tajnych operacji, w których śmierć niewinnych ludzi była uważana za akceptowalne czy nieuniknione ryzyko. A może wręcz za coś korzystnego.

– Jak to korzystnego? Śmierć? O czym ty gadasz?

– O „Fuksie” – mówi cierpliwie Bunny.

### 3

– Peter?

– Słucham.

Na razie Laura postanowiła milczeć z dezaprobatą.

– Czy możemy na chwilę wrócić do roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego dziewiątego? Bo zdaje się wtedy przerwano operację „Scyzoryk”?

– Już wiesz, Bunny, że nie mam głowy do dat.

– Operację przerwało ministerstwo. Bo była bezproduktywna, za to kosztowna. Finansowo i pod względem ofiar w ludziach. Ale wy z Leamasem podejrzewaliście, że ktoś w kraju robi brudną robotę.

– A tak. Komitet Sterujący szalał, że to nieudolność, Alec twierdził, że spisek. Bo niezależnie od tego, gdzie lądowaliśmy, konkurencja już tam była. Za każdym razem. Zdekspirowane radiostacje, wpadki jedna za drugą. Musieli kogoś u nas mieć. Tak twierdził Alec. Ja byłem wtedy nikim, ale się z nim zgadzałem.

– I wtedy postanowiliście we dwójkę, że trzeba uderzyć do Smileya. Pewnie uważaliście, że jest poza wszelkim podejrzeniem.

– Bo „Scyzoryk” to była operacja Komitetu. Pod kierownictwem Billa. Przede wszystkim Haydon, potem Alleline, Bland, Esterhase. Mówiliśmy o nich „chłopcy Billa”. George nie miał z nimi nic wspólnego.

– A Komitet i Operacje Tajne darły ze sobą koty?

– Bo Komitet cały czas kombinował, jak by tu przejąć Operacje Tajne. George uważał, że to walka o władzę, więc jej się przeciwstawiał. Z całych sił.

– A jak się miał do tego wszystkiego dzielny szef Agencji? Nasz Kontroler, bo tak musimy ciągle go nazywać?

– Wygrywał jednych przeciw drugim. Dzielił i rządził. Jak zwykle.

– Czy dobrze mi się zdaje, że między Smileym a Haydonem były też sprawy osobiste?

– Możliwe. Chodziły ploty, że Bill miał romans z Ann, żoną George’a. Przez to George nie umiał być względem niego bezstronny. Zresztą takiego numeru można się było spodziewać po Billu. Cwany był, skurwysyn.

– Smiley ci się zwierzał?

– Ależ skąd. Podwładnemu?

Bunny przez chwilę się nad tym zastanawia, nie wierzy mi, chce drążyć temat, lecz w końcu daje za wygraną.

– Czyli operacja „Scyzoryk” padła, wy z Leamasem poszliście poskarżyć się Smileyowi. Było was trzech. W tym ty. Chociaż tak niski stopniem.

– Alec powiedział, żebym z nim poszedł. Bał się, że nie wytrzyma.

– Dlaczego?

– Bo się łatwo wkurzał.

– I gdzie się odbyło to spotkanie *à trois*?

– A jakie to ma znaczenie, do cholery?

– Bo przecież musieliście mieć jakąś melinę. O której mi jeszcze nie powiedziałaś, ale w końcu powiesz. Pomyślałem sobie, że może to dobry moment, żeby cię o to zapytać.

A już mi się wydawało, że te pogaduszki wreszcie zaczynają przybierać bezpieczniejszy obrót!

– Mogliśmy użyć któregoś z mieszkań konspiracyjnych, ale Komitet miał wszędzie podsłuch. Mogliśmy pójść do George’a na Bywater Street, ale tam była Ann. Wiadomo było, że lepiej nie mówić przy niej o sprawach, które ją przerastają.

– Bo zaraz przekablowałaby Haydonowi?

– Tego nie powiedziałem. Było wiadomo i już. Mam mówić dalej czy nie?

– Ależ jak najbardziej, bardzo proszę.

– Dlatego poszliśmy po George’a na Bywater i wzięliśmy go na spacer nad Tamizą. Niby dla zdrowia. Był letni wieczór, a on zawsze narzekał, że nie ma dość ruchu.

– I operacja „Fuks” narodziła się właśnie podczas wieczornej przechadzki nad rzeką?

– Och, na miłość boską, chłopie! Ile ty masz lat?

– Och, wystarczająco dużo, nic się nie bój. Za to ty młodniejesz z minuty na minutę. No to jak wam się rozmawiało? Zamieniam się w słuch.

– Rozmawiało nam się o tym, że ktoś zdradził. Ale tak ogólnie, bez żadnych szczegółów, bez personaliów, bo podejrzany był każdy obecny i były członek Komitetu. Czyli zdrajca mógł być jednym z pięćdziesięciu, sześćdziesięciu ludzi. Zastanawialiśmy się, kto miał wystarczające dojścia, żeby wydać „Scyzoryk”, ale dobrze wiedzieliśmy, że ponieważ Bill był szefem Komitetu, ponieważ Percy Alleline jadł mu z ręki, a Bland z Esterhase’em wciąż się przy nich kręcili, aby się pod nich podpiąć, wystarczyłoby, żeby taki zdrajca pojawił się na praktycznie ogólnodostępnych zebraniach Komitetu albo choćby w oficerskiej mesie, żeby posłuchać przechwałek Alleline’a. Bill zawsze twierdził, że podział kompetencji to głupi pomysł, że najlepiej, jak wszyscy wiedzą wszystko. No i dla niego była to rzeczywiście idealna sytuacja.

– A jak Smiley zareagował na waszą inicjatywę?

– Powiedział, że musi to wszystko dobrze przemyśleć i że da nam odpowiedź. George nigdy nie reagował inaczej. Wiecie co? Chyba jednak skuszę się na kawusię, skoro tak ładnie prosicie. Bardzo proszę czarną bez cukru.

Przeciągnąłem się, pokręciłem głową, ziewnąłem. Na miłość boską, przecież mam swoje lata. Ale Bunny nawet się nie ruszył, a Laura już dawno przestała mnie lubić. Oboje patrzyli z takimi minami, jakby mnie mieli serdecznie dość. Kawa w ogóle nie wchodziła w rachubę.

\*

Bunny przybrał teraz prawniczy wyraz twarzy. Koniec z mrużeniem oczek. I z mówieniem głośno, żeby otepiały, przygłuchy starszy pan na pewno wszystko dobrze usłyszał.

– To teraz, jeśli można, wróćmy do tego, od czego zaczęliśmy. Do twojej sytuacji z prawnego punktu widzenia. I sytuacji Agencji z prawnego punktu widzenia. Czy mogę liczyć na twoją niepodzielną uwagę?

– Powiedzmy, że tak.

– Wspominałem już, że angielska opinia publiczna bardzo się interesuje starymi zbrodniami. I że nasi dzielni parlamentarzyści doskonale zdają sobie z tego sprawę.

– Wspominałeś? Może.

– I że tak samo podchodzi do tego nasze sądownictwo. Roztrząsanie starych spraw to ostatni krzyk mody. Nasz najnowszy narodowy sport. Dzisiejsze pokolenie niewinne jak je Pan Bóg stworzył kontra twoje pokolenie, winne jak diabli. Kto odpowie za grzechy ojców, nawet jeżeli za ich czasów to wcale nie były grzechy? Tylko że ty przecież nie jesteś ojcem. Swoją drogą dziwna sprawa, bo z twoich akt wynika, że powinieneś mieć teraz cały tłum wnucząt.

– A mówiliście, że moje akta nie istnieją. To jednak istnieją?

– Ja usiłuję zrozumieć, co czujesz. Ale mi się nie udaje. Albo w ogóle nie masz uczuć, albo masz ich za dużo. Przeszedłeś do porządku dziennego nad śmiercią Liz Gold. Dlaczego? Przeszedłeś do porządku dziennego nad śmiercią Aleca Leamasa. Symulujesz kompletną amnezję na temat „Fuksa”, a przecież wiemy doskonale, że do tej operacji miałeś pełny dostęp. A najciekawsze, że z kolei twój nieżyjący przyjaciel Alec Leamas nie był do „Fuksa” dopuszczony. I że zginął w trakcie operacji, o której nic nie wiedział! Nie proszę, żebyś mi przerywał, więc bądź taki dobry i nie przerywaj. No tak, ale mimo wszystko – dodał, kładąc krzyżyk na mojej niegrzeczności – zaczyna mi się zarysowywać jakiś kompromis między nami. Przyznałeś, że operacja „Fuks” mogła ci się obić o uszy. I powiedziałeś miłutko i jak skończony idiota, że pewnie to były jakieś ćwiczenia. A może zrobimy tak: my powiemy ci trochę więcej, a ty w zamian usłyszysz wreszcie, że gdzieś dzwoni, i nawet zaczniesz się domyślać, w którym kościele.

Zamyślam się, kręcę głową, wsłuchuję się w te odległe dzwony. Mam wrażenie, że prowadzę walkę do ostatniego żołnierza. I że tym żołnierzem jestem ja.

– Rzeczywiście coś mi się mgliście przypomina. – Idę Bunny’emu na rękę, by poczuł, że zaczynam usposabiać się do niego trochę przychylniej. – Jeżeli w ogóle był jakiś „Fuks”, nie była to operacja, tylko źródło. Kompletnie nieprzydatne zresztą. Chyba stąd to całe nasze nieporozumienie. – Miałem nadzieję, że ci z drugiej strony stołu trochę mi teraz odpuszczą, lecz nic z tego. – To było potencjalne źródło informacji, które padło na pierwszej przeszkodzie. I zaraz całą sprawę zamknięto. Bardzo słusznie. Odłożona ad acta, zapomniana. – I brnę dalej: – Źródło „Fuksa” to była jakaś zaszłość z życiorysu George’a. O znaczeniu czysto historycznym, można powiedzieć. – Tu ukłon w stronę Laury. – Jakiś enerdowski profesor literatury barokowej z uniwersytetu w Weimarze. Kumpel George’a z czasów wojny, robił dla nas to i owo. Skontaktował się z George’em przez jakiegoś szwedzkiego naukowca w pięćdziesiątym dziewiątym roku czy coś koło tego. – Podstawowa zasada: mówić płynnie i mętnie. – I ten „profesorek”, bo tak go nazywaliśmy, twierdził, że wie o jakimś supertajnym układzie między obiema połówkami Niemiec i Kremlen. Twierdził, że powiedział mu to jakiś kolega o podobnych poglądach, jakiś wysoki enerdowski urzędnik. – Słowa jak za dawnych dobrych czasów ściekają mi teraz z języka niczym ślina. – Obie połówki mają się połączyć, pod warunkiem że zachowają neutralność i się rozbiją. Innymi słowy powstanie dokładnie to, czego Zachód nie chciał: próżnia w samym środku Europy. A jeżeli Cyrk przemyci profesorka na Zachód, dowiemy się



wszystkiego ze szczegółami.

Uśmiecham się blado, kręcę starą siwą łepetyną. Z drugiej strony stołu jednak kompletny brak reakcji.

– Okazało się, że za to wszystko profesorek życzył sobie dostać katedrę w Oksfordzie, dożywotnią pracę i zaproszenie na herbatkę do królowej. – Teraz chichot. – I oczywiście zmyślił wszystko od początku do końca. Wszystko wyssał z palca. Po sprawie – kończę w poczuciu, że mimo wszystko świetnie sobie poradziłem i że George na pewno by mi przyklasnął, gdyby tu teraz był.

Ale ani Bunny, ani Laura bynajmniej mnie nie oklaskują. Bunny ma nieszczercze zmartwioną minę, Laura chyba nie wierzy własnym uszom.

– No widzisz, Peter, sęk w tym – wyjaśnia Bunny po chwili – że ty nam tu sprzedajesz te same stare pierdoły, które możemy sami sobie przeczytać w spreparowanych aktach „Fuksa” ze starej kartoteki. Mam rację, Lauro?

Wydaje się, że ma, bo Laura dopowiada jak na zawołanie:

– Dokładnie te same. Słowo w słowo. Jedna wielka bujda, żeby się nie wydało. Nie było żadnego profesorka. Cała historia jest wyssana z palca. Od początku do końca. I zresztą nic dziwnego: bo jeżeli „Fuksa” trzeba było strzec przed bystrym wzrokiem Haydonów tego świata, można zrozumieć, dlaczego ktoś zdecydował się na taką fałszywkę.

– Ale zupełnie nie rozumiem, Peter, dlaczego teraz, na stare lata, serwujesz nam te same pierdoły, tę samą dezinformację, którą ty, George Smiley i w ogóle całe Operacje Tajne puściły w świat o całe pokolenie wstecz – zauważa Bunny i nawet zmusza się do lekkiego przyjacielskiego zmruczenia oczek.

– Bo widzisz, Pete, znaleźliśmy stare faktury Kontrolera z czasów, kiedy łaskawie wam panował – wyjaśnia usłużnie Laura, gdy ja jeszcze zastanawiam się nad odpowiedzią. – Te z jego nieoficjalnego funduszu. Z tych pieniążków, które minister dawał mu w ciemno na drobne wydatki, ale Kontroler jakoś rozliczać się z nich musiał, i to co do pensa, prawda? – Mówi jak do dziecka. – Wszystko przekazywał osobiście, z rączki do rączki, swojemu wiernemu koleśowi z Ministerstwa Skarbu. A koleś nazywał się Oliver Lacon, potem nawet sir Oliver i w końcu, niestety, świętej pamięci lord Lacon z Ascot West...

– Czy dowiem się wreszcie, jaki to ma związek ze mną?

– Ależ proszę bardzo – odpowiada spokojnie Laura. – Otóż w swych zeznaniach finansowych dla Ministerstwa Skarbu, ale tak naprawdę tylko dla Lacona, Kontroler podaje nazwiska dwóch pracowników Cyrku, którzy na każde żądanie przedstawia pełne i wyczerpujące informacje na temat operacji „Fuks”. Na wypadek gdyby potomność miała kiedyś zakwestionować te wydatki. Kontroler miał w tym względzie żelazne zasady, nawet jeżeli brakowało mu ich w innych sprawach. No i pierwsza z tych osób to George Smiley. A druga to Peter Guillam. Czyli ty.

Przez chwilę wydaje się, że Bunny nie słyszy ani słowa z tej wymiany zdań. Siedzi ze spuszczoną głową, z oczyma wbitymi gdzieś pod blat biurka. Wreszcie jakby przytomnieje.

– Lauro, to teraz opowiedz mi o konspiracyjnym mieszkaniu operacji „Fuks”. O ukrytym gniazdku, które uwiły sobie Operacje Tajne i gdzie Peter zamelinował wszystkie ukradzione akta – proponuje tonem sugerującym, że zajmuje się zupełnie czymś innym.

– No więc tak jak powiedział Bunny, w aktach pojawia się takie mieszkanko – wyjaśnia

usłudzie Lauro. – A w dodatku mieszkanie miało swoją gospodynię. – Z oburzeniem. – I jeszcze jest mowa o tajemniczym dzentelmenie nazwiskiem Mendel, którego próżno szukać wśród etatowych pracowników Agencji, bo Operacje Tajne zatrudniły go wyłącznie na zlecenie do operacji „Fuks”. Dostawał dwieście funtów miesięcznie na konto pocztowe w Weybridge, drugie tyle, ale za rozliczeniem, na wydatki i koszty, wszystko płacone z anonimowego rachunku prowadzonego przez pewną szpanerską kancelarię prawniczą z City. A wszelkie pełnomocnictwa do dysponowania rachunkiem miał niejaki George Smiley.

– Co to za jeden ten Mendel? – pyta Bunny.

– Emerytowany policjant ze Special Branch – odpowiadam już teraz całkowicie automatycznie. – Na imię miał Oliver. Nie mylić z Oliverem Laconem.

– Skąd się wziął?

– George i Mendel znali się od dawna. George pracował z nim przy okazji innej sprawy. Lubił go. I pasowało mu, że Mendel nie był z Cyrku. Mówił o nim, że to jego oddech świeżego powietrza.

Bunny jakby nagle się zmęczył całą tą rozmową. Opada na fotel i kręci w powietrzu dłońmi, jakby szykował się do długiego lotu.

– No to może wreszcie pogadajmy poważnie, co? – proponuje z udanym ziewnięciem. – Tajny fundusz Kontrolera to w tej chwili jedyny wiarygodny dowód, a) świadczący o istnieniu i celach operacji „Fuks” i b) pozwalający nam bronić się przed nonsensownymi zarzutami z urzędu i z oskarżenia prywatnego, wniesionymi przeciwko Agencji i osobiście przeciwko tobie, Peterowi Guillamowi, przez niejakiego Christopha Leamasa, jedynego potomka zmarłego Aleca, i przez niejaką Karen Gold, stanu wolnego, jedyną córkę zmarłej Elizabeth czy też Liz. Słuchałeś, co mówiłem? Słuchałeś. No nie mów, wreszcie udało nam się czymś ciebie zdziwić?

Wciąż rozparty w fotelu mruknął cicho „Jezu” i czekał na moją reakcję. Ale chyba długo jej nie było, bo pamiętam, że zdążył jeszcze rozkazująco krzyknąć pod moim adresem:

– No i co?

\*

– Liz Gold miała dziecko? – słyszę własny głos.

– I w dodatku teraz okazuje się, że to dziecko to taka nowa, bardzo energiczna wersja mamusi. Liz ledwo skończyła piętnaście lat, kiedy zaszła w ciążę z jednym osłem z liceum. Pod naciskiem rodziców oddała dziecko do adopcji. Ktoś ochrzcił je imieniem Karen. No, może nie ochrzcił, bo jest teraz żydówką. Gdy osiągnęła pełnoletniość, wspomniana Karen skorzystała z przysługującego jej prawa do poznania tożsamości prawdziwych rodziców. Trudno się dziwić, że natychmiast zainteresowała się miejscem i okolicznościami śmierci matki.

Urywa na chwilę, na wypadek gdybym miał jakieś pytania. Spóźniam się z najbardziej oczywistym: skąd do cholery Christoph i Karen wiedzieli, jak się nazywamy? Bunny mnie ignoruje.

– W swym poszukiwaniu prawdy i spokoju Karen znalazła poparcie u syna Aleca,

Christopha, który od upadku muru berlińskiego niezależnie od niej usiłował się dowiedzieć, jak i dlaczego zginął jego ojciec. Oczywiście przy braku jakiegokolwiek pomocy ze strony Agencji, która robiła wszystko i nawet jeszcze więcej, by im w tym przeszkodzić. Niestety nasze wysiłki spełzyły na niczym, i to mimo że Christoph Leamas ma na sumieniu całą masę wykroczeń popełnionych w Niemczech.

Znowu chwila ciszy. I znowu nie ma mojego pytania.

– Doszło do porozumienia między powodem i powódką. Oboje są przekonani, i nie bez racji, że ich rodzice zginęli w wyniku karygodnego zaniedbania ze strony naszej Agencji, a konkretnie i osobiście z winy twojej i George’a Smileya. Występują o ujawnienie wszelkich informacji, wysokie odszkodowanie i publiczne przeprosiny, w których pojawią się nazwiska. Między innymi twoje. Miałeś świadomość, że Alec Leamas spłodził syna?

– Tak. A gdzie jest Smiley? Dlaczego ja tu jestem zamiast niego?

– Więc pewnie wiesz, kim była szczęśliwa matka?

– Niemką. Poznał ją w czasie wojny, kiedy operował za linią frontu. Potem wyszła za prawnika z Düsseldorfu nazwiskiem Eberhardt. Eberhardt zaadoptował chłopca, który nie nazywa się Leamas, tylko Eberhardt. Pytałem, gdzie George.

– Zaraz. I jestem ci głęboko wdzięczny, że tak nagle wszystko świetnie pamiętasz. A czy jeszcze ktoś wiedział o istnieniu chłopca? Inni koledzy twojego przyjaciela Leamasa? Bo widzisz, wiedzielibyśmy to, tylko ktoś ukradł akta. – I od razu ma dość oczekiwania na moją odpowiedź. – Czy w środowisku Agencji wiadomo było, że Alec Leamas spłodził nieślubne dziecko imieniem Christoph zamieszkałe w Düsseldorfie? Tak czy nie?

– Nie.

– Kurwa, jak to nie?

– Alec niewiele mówił o sobie.

– Chyba że do ciebie, nie? Poznałeś go?

– Kogo?

– Christopha. Nie Aleca. Christopha. Mam wrażenie, że znowu zaczynasz rżnąć głupa...

– Niczego nie zaczynam. A odpowiedź brzmi: nie. Nie poznałem Christopha Leamasa – odpowiadam, bo lepiej nie rozpieszczę go prawdą. A ponieważ on wciąż to przeżuwa, powtarzam: – Pytałem, gdzie Smiley.

– A ja, jak zapewne zauważyłeś, zignorowałem to pytanie.

Chwila ciszy, podczas której usiłujemy obaj zebrać myśli, Laura zaś smętnie wygląda przez okno.

– Ten Christoph, bo tak możemy go nazywać – zaczyna znudzonym głosem Bunny – jest nie w ciemny bity, Peter, choć to bandzior, a przynajmniej półbandzior. Pewnie ma to w genach. Jak już się przekonał, że tata rzeczywiście zginął po wschodniej stronie muru berlińskiego, dogrzebał się nie wiadomo jak do akt Stasi, niby utajnionych, i znalazł trzy ważne osoby. Ciebie, świętej pamięci Elizabeth Gold i George’a Smileya. Po paru tygodniach wpadł na ślad Elizabeth, a stąd przez rejestr urodzin trafił do jej córki. Umówili się. Mimo wielu różnic nawiązali nic porozumienia. Nie bądźmy ciekawi, jak silną. Razem poszli do jednego z tych cudownych prawników, co chodzą w sandałach i bronią praw człowieka gdzie popadnie. I są solą w oku służb specjalnych. My z kolei rozważamy wypłacenie im okrągłej sumki, oczywiście na koszt podatnika, w zamian za milczenie, choć

równocześnie zdajemy sobie sprawę, że w ten sposób pośrednio przyznamy słusność ich roszczeniom, co sprawi znów, że ich żądania staną się jeszcze bardziej stanowcze. „Mamy gdzieś wasze pieniądze. Jesteście źli. Precz z białymi plamami! Wrzód trzeba przeciąć. Muszą spaść głowy”. Niestety, między innymi twoja.

– Więc pewnie George’a też.

– I w ten sposób znaleźliśmy się w iście szekspirowskiej sytuacji, w której duchy dwóch ofiar diabelskiego cyrkowego spisku, przybrawszy postać ich dzieci, pojawiają się, by nas oskarżać. Dotąd udawało nam się zbywać media oświadczeniami sugerującymi... zresztą niezbyt zgodnie z prawdą, ale nie czepiajmy się... że gdyby parlament zdecydował się przekazać sprawę wymiarowi sprawiedliwości, sprawa trafi przed tajny sąd i to my będziemy tam rozdawać bilety wstępu. Powód i powódka, podpuszczeni przez swoich okropnie irytujących prawników, mówią: „Mamy to w dupie, ma być otwartość, pełna jawność”. Przed chwilą zapytałeś z głupia frant, skąd Stasi o was wiedziała. Jak to skąd? Z Moskwy, bo Moskwa na pewno podzieliła się informacjami ze Stasi. A skąd wiedziała o was Moskwa? Jak to skąd? Od naszej Agencji, dzięki uczynnemu Billowi Haydonowi, który działał sobie w najlepsze i wtedy, i jeszcze przez całe sześć lat, dopóki George nie przyjechał na białym koniu i nie wykurzył go z nory. Jesteś z nim dalej w kontakcie?

– Z George’em?

– Z George’em.

– Nie. Gdzie on jest?

– I przez ostatnich parę lat też nie byłeś?

– Nie.

– To kiedy ostatnio miałeś z nim kontakt?

– Z osiem lat temu. Albo dziesięć.

– Opowiadaj.

– Byłem w Londynie, to go odwiedziłem.

– Gdzie?

– Na Bywater Street.

– Jak się miał?

– Świetnie, dziękuję.

– A my szukaliśmy go to tu, to tam... I rozwiązałej lady Ann też. Z nią także nie jesteś w kontakcie? Oczywiście chodzi mi wyłącznie o kontakt w przenośni.

– Nie. I daruj sobie te cienkie aluzje.

– To teraz dawaj paszport.

– Po co?

– Ten sam, który pokazałeś na dole. Swój angielski paszport. – Wyciągnięta dłoń nad białym biurkiem.

– Po co?

Ale i tak mu go oddaję. Co miałem zrobić? Bić się z nim?

– Innych nie masz? – W zamyśleniu przerzuca kartki. – Bo miałeś ich w życiu całą harmonię na różne nazwiska. Co się z nimi teraz dzieje?

– Oddałem. Poszły do niszczarki.

– Ale przecież ty masz podwójne obywatelstwo. Gdzie masz paszport francuski?

– Mój ojciec był Anglikiem, służyłem jako Anglik, angielski dokument mi wystarczał. A teraz oddaj mi go. Bardzo proszę.

Paszport jednak już zniknął pod blatem.

– No dobra, Lauro, teraz znowu twoja kolej – mówi Bunny, jakby na nowo się zorientował, że koleżanka jest w pokoju. – Może teraz skoncentrujemy się na tym mieszkanku do operacji „Fuks”?

Było po wszystkim. Walczyłem do ostatniego kłamstwa. Zginąłem. Amunicja mi się skończyła.

\*

Laura ogląda papiery poza moim polem widzenia, a ja z całych sił usiłuję nie zwracać uwagi na ogromne krople potu spływające mi po żebrach.

– Ano właśnie, Bunny. Mieszkanko operacyjne – przytakuje, z satysfakcją unosząc głowę.

– Mieszkanko na wyłączne potrzeby operacji „Fuks”. I nic więcej. Położone gdzieś na terenie miasta Londyn. Kryptonim „Stajnia”. Gospodyni do wyłącznej dyspozycji Smiley. Właściwie tyle tylko wiemy.

– Może jednak coś ci się przypomina? – pyta zaraz Bunny.

Czekają. Ja też. Laura znowu zaczyna rozmawiać z Bunnym.

– Wygląda na to, że Kontroler nie chciał, żeby nawet Lacon wiedział, gdzie to jest ani kto tam siedzi. Biorąc pod uwagę, że Lacon był szychą w Ministerstwie Skarbu i że tyle wiedział o innych sprawach Cyrku, musi to świadczyć o niezłej podejrzliwości Kontrolera. Ale przecież nie wypada nam go krytykować?

– No właśnie. Będziemy czyścić „Stajnię”? Stajnię Augiasza? – pyta niby z ciekawością Bunny.

– Chyba tak – odpowiada Laura.

– Może tak sobie życzył Smiley?

– Zapytaj Pete’a – proponuje skwapliwie.

Ale Pete – nie cierpię, jak nazywa się mnie Pete – ogłuchł jeszcze bardziej, niż udaje.

– Bo najlepsza wiadomość jest taka – mówi znowu Bunny do Laury – że to mieszkanie dalej istnieje! Albo celowo, albo przez bałagan. Myślę, że przez bałagan. „Stajnia” pozostawała w całkowitej dyspozycji aż czterech kolejnych Kontrolerów. I istnieje nadal. Nawet na samej górze nie wiedzą ani że jest, ani gdzie. A co jeszcze śmieszniejsze, nasze kochane Ministerstwo Skarbu nigdy nie zakwestionowało wydawanych na nie pieniędzy, choć przecież wszyscy dziś zaciskamy pasa... – I głosem starej ciotki: – „Kochanie, lepiej nie pytaj. To tajemnica. Podpisz pod spodem i ani słowa mamusi”. Umowa jest na dzierżawę, ale nie wiadomo, na jak długo ta dzierżawa, kto ma tę umowę, jaki kretyn grzecznie płaci rachunki. – I znów napastliwie pod moim adresem: – Peter. Pierre, Pete. Co tak zamilkłeś? Oświeć nas, proszę. Ten kretyn to kto?

Trochę trudno dalej się wywijać, kiedy człowiek jest w potrzebie, kiedy wykorzystał już wszystkie sztuczki i nic. Można zacząć nową historyjkę w obrębie tej pierwszej i tego również próbowałem, ale także bez skutku. Można stworzyć nowy wątek i mieć nadzieję, że na tym się skończy. To też zrobiłem i nic. Wtedy trzeba sobie powiedzieć, że to koniec

i pozostaje tylko jedno: śmiało powiedzieć prawdę, jak najmniej prawdy, tylko tyle, ile trzeba, i zarobić parę punktów za dobre sprawowanie. Oczywiście za bardzo na te punkty nie liczyłem, ale może przynajmniej uda mi się odzyskać paszport?

\*

– George miał swojego prawnika – powiedziałem, czując, jak wbrew moim chęciom narasta we mnie grzeszna ulga penitenta. – Szpanerskiego prawnika, jak zauważyłaś. Jakiegoś dalekiego krewnego Ann. I ten prawnik, a może prawniczka, nie wiem, robił za łącznika. To nie jest żadne mieszkanie konspiracyjne, tylko konspiracyjny dom, ma ze trzy piętra. A umowa najmu jest na firmę zarejestrowaną na Antylach Holenderskich.

– No, wreszcie się spisałeś – pochwalił mnie Bunny. – A gospodyni?

– Millie McCraig. Była agentka George’a. Już wcześniej pracowała dla niego. Świetnie się sprawdziła. Na początku „Fuksa” prowadziła ośrodek Komitetu Sterującego w New Forest. Kryptonim „Obóz numer 4”. George kazał jej się zwolnić, a potem na nowo przyjąć, ale już w Operacjach Tajnych. Pieniądze na nią brał z tajnego funduszu. I umieścił ją w „Stajni”.

– Która znajduje się gdzie, jeśli można wiedzieć? – drażył Bunny.

No więc powiedziałem im to, i nawet podałem numer telefonu „Stajni”, który spłynął mi z ust tak, jakbym o niczym innym nie marzył, tylko o tym, żeby się nim podzielić. Przez chwilę trwała zmiana dekoracji, bo Bunny i Laura musieli zrobić sobie miejsce na biurku między aktami, po czym Bunny umieścił tam szeroki telefon, tak skomplikowany, że sam bym sobie z nim nie poradził, i poprzciskawszy parę klawiszy z szybkością błyskawicy, podał mi słuchawkę.

Dziesięć razy wolniej wystukałem numer „Stajni” i aż się wzdrygnąłem, bo sygnał wybierania rozległ się w całym pokoju. Już i tak czułem się jak zdrajca, więc ten dźwięk zabrzmiał nawet nie jak niedochowanie wymogów tajności, ale wręcz jak przyznanie się do zdrady – zupełnie jakbym został zdemaskowany, wzięty do niewoli i zwerbowany jako podwójny agent. Telefon wył i wył. Czekaliśmy. Wciąż nic. Pomyślałem sobie, że Millie albo jest w kościele, bo zawsze spędzała tam dużo czasu, albo poszła na rower, albo już nie jest tak sprawna jak dawniej, podobnie jak wielu z nas. Albo – najpewniej – choć zawsze piękna i niedostępna, już dawno temu przeniosła się na tamten świat i na cmentarz, bo w końcu była ode mnie co najmniej pięć lat starsza.

Sygnał wreszcie zamilkł. Usłyszałem coś jakby trzask i pomyślałem sobie, że to automatyczna sekretarka. I wtedy, ku własnemu zdumieniu i z całkowitym niedowierzaniem, usłyszałem głos Millie, ten sam niezmienny głos, ten sam twardy, pełen dezaprobaty szkocki akcent, który często parodiowałem, by rozbawić George’a, kiedy był w złym humorze.

– Tak? Halo? – A potem, ponieważ się zawahałem: – Słucham, kto mówi? – Z oburzeniem, jakby była północ, a nie siódma wieczór.

– Millie, to ja, Peter Weston – powiedziałem. I na wszelki wypadek dodałem jeszcze pseudonim Smileya: – Pewnie pamiętasz. Znajomy pana Barraclough.

Miałem wrażenie – czy wręcz nadzieję – że przynajmniej raz w życiu Millie nie od razu

się połapie, ale zareagowała tak błyskawicznie, że to ja się pogubiłem, nie ona.

– Pan Weston?

– We własnej osobie. Nie mój cień.

– Bardzo proszę o identyfikację.

Jaką identyfikację? Przecież właśnie podałem jej dwa pseudonimy. Dopiero po chwili uświadomiłem sobie: domaga się, żebym wystukał w słuchawkę mój kod. To okropnie staroświecka metoda, stosowana częściej na gościnnych występach w Moskwie niż w Londynie, ale Smiley i do takich rzeczy nas zmuszał w najgorszych czasach. Chwyliłem więc brązowy drewniany ołówek leżący przede mną na biurku i czując się jak kompletny idiota, pochyliłem się nad superwypasionym telefonem Bunny'ego, modląc się w duchu, żeby kod zabrzmiał tak samo jak w tradycyjnej słuchawce: trzy stuknięcia, przerwa, jedno, przerwa, dwa. Najwyraźniej wszystko było w porządku, bo ledwo stuknąłem po raz ostatni, Millie odezwała się znowu, miła i uczynna, mówiąc, jak to miło mnie słyszeć po tylu latach, i pytając, w czym może mi pomóc.

Tak naprawdę powinienem był odpowiedzieć: „Skoro pytasz, Millie, to czy mogłabyś mnie upewnić z łaski swojej, że to wszystko dzieje się naprawdę, a nie w jakimś mrocznym zakątku czyścica przeznaczonych dla cierpiących na bezsenność szpiegów z dawnych lat?”.

## 4

Przyjechawszy poprzedniego dnia rano z Bretanii, zatrzymałem się w ponurym hotelu niedaleko dworca Charing Cross i wydałem dziewięćdziesiąt funtów z góry za pokój wielkości karawanu. Po drodze wpadłem jeszcze przywitać się ze starym kumplem i byłym tajnym współpracownikiem, niejakim Bernie Lavendarem, właścicielem firmy Krawiectwo Dyplomatyczne, którego pracownia znajdowała się w mikroskopijnej suterynie w jednej z przecznic od Savile Row. Ale Bernie nie przejmował się rozmiarami swego zakładu. Dla niego – i dla Cyrku – liczyło się tylko to, że miał nieograniczony wstęp na dyplomatyczne salony Kensington Palace Gardens i St. John's Wood i że zawsze mógł liczyć na nieopodatkowane fuchy.

Uściskaliśmy się, zapuścił zasłony i zaryglował drzwi. Z uwagi na stare dobre czasy przymierzyłem parę marynarek i garniturów, zamówionych, ale potem z niewiadomych powodów nieodebranych przez zagranicznych dyplomatów. I wreszcie – również przez pamięć na dawne czasy – oddałem mu na przechowanie w sejfie zaklejoną kopertę. Był w niej tylko mój francuski paszport, ale Bernie nie traktowałby jej z większym uszanowaniem, gdyby zawierała plany inwazji na Normandię.

Teraz wróciłem do niego, by ją odebrać.

– A co słyhać u pana Smileya? – pyta Bernie, zniżając głos z szacunku albo z nadmiaru ostrożności. – Czy miał pan od niego jakieś wiadomości, panie G.?

Pan G. nie miał wiadomości. A Bernie? Bernie niestety też nie, więc możemy tylko się pośmiać, że George zawsze znikał na długo i nikomu nie mówił gdzie.

W duchu jednak wcale się nie śmiałem. Czy to możliwe, że George nie żyje? I że Bunny o tym wie, tylko mi nie mówi? Ale przecież nawet George nie potrafiłby umrzeć w tajemnicy. A co z Ann, jego żoną, niewierną aż do śmierci? Jakiś czas temu dowiedziałem się, że znużona licznymi przygodami związała się w końcu z pewną modną organizacją dobroczynną. Można się tylko domyślać, czy ten związek przetrwał choć odrobinę dłużej niż wszystkie inne.

Odzyskawszy teraz francuski paszport i włożywszy go do kieszeni, powędrowałem na Tottenham Court Road, gdzie zainwestowałem w parę telefonów na kartę, przedpłaconych po dziesięć funtów każdy. I jeszcze wróciłem się po butelkę szkockiej, bo zapomniałem kupić na lotnisku w Rennes, i chyba jej właśnie zawdzięczam, że zupełnie nie pamiętam, jak minęła noc.

Wstałem o świcie. Przez godzinę chodziłem po mżawce, zjadłem podłe śniadanie w jakiejś kanapkarni. I dopiero wtedy, z rezygnacją przemieszaną z niedowierzaniem, zdobyłem się na odwagę, by złapać tradycyjną londyńską taksówkę i podać kierowcy adres, pod którym przez całe dwa lata doświadczałem kiedyś więcej radości, stresu i ludzkiego nieszczęścia niż w jakimkolwiek innym okresie mojego życia.



Dom pod numerem 13 na Disraeli Street, czyli „Stajnia”, był w mojej pamięci obskurną, dawno nieremontowaną kamieniczką na końcu całego rzędu domów w tym zaułku w Bloomsbury. Teraz nie posiadam się ze zdumienia, bo stoi przede mną zupełnie niezmienny, bezwstydnie i z wyrzutem kontrastując z lśniącymi odnowionymi sąsiadami. Jest umówiona godzina – dziewiąta rano – ale na progu już króluje szczupła kobieta w dzinsach, adidasach i skórzanej kurtce, obrażająca kogoś przez telefon komórkowy. Już mam zrobić jeszcze jedną rundkę, gdy orientuję się, że to Laura od historii, lecz ubrana całkiem nowocześnie.

– Dobrze spałeś, Pete?

– Jak aniołek.

– Który dzwonek przycisnąć, żeby nie złapać syfa?

– Ten z napisem „Etyka”.

To pomyśl Smileya. Chodziło mu o coś jak najmniej kuszącego. Drzwi frontowe otwały się i w półmroku ukazał się duch Millie McCraig. Jej kruczoczarne włosy były teraz równie siwe jak moje, ciało sportsmenki przytłoczone wiekiem, ale w wilgotnych niebieskich oczach płonął ten sam płomień co dawniej, gdy pozwoliła mi ucałować powietrze nad swoimi dziewczymi celtyckimi policzkami.

Laura przepchnęła się obok nas do środka. Obie kobiety zmierzyły się wzrokiem jak bokserzy przed walką, a ja poczułem się tak bardzo u siebie w domu i równocześnie tak bardzo winny, że pragnąłem jedynie wymknąć się na ulicę, zamknąć za sobą drzwi i udawać, że nigdy mnie tu nie było. Bo to, co tu zobaczyłem, przeszłoby najśmielsze oczekiwania najbardziej wybrednego archeologa: skrupulatnie zachowana komora grobowa o nietkniętych pieczęciach, poświęcona operacji „Fuks” i wszystkim, którzy płynęli razem z nią, od mojego stroju dostawcy pizzy na wieszaku po wielki rower Millie McCraig, już wtedy zabytkowy. Miał słomiany koszyk, staroświecki dzwonek i kolorową sakwę i stał jak zawsze na stojaku w holu.

– Czy chce się pani rozejrzeć? – mówi Millie do Laury tak obojętnie, jakby oprowadzała potencjalnego nabywcę.

– Tu jest tylne wejście – stwierdza Laura, wyciągnąwszy z torebki plan budynku. Skąd ona to wytrzasnęła, na miłość boską?

Stoimy na wykafelkowanej podłodze w kuchni. W dole widać mikroskopijny ogródek, a w samym jego środku założony przez Millie warzywnik. To my z Oliverem Mendelem kopaliśmy pierwsze grządki. Sznur do prania jest pusty, ale w końcu Millie się nas spodziewała. Jest i domek dla ptaków – ten sam. Zbiliśmy go z Mendelem kiedyś o północy z jakichś deszczulek. Potem, lekko pijany, kazałem mu wypalić w drewnie napis: „Zapraszamy wszystkie ptaszki”. No i proszę – jest wciąż tam gdzie zawsze, tkwi na swym starym miejscu równie dumnie jak w dniu urodzin, z okazji których został postawiony. Kamienna ścieżka wije się między rabatkami aż do ciasnej furtki prowadzącej na prywatne miejsce do parkowania, wiodące z kolei w boczną uliczkę. Jeżeli George pobłogosławił jakkolwiek lokal konspiracyjny, musiało tam być tylne wyjście.

– Ktoś kiedyś tędy wchodził? – pyta Laura.

– Kontroler – wyręczam Millie w odpowiedzi. – Za żadne skarby nie wchodziłby od frontu.

– A wy, reszta?

– Od frontu. Jeśli Kontroler przypisał sobie tylne wejście, było już tylko jego.

Powtarzam sobie w kółko, żeby szafować drobiazgami. Resztę pamięci zamknąć na klucz, klucz wyrzucić. Kolejnym punktem programu zwiedzania są kręte drewniane schody, istna miniaturowa replika każdego obskurnych schodów w Cyrku. Już mamy na nie wejść, gdy do wtóru dzwoneczka pojawia się kot – a w rzeczywistości olbrzymie czarne, kudłate, zbójckie kocisko z czerwoną obrozą. Siada, ziewa, gapi się na nas. Laura też mierzy go wzrokiem i zwraca się do Millie:

– Ona też jest na naszym garnuszku?

– Nie ona, tylko on. I karmię go własnym sumptem.

– Nazywa się jakoś?

– Nazywa.

– Ale to tajemnica państwowa?

– Tak.

Laura kroczy dalej, kot nieufnie podąża za nią. Docieramy na półpiętro i stajemy przed drzwiami obitymi zielonym rypsem. Zamek w drzwiach jest szyfrowy. Słusznie, bo za nimi znajduje się pokój szyfrów. Kiedy nastał George, drzwi były gładkie, ale szyfrant Ben nie chciał, żeby mu patrzono na ręce, i stąd ten rypsy.

– No tak. Kto zna kombinację? – pyta Laura rzeczowa jak skautka.

Ponieważ Millie wciąż się nie odzywa, niechętnie podaję szyfr: 21 10 05. Data dzienna bitwy pod Trafalgarem.

– Ben służył przedtem w marynarce wojennej – wyjaśniam, ale Laura ani słowem nie zdradza, że wie, o co mi chodzi.

Laura rozsiada się na obrotowym fotelu i patrzy spode łba na całe rzędy pokręteł i przełączników. Przyciska jeden z przełączników. Nic. Obraca jakimś pokręteł. Nic.

– Wyłączone. Od tamtego razu – szepcze Millie, lecz tylko do mnie, nie do Laury.

Laura obraca się zamasyście na fotelu i wskazuje palcem na zielony sejf firmy Chubb.

– No tak. Jest do tego klucz?

Te jej „No tak” zaczynają grać mi na nerwach. Zupełnie jak „Pete”. Millie wybiera jeden z pęku kluczy. Zamek się obraca, drzwiczki sejfu rozwierają na oścież. Laura zagląda do środka i zamaszystym gestem ręki zrzuca całą zawartość na kokosową matę: księgi szyfrów oznaczone napisem „Tajne spec. znaczenia”, ołówki, wzmocnione koperty, wyblakłe skoroszyty w celofanowych opakowaniach po dwanaście.

– Zostawiamy wszystko, jak jest, tak? – oznajmia, obracając się z powrotem w naszą stronę. – Zrozumiano? Pete? Millie?

Już jest w połowie kolejnych schodów, lecz staje jak wryta, gdy Millie zatrzymuje ją pełnym wyrzutu: „Chwileczkę!”.

– Czy pani zamierza wejść do mojego prywatnego mieszkania?

– A jeśli tak, to co?

– Może pani dokonać inspekcji mojego mieszkania i rzeczy osobistych, ale tylko w przypadku, gdy zostaną odpowiednio wcześniej o tym powiadomiona pismem

z odręcznym podpisem kogoś z Centrali – oświadcza Millie jednym tchem i bez zmiany tembru głosu, aż zaczynam ją podejrzewać, że tej formułki nauczyła się na pamięć. – A tymczasem bardzo proszę szanować moją prywatność w stopniu zgodnym z moim wiekiem i stanowiskiem.

Laura reaguje na to herezją, na którą w najlepszych czasach nie zdobyłby się nawet Mendel:

– A co, Millie? Masz tam kogoś?

\*

Tajny kot się oddalił. Stoimy w środkowym pokoju nazwanym tak w dniu, kiedy razem z Mendelem zdemontowaliśmy stare przepierzenia z dykty. Patrząc od ulicy, widać było jeszcze jedno brudne parterowe okno z ażurową firanką. Tylko że od wewnątrz nie było okna, bo zamurowaliśmy je pewnego śnieżnego sobotniego popołudnia, pogrążając pokój w mroku, który rozproszyć można, włączając kinkiety o zielonych abażurach kupione w jakimś sklepiku w Soho.

Środek pokoju zajmowały dwa olbrzymie wiktoriańskie biurka – jedno Smileya, drugie należące sporadycznie do Kontrolera. Ich pochodzenie było dla mnie tajemnicą, dopóki Smiley nie wyjawiał nam kiedyś przy whisky, że jakiś krewny Ann wyprzedawał posiadłość w Devon, żeby zapłacić podatek spadkowy.

– A cóż to za paskudztwo?

Wcale się nie zdziwiłem, że wzrok Laury padł na wielki jaskrawy schemat wiszący nad biurkiem Kontrolera. Sam nie uważałem go za paskudztwo – ale zgoda, robił wrażenie. W jednej chwili chwyciłem jesionową laskę, wciąż zawieszoną na fotelu, i rozpocząłem lekcję, która jednak miała tylko bawić, nie uczyć.

– Ta część tu, Lauro... – I zacząłem wymachiwać laską przed płataniną kolorowych linii i kryptonimów przypominającą szaloną wariację na temat planu londyńskiego metra. – To odręczny schemat organizacyjny wschodnioeuropejskiej siatki Cyrku o kryptonimie „Głóg” w stanie sprzed operacji „Fuks”. Oto on we własnej osobie, źródło „Głóg”, inspirator, organizator, łącznik i równocześnie centralny punkt siatki, to jego podźródła, a tu z kolei ich podźródła uszeregowane w porządku malejącym, podźródła świadome i nieświadome. Tu masz zakreślone ich produkty, oceny tych produktów dokonane w Whitehall i nasze rankingi ich wiarygodności w skali od jeden do dziesięciu.

Po tym występie odwieszam laskę na fotel, ale Laura wcale nie jest ani tak rozbawiona, ani tak skołowana, jak bym chciał. Dokładnie przygląda się każdemu kryptonimowi po kolei. Za moimi plecami Millie ukradkiem wymknęła się z pokoju.

– No, tak się akurat składa, że coś niecoś jednak wiemy o operacji „Głóg” – zauważa z wyższością Laura. – Dzięki tym drobiazgom, które byłeś łaskawy zostawić w Głównym Archiwum. I dzięki paru naszym źródłom. – Odczekuje chwilę, żeby to do mnie dotarło. – Czemuście się uparli nazywać wszystko od roślinek?

– No cóż. W tamtych czasach, Lauro, stosowaliśmy wspólne motywy – odpowiadam, siląc się na górnolotny ton. – Skoro główne źródło nazwaliśmy „Głóg”...

Ale znów mnie ignoruje.

– A co znaczą te gwiazdki, do cholery?  
– To iskry, nie gwiazdki, Lauro. Symboliczne iskry. Oznaczają, że dany agent został wyposażony w radiostację. Czerwone są aktywne, żółte zamrożone.

– Zamrożone?

– Schowane. Zawinięte w ceratę.

– Jak ja coś chowam, to chowam, nie mrozę – informuje mnie, nie przestając sprawdzać kryptonimów. – Mam gdzieś wasz szpiegowski żargon i nie bawię się w te wasze męskie podchody. No tak, a te plusiki?

– To nie plusiki. To krzyżyki.

– Aha, że niby podwójni agenci? Że pracują na obie strony?

– Nie. Że są nieczynni.

– Nieczynni?

– Spaleni. Sami się wycofali. Różnie.

– A z tym tutaj co się stało?

– Kryptonim „Bez”?

– No. Co się stało z tym „Bzem”?

Czy już wie? Bo tak właśnie zaczynam podejrzewać...

– Zniknął. Zakładamy, że został aresztowany i przesłuchany. Działał w Berlinie Wschodnim między pięćdziesiątym szóstym a sześćdziesiątym pierwszym rokiem. Kierował całą siatką. Obserwowali pociągi. To wszystko jest w dymku. – Co ma znaczyć: sama sobie przeczytaj.

– A ten gość? „Tulipan”?

– „Tulipan” to akurat kobieta.

– A ta kratka przy niej?

Czy ona od samego początku czekała, kiedy wreszcie będzie mogła wskazać palcem to miejsce?

– Ta kratka, jak ją nazywasz, to symbol.

– To rozumiem. Ale czego?

– „Tulipan” przeszła na prawosławie, więc oznaczyły ją prawosławnym krzyżem. – Aż przyjemnie było słuchać, jaki miałem pewny głos.

– Kto ją oznaczył?

– Panie. Dwie stare sekretarki, które tu wtedy pracowały.

– To każdy wierzący agent dostawał krzyżyk?

– „Tulipan” między innymi dlatego dla nas pracowała, że była wierząca. I stąd ten krzyżyk.

– Co się z nią stało?

– No niestety, zniknęła nam z ekranów.

– Przecież nie mieliście wtedy ekranów.

– Uznaliśmy, że jej się znudziło. Czasem tak bywa. Agent zrywa kontakt i znika.

– A naprawdę nazywała się Gamp, tak? Jak ta baba z parasolem u Dickensa? Doris Gamp?

Wcale nie zrobiło mi się niedobrze. Żołądek wcale nie związał mi się w supeł.

– Chyba tak. Gamp. No rzeczywiście. Dziwię się, że to wiesz.

– Może niezbyt dokładnie wyczyściłeś archiwum. Czy to była wielka strata?

– Co?

– Że jej się znudziło.

– Nie wiem, czy się znudziło. Po prostu przestała działać. Ale patrząc z perspektywy, to rzeczywiście była strata. „Tulipan” była ważnym źródłem. Dość ważnym. Owszem.

Za dużo? Za mało? Zbyt swobodnie? Bo ona się zastanawia. Coś za długo.

– Myślałem, że interesuje was „Fuks” – przypominam jej.

– O, nas wszystko interesuje. „Fuks” to tylko pretekst. Co się stało z Millie?

Z jaką Millie? Aha, z Millie. Nie z „Tulipanem”. Z Millie.

– Kiedy? – pytam z głupia frant.

– Przed chwilą. Gdzie się podziała?

– Pewnie poszła na górę, do siebie.

– A możesz ją zawołać? Bo mnie ona nie cierpi...

Ale gdy otwieram drzwi, Millie już stoi za nimi z pękiem kluczy w ręce. Laura z planem w dłoni przepycha się obok niej w przejściu. Zostają nieco z tyłu.

– Gdzie George? – pytam Millie.

Kręci głową. Mam nie pytać czy nie wie?

– Millie, daj klucze.

Millie posłusznie otwiera podwójne drzwi biblioteki. Laura czyni krok do przodu, a potem jak w slapstickowej komedii cofa się o dwa, wydając przy tym całkiem zrozumiały okrzyk: „Kurde mol!”. Chyba obudziła mumie w British Museum. Wciąż nie wierząc własnym oczom, podchodzi do rzędów wyświechtanych tomiszczy ściśle zalegających na regałach, które ciągną się od podłogi aż po sufit. Ostrożnie wybiera pierwsze: tom XVIII niekompletnego trzydziestotomowego wydania *Encyclopaedia Britannica* z roku 1878. Otwiera go, z niedowierzaniem przerzuca kilka kartek, odkłada księgę na pobliski stolik i sięga tym razem po *Podróże po Arabii i dalszych krajach*, rok publikacji 1908, też niekompletne wydanie. Nie mam pojęcia, dlaczego pamiętam, że każdy tom kosztował pięć szylingów i sześć pensów, a cały komplet funta – Mendel umiał się targować z bukinistami.

– Może mi powiesz, kto czyta to wszystko? Czyta albo czytał? – To znowu do mnie.

– Każdy, kto miał dostęp do „Fuksa”. I powód, żeby czytać.

– Czyli co?

– Czyli – odpowiadam, mam nadzieję, że z godnością – George Smiley uznał, że skoro nie stać nas na silnie chronioną fortecę nad Tamizą, zamiast uzbrojonej straży lepiej zastosować kamuflaż. I że kraty w oknach i stalowe sejfy stanowiłyby otwarte zaproszenie dla każdego menela. I że jeszcze się taki złodziej nie narodził, który połakomiłby się na taką kupę makulatury...

– Wiesz co, może mi pokaż? Pokaż, coś ukradł. Wszystko jedno, co to jest.

Ustawiam drewniane schodki przed kominkiem, na którym Millie zawsze suszyła kwiaty, i z górnej półki zdejmuję egzemplarz *Frenologii dla początkujących* Henry’ego Ramkena, absolwenta Cambridge. I wyciągam skoroszyt ukryty w wydrążonym wnętrzu książki. Podaję skoroszyt Laurze, a doktora Ramkena odstawiam na półkę i staję na stałym gruncie, gdzie ona już siedzi na poręczu fotela i napawa się swą zdobyczą. Millie znowu gdzieś zniknęła.

– Tu ciągle pojawia się jakiś Paul – mówi oskarżycielskim tonem Laura. – A jak się nazywa Paul, kiedy jest u siebie w domu?

Tym razem już nie udaje mi się całkowicie zapanować nad głosem:

– Nie ma żadnego domu. Paul nie żyje. To się zresztą wymawia po niemiecku. Paul to jeden z kilku kryptonimów używanych przez agentów prowadzonych w Berlinie przez Aleca Leamasa. – I dopiero poniewczasie dodaję od niechcenia: – Ciągle je zmieniał. Nikomu właściwie nie ufał. A na pewno nie Komitetowi Sterującemu.

Zaciekawiłem ją, ale nie chce się do tego przyznać.

– I tu jest wszystko? Tak? Wszystko, co nakradłeś, jest tu, w tych książkach? Tak?

Odpowiadam z satysfakcją:

– Ależ skąd, Lauro. Tak mi przykro. George wyznawał zasadę, że najlepiej zachowywać absolutne minimum. Wszystko, co można było zniszczyć, było niszczone. Szło najpierw do niszczarki, potem do ognia. Tak ustalił George.

– A gdzie ta niszczarka?

– Tam, w rogu.

Z początku jej nie zauważyła.

– A gdzie się paliło?

– Tu, w tym kominku.

– Robiliście protokoły zniszczenia?

– Po co? Żeby je potem niszczyć?

I gdy ja rozkoszuję się tym drobnym zwycięstwem, jej wzrok przenosi się w najciemniejszy i najdalszy kąt pokoju, gdzie obok siebie wiszą dwa portrety *en pied* dwóch mężczyzn. Tym razem nie krzyczy: „Kurde mol!” ani nic takiego, tylko zbliża się do nich powoli, jakby się bała, że ich spłoszy.

– A ci dwaj przystojniacy?

– Josef Fiedler i Hans-Dieter Mundt. Dyrektor i wicedyrektor Wydziału Operacyjnego Stasi.

– Zaczniemy od tego po lewej.

– To Fiedler.

– Słucham.

– Niemiecki Żyd. Jedyne dziecko dwojga niemieckich uczonych, oboje zginęli w obozie. Studia humanistyczne w Moskwie i Lipsku. Do Stasi trafił późno. Bystry, inteligentny, nienawidzi tego drugiego gościa.

– Mundta.

– Tak by wynikało z czystej eliminacji – potakuję. – Na imię miał Hans-Dieter.

Hans-Dieter Mundt – w mundurze marynarce zapiętej na wszystkie guziki, łapska mordercy przyciśnięte do boków, kciuki w dół – pogardliwie patrzy w obiektyw. Jest świadkiem egzekucji. Może własnej, może czyjejs. Ale w jednym i drugim wypadku ma taki sam wyraz twarzy i taką samą źle zagojoną ranę od noża biegnącą w poprzek twarzy.

– To o niego chodziło, tak? Właśnie jego miał zlikwidować ten wasz Alec Leamas? Tylko że najpierw Mundt zlikwidował was Leamasa, tak? – Teraz odwraca się do Fiedlera. – A Fiedler był waszym superagentem, tak? Tym tajemniczym nieznanym, co sam do was przyszedł? A właściwie nie przyszedł. Właściwie rzucił wam na próg trochę fantastycznych

danych wywiadowczych, zadzwonił do drzwi i uciekł. Nawet się nie podpisał. I tak wiele razy. A wy i tak nie do końca wiecie, czy właśnie on był waszym agentem. Tak?

Biorę oddech.

– Wszystko, co dostaliśmy z zewnątrz w ramach operacji „Fuks”, wskazywało właśnie na Fiedlera – odpowiadam, starannie dobierając słowa. – Nawet zastanawialiśmy się, czy przypadkiem Fiedler nie chce przenieść się na Zachód i czy w ten sposób, że tak powiem, nie zanęca łowiska.

– Bo tak nienawidził Mundta? Mundta, byłego hitlerowca, który tak naprawdę wcale się nie nawrócił?

– Mogło być i tak. Zakładaliśmy, że mogło mu się to nakładać na rozczarowanie demokracją albo jej brakiem w Niemieckiej Republice Demokratycznej, w NRD. Że miał coraz silniejsze przeczucie, że komunistyczny bóg go opuścił, i w końcu to przeczucie zmieniło się w pewność. Tymczasem dokonała się przecież nieudana kontrrewolucja na Węgrzech brutalnie stłumiona przez Sowietów.

– Wielkie dzięki. Wiem przecież.

Oczywiście, że wie. Przecież jest od historii.

Na progu stanęło dwoje niechlujnych młodych ludzi, chłopak i dziewczyna. Moją pierwszą myślą było, że musieli wejść do tyłu, bo tam nie ma dzwonka; drugą, całkiem bezsensowną, że to Karen, córka Elizabeth, i jej współpowód Christoph, syn Aleca. I że przyszli tu, by dokonać zatrzymania obywatelskiego. Laura natychmiast wspina się na pierwszy stopień schodków, żeby mieć większy autorytet.

– Nelson, Pepsi, przywitajcie się z Pete’em – rozkazuje.

Cześć, Pete.

Cześć, Pete.

Cześć.

– No. To teraz tak: od tej chwili cały dom ma być traktowany jak miejsce przestępstwa. I jako teren Cyrku. I dom, i ogród. Każdy kawałek czy kartka, każdy śmieć, wszystko, co wisi na ścianach i tablicach, wszystko, co stoi na półkach i regałach, to własność Cyrku i potencjalnie dowód rzeczowy, który ma zostać skopiowany, sfotografowany i skatalogowany. Tak?

Nikt nie mówi, że nie.

– Kolega Pete będzie sobie to wszystko czytał. Na to czytanie zrobimy mu miejsce tu, w bibliotece. Będzie czytał, a potem złoży sprawozdanie szefowi działu prawnego i mnie. Tylko nam. – Z powrotem zwraca się do niechlujnej młodzieży: – Wasze rozmowy z Pete’em mają być wyłącznie towarzyskie. I grzeczne. Nie wolno wam dotykać tego, co będzie czytał, ani zastanawiać się, dlaczego to czyta. Wy to już wiecie, oczywiście, ale mówię to jeszcze raz, żeby Pete też wiedział. Jeżeli tylko zaczniecie mieć uzasadnione podejrzenia, że Pete lub Millie usiłują, świadomie lub nieświadomie, usunąć dokumenty albo dowody rzeczowe z terenu Cyrku, natychmiast zawiadomicie szefa działu prawnego. Millie?

Millie nie odpowiada, ale stoi na progu.

– Czy twoje pomieszczenie, twoje mieszkanie było kiedykolwiek używane w jakichkolwiek działaniach Cyrku?

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– Czy znajduje się tam sprzęt należący do Agencji? Aparaty fotograficzne? Urządzenia podsłuchowe? Materiały do tworzenia zaszyfrowanych wiadomości? Akta? Papiery? Korespondencja urzędowa?

– Nie.

– Maszyna do pisania?

– Tylko moja. Kupiona za moje własne pieniądze.

– Elektryczna?

– Nie. Remington.

– Radio?

– Też moje. Kupione z własnych pieniędzy.

– Komputer? Tablet? Komórka?

– Obywam się zwykłym telefonem.

– Millie, niniejszym dostajesz wymówienie. Pismo już idzie pocztą. Pepsi, bardzo proszę, w tej chwili idź z Millie do jej mieszkania, tak? Millie, masz jej pomagać. Pepsi, przeszukasz wszystko od podłogi do sufitu. Pete?

– Lauro?

– Skąd wiadomo, które książki na regałach są aktywne?

– Nasze papiery powinny być na najwyższych półkach we wszystkich tomach *in quarto* autorów, których nazwiska zaczynają się od A do R. Oczywiście jeśli nie zostały zniszczone.

– Nelson, nie ruszasz się z biblioteki, dopóki nie przyjedzie ekipa. Millie?

– Co znowu?

– Ten rower w holu... Proszę go zabrać, bo zawadza.

\*

Siedzimy w środkowym pokoju. Po raz pierwszy jestem sam na sam z Laurą. Chciała mnie posadzić w fotelu Kontrolera, ale ja wybrałem ten, który należał do Smileya. Teraz ona rozpiera się na miejscu Kontrolera i wypina pupę na bok, nie wiem, czy dla wygody, czy na mój użytek.

– Jestem prawniczką, tak? Cholernie dobrą. Najpierw pracowałam dla siebie, potem w korpo. Byłam młoda i piękna, więc wsadzili mnie do historycznego. I już tam zostałam. Teraz kiedy coś z przeszłości pojawia się, żeby ugryźć Agencję w tyłek, wszyscy zaraz wołają Laurę. Możesz mi wierzyć na słowo: „Fuks” nieźle nas ugryzie.

– Musisz być bardzo zadowolona.

Jeśli słyszała ironię w moim tonie, nie daje tego po sobie znać.

– Od ciebie chcemy jednego. Wiem, że to banał, ale... Od ciebie chcemy prawdy i tylko prawdy. Lojalność względem Smileya czy kogokolwiek innego... masz mieć to w dupie. W porządku?

Wcale nie w porządku, więc po co mi to mówi?

– Jak już dojdziemy do prawdy, będziemy wiedzieli, jak ją ocenzuować. Może nawet ocenzuować ją na twoją korzyść, jeżeli tylko będzie to zgodne z naszym interesem. Ja mam jedno zadanie: nie dopuścić, żeby sprawa się ryła. Tobie też na tym zależy, tak? Po co komu skandal, nawet z dawnych czasów? Skandale niepotrzebnie zwracają uwagę na pewne



rzeczy, niepotrzebnie przywodzą na myśl analogie z tym, co mamy teraz. Agencja funkcjonuje dzięki reputacji i dzięki atrakcyjności. Nielegalne więzienia za granicą, tortury, poufałości ze znanymi psychopatami, to wszystko psuje nam image, psuje nam interesy. Czyli jesteśmy po tej samej stronie, tak?

Znowu udaje mi się nie odpowiedzieć.

– A teraz złe wiadomości. Bo do skóry dobiera nam się nie tylko potomstwo ofiar operacji „Fuks”. Bunny ma dobre serce, nie chciał cię martwić. Jest jeszcze paru parlamentarzystów, mają parcie na szkło, więc chcą użyć „Fuksa” jako przykładu tego, co się dzieje, kiedy służbom pozwala się na wszystko. A że nie mogą się przyczepić do czegoś konkretnego, to czepiają się historii. – Moje milczenie wreszcie zaczyna ją denerwować. – Mówię wprost, Pete. Jak nie będziesz z nami współpracował, to cała ta sprawa...

Czeka, żebym dokończył za nią. To sobie poczeka.

– I ty naprawdę nie miałeś z nim kontaktu? – pyta wreszcie.

Dopiero po chwili dociera do mnie, że przecież siedzę w jego fotelu.

– Nie, Lauro. Powtarzam: nie miałem kontaktu z George’em Smileyem.

Odchyła się do tyłu i wyciąga z kieszeni kopertę. Przez chwilę wydaje mi się kretyńsko, że to od George’a. Nazwisko adresata wydrukowane na drukarce. Bez znaku wodnego. Bez śladów ludzkiej dłoni.

„Przydziela się czasowe zakwaterowanie w lokalu 110B, Hood House, Dolphin Square, London SW. Warunki zakwaterowania poniżej”.

Żadnych zwierząt. Żadnych odwiedzin bez osobnego zezwolenia. Obecność obowiązkowa w godzinach 22-7. Nieobecności zgłaszać z wyprzedzeniem działowi prawnemu. Ze względu na mój (nieuregulowany) status prawny obciąża się moją emeryturę kwotą 50 funtów za noc. Opłaty za ogrzewanie i prąd nie będą pobierane, ale najemca ponosi pełną odpowiedzialność za szkody w sprzęcie.

Niechlujny młodzieniec imieniem Nelson wsadza głowę przez drzwi.

– Lauro, przyjechali.

Zaraz zacznie się czyszczenie „Stajni” Augiasza.

Zapadał zmierzch. Wieczór jesienny, ale ciepły niczym w lecie – jak na Anglię. Wreszcie jakoś skończył się mój pierwszy dzień w „Stajni”. Poszedłem na spacer, wypilem jedną szkocką w pubie pełnym drącej się młodzieży, pojechałem autobusem do Pimlico, wyskoczyłem parę przystanków przed pętlą i znowu poszedłem piechotą. Już wkrótce we mgle zamajaczył przede mną olbrzymi zarys budynku przy Dolphin Square; wywoływał u mnie dreszcze od pierwszego dnia pracy w świecie tajnych służb. Za moich czasów było tam więcej lokali konspiracyjnych na jednostkę objętości niż w jakimkolwiek innym budynku na świecie i chyba w każdym z nich odbierałem meldunki od różnych nieszczęsnych agentów. Tu również – w mieszkaniu pewnego sowieckiego rekrutera – Alec Leamas spędził swą ostatnią noc w Londynie przed wyruszeniem w podróż, z której nie wrócił żywy.

Mieszkanie 110B bynajmniej nie egzorcyzmowało jego ducha. Cyrkowe lokale konspiracyjne to istny wzór świadomie zaplanowanej niewygody. Moje mieszkanie było tego klasycznym przykładem. Na wyposażenie składały się: przemysłowych rozmiarów czerwona gaśnica, sztuk 1; wielki fotel z połamanymi sprężynami, sztuk 2; reprodukcja akwarelki z widoczkiem jeziora Windermere, sztuk 1; zamknięty na klucz minibar, sztuk 1; wydrukowany napis zakazujący palenia nawet przy otwartym oknie, sztuk 1; olbrzymi telewizor, który uznałem automatycznie za urządzenie nie tylko odbiorcze, ale i nadawcze, sztuk 1; i brudny czarny telefon bez numeru, sztuk 1, mogący – przynajmniej w moim przypadku – służyć wyłącznie do celów dezinformacji. I jeszcze w maleńkiej sypialni pojedyncze łóżko, sztuk 1, twarde jak kamień, by nie zachęcać do czynów lubieżnych.

Zamknąwszy drzwi sypialni, by telewizor nie widział, co robię, rozpakowałem torbę i zacząłem się rozglądać, gdzie by tu ukryć mój francuski paszport. Na drzwiach łazienki wisiała niezbyt dokładnie przyśrubowana tabliczka z napisem instrukcja przeciwpożarowa. Lekko obluzowałem śrubki, w powstałą szczelinę wsunąłem paszport, dokręciłem śrubki z powrotem, wyszedłem na zewnątrz i pożarłem hamburgera. Po powrocie do mieszkania uraczyłem się sporą dawką szkockiej i usiłowałem zrelaksować się w jednym z moich nędznych foteli. Ale gdy tylko przysnąłem, natychmiast obudziłem się całkowicie przytomny, za to w Berlinie Zachodnim i w roku Pańskim 1957.

\*

Jest piątek, koniec dnia.

W podzielonym mieście jestem od tygodnia i z przyjemnością myślę o kilku nadchodzących nocach i dniach rozkoszy w towarzystwie szwedzkiej dziennikarki imieniem Dagmar, w której zakochałem się do szaleństwa w trzy minuty na cocktail party wydanym przez brytyjskiego Wysokiego Komisarza łączącego to stanowisko z drugim – ambasadora brytyjskiego przy wiecznie przejściowym rządzie Niemiec Zachodnich w Bonn. Jestem z nią umówiony za dwie godziny, ale postanowiłem jeszcze wpaść do naszej berlińskiej

rezydentury i pożegnać się z moim starym kumplem Alekiem.

We wnętrzu Stadionu Olimpijskiego w Berlinie, tego dudniącego głuchym echem baraku z czerwonej cegły, wzniesionego na cześć Hitlera i zwanego niegdyś Domem Sportu Niemieckiego, panuje już przedweekendowy ruch. Aleca znajduję w kolejce do zakratowanego okienka kancelarii, bo musi zwrócić całą tacę tajnych dokumentów. Nie spodziewa się mnie, ale też ostatnio niewiele już go dziwi, więc mówię: „Cześć, Alec, miło cię widzieć”, a on: „O, cześć, Peter, a cóż ty tu robisz, do diabła?”. Potem waha się w sposób mało dla niego charakterystyczny i wreszcie pyta, czy jestem zajęty w ten weekend. Mówię, że tak się składa, że owszem. On na to: „A, to szkoda. Myślałem, że może pojedziesz ze mną do Düsseldorfu”. Mówię: „A po cholere akurat do Düsseldorfu?”. On znowu się waha.

– Po prostu muszę choć na chwilę wynieść się z tego zasranego Berlina – mówi i bardzo mało przekonująco wzrusza ramionami. A ponieważ najwyraźniej uważa, że nigdy, przenigdy nie uwierzę, że choć przez chwilę ma ochotę być zwykłym turystą, wyjaśnia: – Mam tam sprawę.

Wnioskuje z tego, że mam się domyślić, iż spotyka się tam z agentem i przydam mu się jako obstawa, na zastępstwo, nie wiem. Ale przecież z tego powodu nie wystawię do wiatru Dagmar.

– Niestety, Alec, nic z tego. Muszę zająć się pewną panią ze Skandynawii. A ona mną.

Przez chwilę się nad tym zastanawia, lecz znowu nie tak jak zwykle. Odnoszę wrażenie, że poczuł się dotknięty albo jakby nie wie, co o tym myśleć. Za kratą urzędniczka z kancelarii zaczyna już gestykulować niecierpliwie. Alec oddaje papiery, urzędniczka podpisuje się na rewersie.

– Kobieta mogłaby się przydać – mówi Alec, nie patrząc na mnie.

– Chłopie, daj spokój! Kobieta, która myśli, że jestem z Ministerstwa Pracy i poszukuję niemieckich naukowców do roboty w Anglii?

– Może być. Weź ją.

I jeżeli ktoś znał Aleca tak dobrze jak ja, było to najbardziej oczywiste wołanie o pomoc. Aż do tego dnia, przez wszystkie lata naszych wspólnych przygód – raz na wozie, raz pod wozem – nie widziałem, by był równie bezradny. Dagmar jednak nie ma nic przeciwko, lecimy samolotem przez korytarz powietrzny do Helmstadt, tam bierzemy auto, jedziemy do Düsseldorfu, meldujemy się w hotelu, w którym Alec już kiedyś mieszkał. Przez całą kolację prawie się nie odzywa, ale Dagmar okazuje się naprawdę fajną babką, więc szybko wymykam się z nią do łóżka, w którym spędzamy upojną noc ku obopólnej satysfakcji. W sobotę przed południem spotykamy się na późnym śniadaniu, Alec mówi, że ma bilety na mecz. W życiu nie słyszałem, by kiedykolwiek choćby w najmniejszym stopniu interesował się piłką. Teraz okazuje się, że ma cztery bilety.

– Dla kogo czwarty? – pytam, snując fantastyczne domysły, że w tajemnicy przede mną ma dziewczynę, z którą może spotykać się tylko w sobotę.

– Dla takiego dzieciaka – mówi.

Wsiadamy do samochodu – ja z Dagmar na tylne siedzenie – i jedziemy. Alec zatrzymuje się na jakimś rogu. Pod reklamą coca-coli czeka na niego wysoki chłopak o nieruchomej twarzy. Alec zamasyście otwiera drzwi, chłopak wskakuje do środka, a ponieważ Alec mówi: „To Christoph”, mówimy oboje: „Cześć, Christoph” i jedziemy na stadion. Alec

mówi po niemiecku przynajmniej równie dobrze jak po angielsku, może nawet lepiej, i właśnie po niemiecku rozmawia półgłosem z chłopakiem. Chłopak coś odburkuje, potakuje, kręci głową. Ile ma lat? Czternaście? Osiemnaście? Wszystko jedno, bo to typowy niemiecki nastolatek, nawykły do posłuchu: wiecznie obrażony, przyszczaty, niechętnie zdyscyplinowany. Jest bladym, barczystym, małowównym blondynem. Został z Alekiem na górze stadionu. Stoją obok siebie, od czasu do czasu zamieniają parę słów, których nie słyszę, ale chłopak nie kibicuje, tylko obojętnie gapi się na boisko. W przerwie obaj znikają, domyślałam się, że poszli się wysikać albo na hot doga. Wraca jednak tylko Alec.

– A gdzie Christoph? – pytam.

– Musiał już iść do domu – odpowiada chrapliwie. – Mama mu kazała.

I tyle. Do końca weekendu. Spędziliśmy z Dagmar jeszcze sporo miłych chwil w łóżku; nie mam pojęcia, co przez ten czas robił Alec. Zakładałem, że chłopak to syn któregoś z jego agentów i trzeba było się zająć nim przez chwilę, bo tak już jest, gdy się prowadzi agentów – przede wszystkim trzeba dbać o ich samopoczucie. Dopiero tuż przed moim wyjazdem do Londynu, gdy Dagmar spokojnie wróciła do męża w Sztokholmie i poszedłem z Alekiem na strzebiennego w jednym z jego ulubionych berlińskich barów, zapytałem go od niechcienia: „Co słyhać u Christophu?”, bo miałem wrażenie, że chłopak był jakby trochę wykołojony, trochę naburmuszony, i może nawet coś takiego powiedziałem.

W pierwszej chwili myślałem, że w odpowiedzi Alec popadnie w to swoje dziwne milczenie, bo odwrócił się ode mnie tak, że nie widziałem jego twarzy.

– Cholera, jestem jego ojcem – powiedział.

I dopiero wtedy zaczął mi co nieco opowiadać – krótkimi urywanymi zdaniami, głównie bezokolicznikami, nawet nie prosząc, żebym to zachował dla siebie, bo wiedział, że zachowam. A przynajmniej powiedział mi tyle, ile chciał. Kiedy był w Bernie, miał kurierkę, Niemkę. Mieszkała w Düsseldorfie, była porządna, sympatyczna, mieli romans. Chciała wyjść za niego. On nie chciał, więc wyszła u siebie za jakiegoś prawnika. Prawnik adoptował chłopaka, i to był jego jedyny dobry uczynek. Kobieta od czasu do czasu pozwala mu się spotkać z dzieciakiem. Ale nie może przyznać się mężowi, bo sukinsyn by ją pobił.

A teraz, gdy wreszcie podnoszę się z mojego nędznego fotela, mam przed oczyma Aleca i młodego Christopha, jak stoją ramię w ramię i oglądają mecz. Na twarzy mają ten sam wyraz i taką samą irlandzką żuchwę.

\*

Przez jakiś czas chyba spałem, ale nie pamiętam. Na Dolphin Square jest szósta rano, w Bretanii siódma. Catherine pewnie już wstała i się krząta. Gdybym był w domu, pewnie też bym już wstał i się krzątał, bo Isabelle zaczyna śpiewać przy pierwszym pianiu Chevaliera, naszego najważniejszego koguta. Jej głos niesie się przez podwórko od chatki Catherine, ponieważ niezależnie od pogody Isabelle musi mieć otwarte okno. Na pewno nakarmiły już kozy i teraz Catherine karmi Isabelle, prawdopodobnie uganiając się za nią po całym podwórku z łyżeczką jogurtu. A tymczasem wszystkie kury pod przywództwem Chevaliera zachowują się tak, jakby świat się kończył.

Gdy wyobrażałem sobie tę scenę, przyszło mi na myśl, że gdybym teraz zatelefonował do

głównego domu, a Catherine akurat by przechodziła, mogłaby usłyszeć dzwonek i odebrać. Uznałem, że warto spróbować, więc użyłem do tego jednego z moich telefonów na kartę, bo nie miałem najmniejszej ochoty, żeby słuchał tego Bunny. Przez dłuższy czas nie było odpowiedzi, więc odczekałem jeszcze chwilę i już traciłem nadzieję, gdy usłyszałem głos Catherine – typowy bretoński głos, który czasem brzmi trochę surowiej, niżby chciała.

– U ciebie w porządku, Pierre?

– W porządku. A u ciebie?

– Już pożegnałeś tego przyjaciela, co umarł?

– To dopiero za parę dni.

– Wygłosisz długą mowę?

– Okropnie długą.

– Denerwujesz się?

– Strasznie. Jak Isabelle?

– W porządku. Nie zmieniła się od twojego wyjazdu. – Wreszcie wyczułem w jej głosie lekką irytację, a może nawet coś więcej. – Wczoraj był tu jakiś twój znajomy. Spodziewałeś się kogoś, Pierre?

– Nie. Jaki znajomy?

Jak każdy jednak, kto umie zadawać pytania, Catherine odpowiada na nie w swój charakterystyczny sposób.

– Powiedziała mu: nie, Pierre’a nie ma, udaje dobrego samarytanina, ktoś umarł, pojechał pocieszyć kogoś pogrążonego w żałobie.

– Ale kto to był?

– Nie uśmiechał się. I nie był uprzejmy. Za to upierdliwy.

– To znaczy dostawiał się do ciebie?

– Zapytał, kto umarł. Powiedziała, że nie wiem. Zapytał, czemu nie wiem. Powiedziała, że Pierre nie mówi mi o wszystkim. Śmiał się. Powiedział, że może jak się jest w wieku Pierre’a, to wszyscy znajomi umierają. Zapytał, czy to był nagły zgon. Kobieta czy mężczyzna? Zapytał, czy w Londynie mieszkasz w hotelu. W którym? Gdzie? Jak się nazywa? Powiedziała, że nie wiem. Że mam robotę, dziecko i gospodarstwo na głowie.

– Francuz?

– Niemiec. Albo Amerykanin.

– Przyjechał samochodem?

– Taksówką. Ze stacji. Gascon go przywiózł. Gascon kazał sobie zapłacić z góry, bo inaczej nie pojedzie.

– Jak wyglądał?

– Pierre, on nie był przyjemny. Twardziel. Wielki jak bokser. Z pierścionkami na palcach.

– W jakim wieku?

– Pięćdziesiąt, może sześćdziesiąt lat. Nie zaglądałam mu w zęby. Może nawet był trochę starszy.

– Nie przedstawił się?

– Powiedział, że nie trzeba. Bo jesteście starzy znajomi. Byliście razem na meczu.

Leżę bez ruchu i niemal bez oddechu. Przychodzi mi na myśl, że powinienem wstać, ale nie mam na to odwagi. Christophe, synu Aleca, mój oskarżycielu, złodzieju tajnych akt

Stasi, przestępco z całą litanią wyroków, w jaki sposób zdążyłeś już trafić za mną do Bretanii? Gospodarstwo w Les-Deux-Églises odziedziczyłem po kądzieli. Wciąż figuruje pod panińskim nazwiskiem matki. W miejscowej księżce telefonicznej nie ma żadnego Petera Guillama. Czy to Bunny w jakichś dziwnych własnych celach podsunął mój adres Christophowi? Po co?

I wtedy przypominam sobie swoją motocyklową pielgrzymkę na skąpany w deszczu berliński cmentarz w ciemny zimowy dzień roku 1989. I nagle już wszystko rozumiem.

\*

Mur berliński runął miesiąc temu. Niemcy szaleją ze szczęścia, nasza wioska w Bretanii jakby mniej. Ja waham się wciąż między jednym a drugim. To cieszę się, że nagle wybuchł nam taki dziwny pokój, to znów zaczynam myśleć o tym wszystkim, co robiliśmy, o poniesionych ofiarach – również ludzkich – w ciągu tych długich lat, gdy wydawało się, że mur będzie stał wiecznie.

W takim to dziwnym nastroju zmagalem się z rocznym zeznaniem podatkowym w biurze mojego gospodarstwa w Les-Deux-Églises, gdy nasz nowy młody listonosz Denis, wtedy jeszcze nietytułowany ani „Monsieur”, ani tym bardziej „Général”, przyjechał nie żółtą furgonetką, lecz rowerem i wręczył list – nie mnie, tylko Antoine’owi, jednonogiemu inwalidzie wojennemu, który zwykle wysiadywał na podwórku z widłami w ręku i nie miał się żadnej pracy.

Kiedy Antoine wreszcie dokładnie oglądnął kopertę z obu stron i uznał, że może mi ją jednak oddać, przykuśtykał do drzwi, podał mi list i odsunął się o krok, żeby lepiej widzieć, jak będę czytał.

Mürren (Szwajcaria)

Drogi Peterze,

zapewne zainteresuje Cię, że prochy naszego przyjaciela Aleca zostały ostatnio pochowane w Berlinie niedaleko miejsca, w którym zginął. Wiemy, że ciała pomordowanych przy murze zwykle palono w tajemnicy i rozsypywano prochy. Dzięki drobiazgowo prowadzonym aktom Stasi okazało się jednak, że dla Aleca zrobiono wyjątek. Teraz odnaleziono jego szczątki i urządzono mu przyzwoity, choć nieco spóźniony pogrzeb.

Z wyrazami przyjaźni  
George

A na osobnej kartce – trudno się wyzbyć starych nawyków – był adres małego cmentarza w berlińskiej dzielnicy Friedrichshain, oficjalnie przeznaczonego dla ofiar wojny i tyranii.

Byłem wtedy z Dianą, kolejną przelotną miłośką, która właśnie dobiegała kresu. Chyba powiedziałem jej, że przyjaciel mi zachorował. Albo że umarł. Wskoczyłem na motor – to jeszcze były te czasy – i przejechałem non stop do Berlina, w dodatku w najgorszej pogodzie, w jakiej kiedykolwiek prowadziłem motocykl. Zajechałem prosto na cmentarz i przy bramie zapytałem, gdzie znajdę Aleca. Ciągłe lało jak z cebra. Jakiś staruszek – chyba zakrystian – dał mi parasol i wskazał długą, szarą, wysadzaną drzewami alejkę. Chwilę trwało, nim znalazłem to, czego szukałem: świeży grób i marmurową płytę z wrytym napisem alec johannes leamas, której biel lśniła dziwnie w padającym deszczu. Bez dat, bez

zawodu, mogła długości ludzkiego ciała, choć skrywała tylko popioły. Przykrywka? Pomyślałem sobie: no patrz, tyle lat się znaliśmy i nigdy nie powiedziałeś mi, że na drugie masz Johannes. Typowe. Nie przyniosłem kwiatów, bo pomyślałem, że mnie wyśmiejesz. Stałem pod parasolem i toczyłem z nim taki wewnętrzny dialog.

Już wsiadałem z powrotem na motor, gdy staruszek zapytał mnie, czy nie chciałbym się wpisać do księgi kondolencyjnej. „Do księgi kondolencyjnej?” Owszem, prowadzenie ksiąg kondolencyjnych należy do jego obowiązków. Powiedziałem: „Czemu nie?”. Pierwszy wpis brzmiał: „GS.”, adres: „Londyn”, zamiast hołdu dla zmarłego jedno słowo: „przyjaciół”. Pod George’em widniało kilka nic mi niemówiących niemieckich nazwisk przy wpisach w stylu „Nie zapomnimy”. I wreszcie samo imię „Christoph”, bez nazwiska, za to z dopiskiem *Sohn* – syn. I z adresem: „Düsseldorf”.

Sam nie wiem, co mnie napadło – czy chwilowa euforia, że runął mur i że świat wreszcie jest wolny (w co teraz szczerze wątpię), czy poczucie, że dość mi w życiu tych wszystkich tajemnic, czy po prostu chęć, by w tym ulewnym deszczu raz w życiu określić się jako jeden z przyjaciół Aleca? Mniejsza o to – podpisałem się własnym imieniem i nazwiskiem, podałem prawdziwy adres w Bretanii, a w rubryce kondolencji, z braku lepszego pomysłu, zrobiłem dopisek „Pierrot”, bo tak się do mnie zwracał, kiedy czasem zebrało mu się na serdeczności.

A ty, Christophe, twardzielu, mój współżalobniku, synu Aleca? Co ty zrobiłeś? Podczas którychś z późniejszych odwiedzin grobu ojca – bez najmniejszych dowodów zakładam, że odbyłeś ich kilka, choćby tylko w celach wywiadowczych – zaglądnąłeś przypadkiem do księgi kondolencyjnej i co zobaczyłeś? Czarno na białym: „Peter Guillam” i „Les-Deux-Églises”, żadnych tam pseudonimów, żadnych tajnych lokali konspiracyjnych, zobaczyłeś mnie i miejsce, gdzie mieszkam. I w ten sposób trafiłeś z Düsseldorfu aż do Bretanii.

I jaki będzie twój następny ruch, Christophe, synu Aleca? Słyszę soczysty prawniczy głos Bunny’ego z wczorajszej rozmowy: „Ten Christoph wcale nie jest w ciemną bity, Peter. Pewnie ma to w genach”.

## 6

Laura zapowiedziała swym zachwyconym słuchaczom, że „kolega Pete będzie sobie to wszystko czytał. Na to czytanie zrobimy mu miejsce tu, w bibliotece”. Przez następne dni czułem się jak jakiś student z uniwersytetu trzeciego wieku zmuszony do zdawania egzaminu, który powinien mieć za sobą już pół życia temu. Co jakiś czas tego opóźnionego seniora wyciąga się z sali egzaminacyjnej i urządza mu się kolokwium; egzaminują go profesorowie, których znajomość przedmiotu jest nie wiedzieć czemu bardzo nierówna – co wcale im nie przeszkadza znęcać się nad egzaminowanym. A egzaminowany co jakiś czas tak wstydzi się awantur, w których brał udział w swym poprzednim życiu, że chciałby się ich wyprzeć, tylko że co chwila niezbite dowody jego winy padają z jego własnych ust. Co rano, gdy przychodzę, otrzymuję kolejny plik skoroszytów. Niektóre z tych dokumentów znam, innych nie widziałem na oczy. Jeżeli ktoś kradł kiedyś jakieś akta, to wcale nie znaczy, że je wszystkie czytał.

Drugiego dnia rano biblioteka jest zamknięta dla wszystkich. Dobiegające z niej stukanie i obecność ubranych w dresy zaaferowanych młodych ludzi obojga płci, których nikt mi nie przedstawił, kazały mi się domyślać całonocnego poszukiwania odcisków palców. Potem, po południu, zapadła złowróźbna cisza. Moim biurkiem nie było już biurko, tylko rozkładany blat ustawiony jak szafot na środku podłogi. Regały zniknęły, zostawiając tylko widmowe smugi – niczym więzienne kraty – na tapecie świetnej angielskiej firmy Anaglypta.

– Jak znajdziesz rozetkę, przestań czytać – rozkazuje mi Laura i odchodzi.

Jaką rozetkę? Chodzi jej o różowe spinacze do papieru wetknięte tu i tam w skoroszyty? Nelson w milczeniu zajmuje fotel nadzorcy i otwiera spory tom w miękkiej oprawie: biografię Tołstoja pióra Henriego Troyata.

– Jak będziesz szedł na siusiu, daj znać. Mój tata sika chyba co dziesięć minut.

– Biedak.

– Tylko niczego ze sobą nie bierz.

\*

Wieczorem robi się dziwnie. Laura bez uprzedzenia zajmuje miejsce Nelsona. Najpierw przez co najmniej pół godziny gapi się we mnie ponuro, wreszcie mówi:

– A niech tam. Nie wzięłybyś mnie na darmową kolację, Pete?

– Teraz?

– Teraz. Dziś. Co ty na to?

Darmową, ale dla kogo? zastanawiam się, ostrożnie kiwając głową na znak zgody. Darmową dla niej? Czy dla mnie? Czy dla nas obojga, bo na koszt Firmy? Przenosimy się do greckiej restauracji na tej samej ulicy. Okazuje się, że zarezerwowała stolik. Laura ma na sobie spódnicę. Stolik jest w rogu sali, na środku blatu w czerwonej klatce stoi niezapalona świeczka. Nie wiem, dlaczego widok niezapalonej świeczki akurat wrył mi się w pamięć, ale



tak już jest. I jeszcze pamiętam, jak właściciel pochyła się nad nami, zapala świeczkę i mówi mi, że mam najlepszy widok na całą salę. Niby na Laurę.

Pijemy jedno ouzo, potem drugie. Czyste, bez lodu – jej pomysł. Lubi wypić? Chce mnie upić i wykorzystać? Mnie, w moim wieku, na miłość boską? A może ma nadzieję, że alkohol rozwiąże język staremu pierdole? I co mam sądzić o bardzo przeciętnej parze w średnim wieku, która siedzi przy sąsiednim stoliku i za żadne skarby nie chce na nas patrzeć?

Laura ma na sobie bluzkę bez rękawów i z głębokim dekoltem. Bluzka lśni w świetle świecy, dekolt jakby się pogłębił. Bierzymy zwykle przystawki: taramę, hummus, małe rybki. Ona uwielbia musakę, więc zamawiamy dwie porcje i zaczyna się zupełnie nowy rodzaj przesłuchania – połączony z flirtem. To rzeczywiście prawda, Pete, co powiedziałeś Bunny’emu, że ty i Catherine jesteście tylko dobrymi znajomymi?

– Bo szczerze mówiąc, Pete – zniża poufale głos – jak to możliwe, że przy swojej reputacji mieszkasz z superatrakcyjną Francuzką i nawet z nią nie sypiasz? No chyba że w duchu jesteś gejem, jak podejrzewa Bunny. Ale Bunny myśli, że każdy jest gejem. Pewnie sam jest, tylko nie chce się przyznać.

Z jednej strony chcę jej powiedzieć, żeby poszła do diabła, z drugiej chciałbym wy badać, co chce ze mnie wyciągnąć. Na wszelki wypadek nic nie mówię.

– No bo serio, Pete, przecież to bez sensu! – nalega. – Przecież chyba nie chcesz mi powiedzieć, że już zawiesiłeś szablę na kołku, jak mawiał mój tata. Przecież to niemożliwe! Ty, taki kawalerzysta!

Wbrew własnemu zdrowemu rozsądkowi pytam ją, skąd wie, że Catherine jest taka atrakcyjna. Ona na to, że ktoś jej naplotkował. Pijemy greckie wino, czerwone, ale o kolorze – i smaku – atramentu. Laura pochyła się do mnie i prezentuje swój dekolt w całej okazałości.

– No powiedz prawdę, Pete. Ale tak z ręką na sercu. Z tych wszystkich lasek, coś je zaliczył w życiu, która była najlepsza? – I zaczyna chichotać, tak ją rozśmieszyła własna niezamierzona gra słów.

– To może najpierw ty się pochwal – odpowiadam. Koniec żartów.

Proszę o rachunek, para przy sąsiednim stoliku też. Laura mówi, że pojedzie metrem. Ja że się trochę przejdę. I do dziś nie wiem, czy miała za zadanie pociągnąć mnie za język, czy też była jeszcze jedną samotną istotą spragnioną ludzkiego ciepła.

\*

A więc czytam. Tekturowa oprawa skoroszytu, nad którym teraz siedzę, jest pusta, jeśli nie liczyć odręcznego numeru akt – nie pamiętam, czyim pismem zapisanego, ale pewnie moim. Wewnątrz na pierwszej stronie ostrzeżenie: „Tajne spec. znaczenia. Nie udostępniać”. To drugie oznacza, żeby nie pokazywać Amerykanom. A w ogóle jest to raport – czy raczej apologia – autorstwa niejakiego Stavrosa de Jonga, niezgrabnego dwudziestopięcioletniego wtedy dryblasa zatrudnionego w Cyrku. Popularny Stas jest absolwentem Cambridge. Zostało mu jeszcze sześć miesięcy stażu. Przydzielono go do berlińskiej sekcji Operacji Tajnych, którą rządzi mój towarzysz broni w wielu wspólnych nieudanych akcjach, doświadczony agent Alec Leamas.

Jako miejscowy rezydent, Leamas to z urzędu i de facto szef naszej placówki. Właśnie w tym charakterze jest adresatem raportu Stasa. To za pośrednictwem Aleca raport trafił w końcu do szefa Operacji Tajnych w Londynie George'a Smileya.

Raport

Sporządził S. de Jong

Dla rezydenta w Berlinie [Leamasa]

Z kopią dla KS [Komitetu Sterującego]

Zostałem zobowiązany do złożenia następującego raportu:

Ponieważ w Nowy Rok było słonecznie, choć zimno i był to dzień wolny od pracy, wraz z moją żoną Pippą postanowiliśmy zabrać nasze dzieci (Barney lat 3 i Lucy lat 5) i naszego psa rasy jack russell terier (imieniem Loftus) do parku Köpenick w Berlinie Wschodnim na piknik nad jeziorem i spacer po pobliskim lesie.

Nasz prywatny samochód to niebieskie volvo kombi na brytyjskich numerach wojskowych, umieszczonych z przodu i z tyłu pojazdu, co uprawnia nas do nieograniczonych przejazdów między okupacyjnymi sektorami Berlina, a park Köpenick w Berlinie Wschodnim to nasze zwykłe miejsce piknikowe, lubiane również przez dzieci.

Jak zawsze zaparkowałem samochód pod murem starego i obecnie nieczynnego browaru w Köpenick. Wokół nie było innych pojazdów. Tylko nad wodą siedziało kilku wędkarzy, którzy nie zwracali na nas uwagi. Zabraliśmy z samochodu kosz piknikowy, który przenieśliśmy przez las na nasze ulubione miejsce na wysokim brzegu jeziora, a potem bawiliśmy się w chowanego. Loftus głośno czekał, co rozzłościło jednego z wędkarzy, który przez ramię rzucał nam obelgi, twierdząc, że Loftus płoszy mu ryby.

Był to szczupły człowiek w wieku około pięćdziesięciu lat, o siwych włosach. Na pewno rozpoznałbym go przy następnej okazji. Miał na sobie czarną czapkę z daszkiem i stary wehrmachtowski płaszcz pozbawiony insygniów.

Kiedy dochodziła godzina 15.30 i zbliżała się pora drzemki Barneya, pozbieraliśmy nasze rzeczy do kosza, który pozwoliliśmy zanieść dzieciom do samochodu. Dzieci pobiegły przodem, za nimi Loftus, znów szczekając.

Jednak zbliżywszy się do samochodu, dzieci upuściły kosz i przybiegły wystraszone, mówiąc, że drzwi samochodu od strony kierowcy musiały zostać otwarte przez jakiegoś złodzieja, który jak twierdziła moja córka Lucy, „kompletnie ukradł taty aparat”.

Drzwi samochodu od strony kierowcy rzeczywiście otwarto przez odłamanie klamki, ale nie został skradziony ani mój stary aparat fotograficzny firmy Kodak, który przez roztrągnięcie zostawiłem na półce z przodu, ani mój płaszcz, ani żywność i inne zakupy zrobione przed wyjazdem do Berlina Wschodniego w kantynie naszych wojsk, otwartej w Nowy Rok ku naszemu zdziwieniu.

Okazało się, że włamywacz nie tylko niczego nie ukradł, ale pozostawił przy moim aparacie puszkę po tytoniu marki Memphis. W środku znajdowała się mała niklowana kasetka, którą natychmiast zidentyfikowałem jako standardowy pojemnik na rolkę miniaturowego filmu firmy Minox.

Ponieważ dziś jest święto, ja zaś ostatnio ukończyłem szkolenie fotograficzne, uznałem, że w tym momencie nie ma podstaw, by zaprzętać uwagę oficera dyżurnego. Po powrocie do domu natychmiast wywołałem film w łazience, używając do tego sprzętu, w który zostałem wyposażony.

Około godziny 21.00, po oglądnięciu pod lupą około stu wywołanych negatywów, powiadomiłem rezydenta [Leamasa], który nakazał mi natychmiast przywieźć cały

materiał do kwatery głównej i sporządzić raport. Tak też zrobiłem.

Z perspektywy czasu przyznaję z całą odpowiedzialnością, że powinienem był przywieźć niewywołany film prosto do naszej berlińskiej rezydentury i że ponieważ jestem dopiero stażystą, moje samowolne postępowanie w tej sprawie mogło mieć poważne konsekwencje w postaci dekonspiracji i/lub zniszczenia otrzymanego materiału. Na swoją obronę pragnę powtórzyć, że dzień 1 stycznia jest wolny od pracy i że nie chciałem stawiać na nogi całej placówki z powodu czegoś, co mogło się okazać fałszywym alarmem. Poza tym kurs fotografii ukończyłem w Sarratt z najwyższymi ocenami. Mimo to żałuję swojej pochopnej decyzji i oświadczam, że to już się nie powtórzy.

S. de J.

Pod spodem widnieje wściekły odręczny dopisek Aleca dla szefa Operacji Tajnych George'a Smileya:

George,

głupi baran posłał to z kopią do Komitetu Sterującego, zanim można go było powstrzymać. Pięknieśmy go wyszkolili, nie ma co. Może uda Ci się przekonać P. Alleline'a, B. Haydona, T. Esterhase'a, tego zasrańca R. Blanda i całą resztę, że to burza w szklance wody, nic ciekawego, materiał bez znaczenia itp.

Alec

Jednak Alec nie lubił zasypiać gruszek w popiele, szczególnie gdy ważyły się losy jego kariery. Właśnie zbliżał się termin odnowienia umowy z Cyrkiem, Alec dawno już przekroczył górną granicę wieku dla agenta w terenie, a nie miał żadnych szans na ciepłą posadkę w kwaterze głównej. Może to tłumaczy wątpliwości Smileya co do jego dalszych działań:

Dyr. Operacji Tajnych w Marylebone [Smiley] do Kontrolera. Do rąk własnych. Sprawa osobista. Przez posłańca.

Temat: AL., dyr. Operacji Tajnych w Berlinie.

I teraz nieskazitelne odręczne pismo Smileya:

K.,

zapewne zdziwisz się tak, jak ja się zdziwiłem, kiedy wczoraj w moim domu w Chelsea zjawił się bez zapowiedzi o dziesiątej wieczór AL. Byłem sam, bo Ann udała się do wód. Czuję od niego alkohol, co nie było niczym niezwykłym, ale nie był pijany. Uparł się, żebym przed rozmową wyłączył telefon w salonie i żebyśmy rozmawiali w szklarni przy wyjściu do ogrodu, bo „w szkło nie da się wsadzić pluskwy”. Potem oświadczył, że tego dnia po południu przyleciał z Berlina cywilnym samolotem, ponieważ nie chciał figurować na liście pasażerów RAF-u, lista ta bowiem, jak podejrzewa, jest na bieżąco sprawdzana przez Komitet Sterujący. Z tego samego powodu nie dowierza kurierom Cyrku.

Najpierw zapytał, czy udało mi się zmylić czujność Komitetu, o co prosił w związku z materiałem z Köpenick. Odpowiedziałem, że chyba tak, bo powszechnie wiadomo, że rezydentura w Berlinie wciąż dostaje mnóstwo bezwartościowego materiału od różnych przypadkowych osób.

Następnie wręczył mi złożoną kartkę (w załączniku), wyjaśniając, że to sporządzone przez niego osobiście streszczenie materiału zawartego na rolce z Köpenick, ale niesprawdzone w żadnych innych tajnych i jawnych źródłach.

Równocześnie stają mi przed oczyma dwie wizje: George'a i Aleca kulących się z zimna obok siebie w zimnej szklarni na Bywater Street oraz druga, samego Aleca, pochylonego nad staroświecką maszyną do pisania, z butelką szkockiej w jego zadymionym gabinecie w zachodniobrzeźnińskim Stadionie Olimpijskim. Mam teraz przed sobą efekt jego pracy: pojedynczą zabrudzoną kartkę maszynopisu upstrzoną korektorem i włożoną w celofan. Tekst brzmi następująco:

1. Protokół ze zorganizowanej przez KGB konferencji służb wywiadowczych bloku wschodniego, Praga, 21 XII 1957.
2. Nazwiska i stopnie oficerów KGB oddelegowanych do pracy w wydziałach Stasi, stan z 5 VII 1956.
3. Dane najważniejszych aktywnych agentów Stasi działających w Afryce Subsaharyjskiej.
4. Nazwiska, stopnie i kryptonimy wszystkich oficerów Stasi, którzy odbyli szkolenie w ZSRR.
5. Lokalizacje sześciu nowych sowieckich stacji nasłuchowych w NRD i Polsce, stan z 5 VII 1956.

Przerzucam kartkę na drugą stronę i wracam do odręcznej notatki Smileya do Kontrolera, napisanej bez jednej choćby poprawki.

Reszta opowieści Aleca brzmi tak: co tydzień od otrzymania przez de Jonga sensacyjnego – jak się zdaje – materiału Alec zabierał de Jongom ich volvo i psa, umieszczał na półeczce pod deską rozdzielczą pięćset dolarów i książeczkę do kolorowania z wpisanym bezpośrednim numerem telefonu na jego biurku w rezydenturze berlińskiej, wrzucał do bagażnika sprzęt wędkarski (do tej pory nie wiedziałem, że Alec łowi ryby, i wciąż raczej w to wątpię), jechał do Köpenick i parkował w tym samym miejscu i o tym samym czasie co wcześniej de Jong. Potem brał psa, szedł łowić ryby i czekał. Za trzecim razem się doczekał. Zamiast pięćset dolarów znalazł na półce dwie rolki filmu. Książeczka do kolorowania z numerem telefonu też zniknęła.

Dwa dni później wieczorem do jego biura w Berlinie Zachodnim zatelefonował mężczyzna, który się nie przedstawił, ale powiedział, że jeździ na ryby do Köpenick. Alec polecił mu zjawić się następnego dnia o 19.30 przed jednym z domów na Kurfürstendamm z zeszlotygodniowym numerem „Spiegla” w lewej ręce.

W efekcie zaplanowany treff [tajne spotkanie, słowo zapożyczone z niemieckiego przez naszych ludzi w Berlinie] odbył się w mikrobusie marki Volkswagen prowadzonym przez de Jonga i trwał osiemnaście minut. „Głóg” – Alec go tak ochrzcił, z nikim się nie konsultując – z początku odmówił podania nazwiska i przekonywał, że rolki pochodziły nie od niego, tylko od „kolegi w Stasi”, którego musi chronić. On miał być tylko pośrednikiem z własnej woli; z naciskiem podkreślał, że kierują nim względy ideologiczne, a nie chęć zysku.

Alec jednak się zaparł. Oświadczył, że materiały z nieznanego źródła dostarczane przez anonimowego pośrednika są bezwartościowe. Nie interesują go. Dopiero wtedy – jeśli można wierzyć Leamasowi – „Głóg” okazał mu wizytówkę z napisem „Dr med. Karl Riemeck” oraz adresem wschodniobrzeźnińskiego szpitala Charité na awersie i odręcznie wypisanym adresem

w Köpenick na rewersie.

Alec jest przekonany, że Riemeck zwlekał z ujawnieniem własnej tożsamości wyłącznie po to, by najpierw ocenić swego rozmówcę, i że po dziesięciu minutach porzucił wszelkie uprzedzenia. Nie należy jednak zapominać, że w żyłach Leamasa płynie sporo irlandzkiej krwi, przez co może być skłonny do pochopnych intuicyjnych wniosków.

Nasuwają się oczywiste pytania:

Nawet jeżeli dr Riemeck jest tym, za kogo się podaje, kim jest jego tajemnicze podźródło?

Czy mamy do czynienia z kolejną prowokacją Stasi?

A może – choć piszę to z przykrością – z czymś, co wymyślił sam Alec?

Wnioski:

Alec nalega – muszę przyznać, że bardzo natarczywie – by rozwinąć współpracę z „Głogiem” bez sprawdzenia i wywiadu, które zwykle stosujemy, bo w obecnej sytuacji nie można tego zrobić bez wiedzy i współpracy Komitetu Sterującego. Obaj wiemy, dlaczego tak uważa, i pozwolę sobie stwierdzić, że w pewien sposób nawet ostrożnie podzielimy jego opinię.

Za to Alec dzieli się swymi podejrzeniami bez żadnych ograniczeń. Wczoraj wieczorem po trzeciej szklance szkockiej obsadził Connie Sachs w roli podwójnego agenta Moskwy w Cyrku; drugim podejrzanym ma być według niego Toby Esterhase. Jego teoria – oparta wyłącznie na domysłach powstałych w oparach whisky – jest taka, że oboje łączy silny seksualny związek, istna folie à deux, że dowiedzieli się o tym Rosjanie i zaczęli ich szantażować. W końcu około drugiej w nocy udało mi się go zapędzić do łóżka, ale już o szóstej rano zastałem go w kuchni, gdzie przyrządzał jajka na bekonie.

Pozostaje pytanie, co należy zrobić. Zważywszy wszystkie za i przeciw, jestem skłonny pozwolić mu na jeszcze jedno spotkanie z „Głogiem” (czyli w efekcie z tym nieznanym domniemanym źródłem w Stasi), jak sobie życzy. Wiemy obaj, że jego dni w terenie są policzone i że ma wszelkie powody, by próbować oddalić tę chwilę za wszelką cenę. Wiemy jednak również, że w naszej pracy najtrudniej o zaufanie. Alec może ufać wyłącznie swemu instynktowi i tylko na tej podstawie twierdzi, że jest przekonany o dobrej wierze „Głoga”. Może to być albo genialna intuicja doświadczonego pracownika wywiadu, albo rozpaczliwe zabiegi starzejącego się agenta terenowego, którego kariera w naturalny sposób dobiega końca.

Zważywszy na to wszystko, sugeruję, by pozwolić mu działać.

Z wyrazami szacunku  
GS.

Kontrolera jednak nie dało się tak łatwo przekonać, co widać z następującej wymiany korespondencji:

Kontroler do GS.:

Bardzo poważnie obawiam się, że Leamas pracuje na własną rękę. Czy mamy jakieś inne poszlaki? Przecież na pewno można sprawdzić przynajmniej część materiału, tak by nie trafił do osób, które Leamas uważa za niewłaściwe.

GS. do Kontrolera:

Pod byle pretekstem sondowałem niezależnie Ministerstwo Spraw Zagranicznych i Ministerstwo Obrony. I jedni, i drudzy o materiale wyrażają się dobrze, nie wierzą w fabrykację. Oczywiście nie można wykluczyć, że to tylko przynęta.

Kontroler do GS.:

Nie rozumiem, dlaczego Leamas nie konsultuje się w tej sprawie z rezydentem w Berlinie. Takie podchody nigdy nie przynoszą firmie nic dobrego.

GS. do Kontrolera:

Niestety Alec jest zdania, że jego szef jest wrogo nastawiony do Operacji Tajnych i że popiera Komitet Sterujący.

Kontroler do GS.:

Przecież nie pozbędę się całej grupy świetnych oficerów na podstawie nieuzasadnionych podejrzeń, że jeden z nich jest nie w porządku.

GS. do Kontrolera:

Mam wrażenie, że według Aleca cały Komitet Sterujący jest nie w porządku.

Kontroler do GS.:

Niech uważa, czy sam jest w porządku.

Kolejna pisemna wypowiedź Aleca jest zupełnie innego rodzaju. Maszynopis jest bez jednej poprawki, styl zaś znacznie lepszy od wszystkiego, co sam pisał. Podejrzewam, że w tym wypadku wziął sobie na skrybę Stasa de Jonga, posiadacza dyplomu neofilologii z wyróżnieniem. Tym razem więc nad starą maszyną Aleca w jego zadymionej berlińskiej suterynie wyobrażam sobie prawie dwumetrowego Stasa, podczas gdy Alec zapewne snuje się po pokoju, paląc te swoje śmierdzące ruskie papierosy i wplątując w to, co dyktuje, straszliwe irlandzkie przekleństwa, które z kolei de Jong dyskretnie opuszcza.

Raport ze spotkania dn. 2 II 1959. Miejsce: lokal konspiracyjny K2 w Berlinie. Obecni: wiceszef rezydentury w Berlinie Alec Leamas (PAUL), Karl Riemeck („Głóg”).

Źródło „Głóg”. Treff nr 2. Tajne spec. znaczenia. AL. do dyr. Operacji Tajnych w Marylebone.

Źródło „Głóg”, znany w elitach NRD jako „doktor z Köpenick”, co jest aluzją do sztuki Carla Zuckmayera pod podobnym tytułem, Kapitan z Köpenick, jest bardzo wziętym lekarzem wśród najwyższych prominentów SED [Socjalistyczna (tj. Komunistyczna) Partia Jedności Niemiec] i Stasi oraz ich rodzin, szczególnie zamieszkałych w willach i mieszkaniach nad jeziorem w Köpenick. To lewicowiec o doskonałym rodowodzie. Jego ojciec Manfred, komunista od początku lat 30., walczył w batalionie im. Thälmana w hiszpańskiej wojnie domowej, po czym związał się z antyhitlerowską siatką „Czerwona Orkiestra”. Podczas wojny 1939–1945 „Głóg” służył jako kurier ojca, rozstrzelanego przez Gestapo w roku 1944 w Buchenwaldzie. Choć więc Manfred nie doczekał się rewolucji w Niemczech Wschodnich, syn gorąco pragnął okazać się godny ojca. Ukończywszy liceum z wyróżnieniem, dostał się na studia medyczne najpierw w Jenie, potem w Pradze i ukończył je magna cum laude. Nie wystarcza mu praca w jedynym uniwersyteckim szpitalu w Berlinie Wschodnim, więc w rodzinnym domu w Köpenick, w którym mieszka wraz z sędziwą matką Helgą, urządził nieoficjalną praktykę dla

wybranych pacjentów.

Jako ktoś, kto pochodzi z elit NRD, „Głóg” bywa obarczany bardzo delikatnymi zadaniami natury medycznej. Gdy członek plenum SED zarazi się chorobą weneryczną podczas wizyty przyjaźni w odległym kraju, „Głóg” sporządza sfałszowaną diagnozę. Gdy jakiś więzień Stasi umrze na serce w trakcie przesłuchania, akt zgonu musi podawać zupełnie inną przyczynę. Cenny więzień Stasi ma zostać przesłuchany bardzo energicznie – „Głóg” musi ocenić stan zdrowia fizycznego i psychicznego, by wiadomo było, ile więzień znieśie.

Z powodu tak licznych obowiązków „Głóg” otrzymał status Geheime Mitarbeiter (tajnego współpracownika), w skrócie GM, dlatego musi co miesiąc kontaktować się ze swym oficerem prowadzącym w Stasi, niejakim Ursem ALBRECHTEM, „funkcjonariuszem nieobdarzonym szczególną wyobraźnią”. „Głóg” twierdzi, że sprawozdania, które sporządza dla Albrechta, są „wybiórcze, w większości zmyślane i pozbawione znaczenia”. Z kolei Albrecht uważa, że „Głóg” „jest dobrym lekarzem, ale nędznym szpiegiem”.

O wyjątkowej pozycji „Głoga” świadczy również to, że posiada przepustkę do wschodniobermińskiego „Miasteczka”, zwanego również „Majakowskiring”, dzielnicy, w której zamieszkuje znaczna część elity NRD, pilnie strzeżona przed resztą społeczeństwa przez pułk wartowniczy im. Dzierżyńskiego, specjalnie szkoloną jednostkę Stasi. Choć „Miasteczko” posiada własną rządową klinikę – obok specjalnych sklepów i przedszkola – „Głóg” ma prawo wstępu na ten chroniony teren, by nawiedzać swych wybitnych prywatnych pacjentów. Donosi, że po znalezieniu się wewnątrz kordonu wyczuwa się znacznie swobodniejszą atmosferę i mniej surową dyscyplinę, że wszędzie krążą plotki, intrygi, niedyskrecje.

Motywacja:

„Głóg” twierdzi, że kieruje nim niechęć do enerdowskiego reżymu, który zdradził ideały jego ojca.

Oferta współpracy:

„Głóg” twierdzi, że podźródło „Tulipan”, jego pacjentka i pracowniczka Stasi, nie tylko była bezpośrednią przyczyną jego zaangażowania, ale właśnie od niej pochodzą rolki filmu, które podrzucił w jej imieniu do volva de Jonga. „Tulipan” jest znerwicowana, lecz dobrze panuje nad sobą, i bardzo słaba fizycznie. „Głóg” twierdzi, że to tylko jego pacjentka, nic więcej. I po raz kolejny zaznacza, że ani on, ani „Tulipan” nie oczekują wynagrodzenia.

Kompromisowe rozwiązanie – ucieczka na Zachód – nie było jeszcze omawiane; patrz poniżej.

Ale poniżej nie ma na co patrzeć. Następnego dnia Smiley sam poleciał do Berlina, żeby sobie obejrzeć Riemecka, i mi też kazał jechać. Tylko że głównym powodem naszej wyprawy nie jest „Głóg”. Smiley znacznie bardziej interesuje się tożsamością, potencjałem wywiadowczym i motywacją znerwicowanego, lecz bardzo dobrze nad sobą panującego podźródła, kobiety o kryptonimie „Tulipan”.

\*

Sam środek nocy w bezsennym Berlinie Zachodnim targanym wiatrem, zasypywanym deszczem ze śniegiem i śniegiem. Alec Leamas i George Smiley siedzą ze swym nowym

kandydatem na współpracownika, Karlem Riemeckiem alias „Głóg”, i z butelką taliskera, ulubionej whisky Aleca, którą Riemeckowi przychodzi pić po raz pierwszy w życiu. Ja siedzę po prawicy Smileya. Berliński lokal konspiracyjny K2 znajduje się przy Fasanenstrasse 28 – to dostojna willa, która nie wiadomo jak przetrwała alianckie bombardowania. Została zbudowana w stylu biedermeierowskim, ma kolumny na ganku, okno w wykuszu i dobre tylne wyjście na Uhlandstrasse. Ten, kto ją wybierał, musiał odczuwać tęsknotę za imperium i wykazał się dobrym instynktem operacyjnym.

Są takie twarze, które mimo wszelkich starań nie potrafią ukryć dobrego serca swych właścicieli. Taka była też twarz Riemecka. Riemeck jest łysy, w okularach – i przemily. Lepszego słowa nie ma. Nie należy się sugerować poważną lekarską miną; od niego aż tchnie ludzką dobrocią.

Przywołując to pierwsze spotkanie, muszę wciąż przypominać sobie, że w roku 1959 odwiedzinom wschodnioniemieckiego lekarza w Berlinie Zachodnim nie towarzyszyły żadne dramatyczne wydarzenia. Między obiema częściami miasta krążyło wielu ludzi, z których znaczna część kiedyś po prostu nie wracała na wschód. Właśnie dlatego w końcu zbudowano mur.

Pierwsza strona akt to maszynopis; bez podpisu. Nie jest to oficjalny raport. Mogę się tylko domyślać, że autorem jest Smiley. A ponieważ adresata brak, to pewnie pisał ad acta – inaczej mówiąc: sobie a muzom.

Zapytany o to, jak zaczął się u niego czas, który sam nazywa „stadium poczwarki” swojej opozycji wobec reżimu NRD, „Głóg” wskazuje na moment, gdy śledczy ze Stasi nakazali mu przygotowanie pewnej kobiety do „aresztu śledczego”. Kobieta była obywatelką NRD podejrzaną o współpracę z CIA. Cierpiała na ostrą postać klaustrofobii i przedłużające się uwięzienie już doprowadziło ją niemal do obłędu. „Do dziś słyszę jej krzyk, kiedy zamykali ją w skrzyni i zabijali wieko”, utrzymuje „Głóg”.

Pod wpływem tego zdarzenia „Głóg”, który jak zapewnia, zwykle nie podejmuje pochopnych decyzji, postanowił „gruntownie przemyśleć swoją sytuację”. Przejrzał kłamstwa partii, poznał panoszące się w niej korupcję, dwulicowość i nadużycia władzy. I postawił diagnozę: „Wszystkie objawy państwa totalitarnego udającego, że nim nie jest”. W Niemczech Wschodnich nie było demokracji, o której marzył jego ojciec. Było to „państwo policyjne, całkowicie zwasalizowane przez Sowietów”. Twierdzi, że gdy syn Manfreda to sobie uświadomił, pozostało mu tylko jedno: opór.

Najpierw chciał stworzyć podziemną komórkę. Spróbuje wysondować tego lub innego ze swych wysoko postawionych pacjentów, czy przypadkiem i on nie wykazuje oznak zniechęcenia do ustroju, i zaproponuje współpracę. Ale jaką współpracę? I na jak długo? W końcu jego ojca zdradzili własni towarzysze. Pod tym względem syn bynajmniej nie zamierzał iść w ślady ojca. Komu mógł zaufać do końca i na zawsze? Odpowiedź: nikomu, nawet własnej matce, bo Helga wierzyła w komunizm na dobre i na złe.

Uznał w takim razie, że woli pozostać tym, kim jest: „jednoosobową komórką terrorystyczną”. Weźmie wzór nie z ojca, ale ze swego bohatera lat dziecińczych Georga Elsnera. Człowieka, który w roku 1939, nie mając współników ani powierników, skonstruował i zdetonował bombę w piwnicznej piwiarni, gdzie tuż przedtem Hitler przemawiał do swych wyznawców. „Ocaliło go to jego piekielne szczęście”, mówi „Głóg”.

Jednak zdawał sobie sprawę, że na NRD nie wystarczy jeden wybuch – zresztą na Hitlera też nie wystarczył. „Głóg” jest przede wszystkim lekarzem. Chory system musi



być leczony od wewnątrz. Przyjdzie czas, że znajdzie się na to sposób. Na razie nie wolno mu się nikomu zwierzyć, nikomu zaufać. Musi działać sam, być samowystarczalny i odpowiadać tylko przed sobą. Musi stać się „tajną jednoosobową armią”.

Twierdzi, że „poczwarka” wydobyła się z kokonu o godzinie 22.00 18 października 1958 roku, gdy do jego gabinetu na wschodniobrzezińskim przedmieściu przyjechała na rowerze zrozpaczona młoda kobieta i zażądała usunięcia ciąży.

W tym miejscu Smiley urywa, do głosu dochodzi doktor Riembeck we własnej osobie. George musiał uznać, że wywód ten, choć długi, jest zbyt cenny, by go streszczać:

Tow. [----] to bardzo inteligentna i niewątpliwie atrakcyjna kobieta. Na zewnątrz zachowuje się szorstko, dokładnie tak, jak tego wymaga się w partii. Jest bardzo pomysłowa. Prywatnie podczas badania staje się to dziecinna, to bezradna. Zwykle unikam stawiania tak szybkiej diagnozy, ale już teraz podejrzewam u niej jakąś postać schizofrenii, nad którą potrafi jeszcze panować, choć przychodzi jej to coraz trudniej. To nie paradoks, że równocześnie jest osobą o dużej odwadze cywilnej i silnych zasadach etycznych.

Informuję tow. [----], że nie jest w ciąży i nie potrzebuje aborcji. Odpowiada, że bardzo ją to dziwi, bo podczas tego samego cyklu odbywała stosunki płciowe z dwoma równie obrzydliwymi mężczyznami. Pyta, czy mam alkohol. Oświadcza, że nie jest alkoholiczką, ale obaj jej konkubenci piją dużo i powoli sama zaczyna popadać w nałóg. Często ją francuskim koniakiem, który otrzymałem od kongijskiego ministra rolnictwa w podziękowanie za udzielenie mu porady lekarskiej. Wypija jednym haustem. Zaczyna mnie wypytywać:

– Znajomi mówią, że jest pan porządny. I dyskretny. Czy to prawda?

– Jacy znajomi? – pytam.

– To tajemnica.

– Dlaczego tajemnica?

– Bo są z organów.

– Z jakich organów?

Zirytowałem ją.

– Ze Stasi, towarzyszu doktorze. A niby z jakich?

Upprzedzam ją, że jestem lekarzem, ale mam też zobowiązania względem państwa. Puszczam to mimo uszu. Mówi, że musi mieć prawo wyboru. W demokracji wszyscy towarzysze są równi, więc musi mieć prawo wybrać między mężem, sadystycznym zdrajcą, który ją bije i nie chce się przyznać, że jest homoseksualistą, a tym sukinsynem jej szefem, pięćdziesięcioletnim grubasem, któremu zdaje się, że wolno mu ją rznąć na tylnym siedzeniu służbowej wołgi, kiedy mu tylko przyjdzie na to chęć.

W rozmowie dwukrotnie wspomina o doktorze Emmanuelu Rappie. Mówi o nim „Rappschwein”. Pytam ją, czy ten Rapp ma coś wspólnego z tow. Brigitte Rapp, która wciąż mnie nachodzi, uskarżając się na przeróżne urojone schorzenia. Wszystko zaczyna się zgadzać, bo frau Rapp zwierzyła mi się kiedyś, że jest żoną wysokiego funkcjonariusza Stasi, który robi, co mu się żywnie podoba. Okazuje się tym samym, że mam do czynienia z bardzo rozgoryczoną sekretarką doktora Rappa i – jak twierdzi – jego utrzymywaną w tajemnicy kochanką. Twierdzi, że od pewnego czasu zastanawia się, czy nie dosypać Rappowi arseniku do kawy. I że pod łóżkiem trzyma nóż i tylko czeka, żeby jej mąż homoseksualista jeszcze raz chciał ją pobić. Mówię jej, że to niebezpieczne

fantazje i że powinna się ich wyzbyć.

Pytam ją, czy swymi wywrotowymi myślami dzieliła się z mężem albo z kimś w pracy. Śmieje się i zapewnia, że nie. Mówi, że ma trzy oblicza. I że i tak ma szczęście, bo teraz w NRD ludzie mają ich po pięć czy po sześć.

– W pracy jestem ofiarną, pracowitą towarzyszką. Ubieram się dobrze, mam zawsze nienaganną fryzurę, szczególnie na zebraniach. I jestem nałożnicą wysoko postawionego sukinsyna. W domu jestem przedmiotem nienawiści sadystycznej „cioty” (homoseksualisty), starszego ode mnie o dobre dziesięć lat, którego jedynym marzeniem jest znaleźć się w szeregach elity z Majakowskiring i sypiać ze ślicznymi chłoptasiami.

A trzecie oblicze mam teraz przed sobą: kobietę, która nienawidzi wszelkich aspektów życia w NRD. Która kocha tylko własnego syna. I która znalazła pociechę w Bogu Ojcu i świętych Pańskich. Pytam ją, komu jeszcze ukazała tę trzecią twarz. Nikomu. I czy słyszy głosy. Wydaje się jej, że nie, ale jeżeli jakiś usłyszy, będzie to na pewno głos Boga. Pytam, czy naprawdę miewa czasem pokusę, by skończyć ze sobą, bo o tym wcześniej wspomniała. Odpowiada, że rzeczywiście ostatnio myślała, by rzucić się z mostu, ale powstrzymała ją miłość do syna Gustava.

Pytam ją, czy nie zastanawia się nad popełnieniem innych czynów, na przykład dla zemsty. Odpowiada, że kiedy ostatnio dr Emmanuel Rapp zostawił sweter na krześle, wzięła nożyczki i pocięła go na drobne kawałki, po czym ukradkiem wyrzuciła do śmieci. Kiedy Rapp wrócił rano, narzekał, że zgubił gdzieś sweter. Pomagała szukać, a kiedy uznał, że ktoś mu sweter ukradł, zasugerowała kilka osób, które mogły to zrobić.

Pytam ją, czy od tego czasu pragnienie zemsty na szefie się nie zmniejszyło. Odpowiada z gniewem, że wręcz przeciwnie, że jest jeszcze silniejsze i że bardziej niż Rappa nienawidzi tylko systemu, który wynosi takie świnię na szczyty władzy. Jej skrywana nienawiść jest bardzo niepokojąca. Graniczy z cudem fakt, że udaje się jej zataić to uczucie przed czujnym wzrokiem kolegów i koleżanek z pracy.

Pytam, gdzie mieszka. Odpowiada, że do niedawna mieszkali z mężem na socjalistycznym blokowisku na Stalinallee, gdzie nawet nie było ochrony, a do budynku Stasi na Magdalenenstrasse miała dziesięć minut na rowerze. Ostatnio – sama nie wie, czy dzięki innym wysoko postawionym homoseksualistom, czy za pieniądze, bo mąż nie przyznał się jej, ile dostał po rodzicach – przenieśli się do chronionej dzielnicy Hohenschönhausen, przeznaczonej dla członków rządu i wysokich urzędników państwowych. Są tam stawy i las, które uwielbia, Gustav ma plac zabaw, przy domu jest nawet mały ogródek z grillem. Normalnie byłaby to sielanka, ale musi dzielić dom z obmierzłym mężem. Bardzo lubi rower, wciąż jeździ nim do pracy, choć teraz od drzwi do drzwi zabiera jej to około pół godziny.

Jest pierwsza w nocy. Pytam, co powie Lotharowi (tak się nazywa jej mąż), gdy wróci do domu. Odpowiada, że nic mu nie powie. I jeszcze dodaje:

– Kiedy kochany Lotharek nie gwałci mnie albo nie pije, siedzi na krawędzi łóżka, trzyma na kolanach papiery z MSZ-etu, przeklina i pisze po nich tak, jakby nienawidził całego świata, a nie tylko żony.

Pytam ją, czy papiery, które Lothar przynosi, są tajne. Odpowiada, że nawet ściśle tajne i że przynosi je do domu nielegalnie, bo jest nie tylko zboczony, ale też chorobliwie ambitny. Pyta mnie, czy jeżeli jeszcze raz do mnie przyjdzie, zechcę się z nią kochać, bo chciałaby po raz pierwszy w życiu pokochać się z mężczyzną, który nie jest ani gwałcicielem, ani świnią. Wydaje mi się, że żartuje, lecz nie jestem tego pewien. Tak czy inaczej odmawiam i wyjaśniam, że z zasady nie sypiam z pacjentkami. Może na

pocieszenie pozostaje jej przekonanie, że przespałbym się z nią, gdybym nie był jej lekarzem. Wsiadając na rower, informuje mnie, że oddaje swoje życie w moje ręce. Odpowiadam, że jako lekarz zachowam jej wyznania w tajemnicy. Prosi mnie o kolejny termin. Proponuję następny czwartek o szóstej wieczór.

Czuję nagły przypływ obrzydzenia. Bezwiednie wstaję z miejsca.

– Wiesz gdzie? – pyta Nelson, nie unosząc wzroku znad książki.

Zamykam się w ubikacji na najdłużej, jak wypada. Kiedy wreszcie zajmuję z powrotem miejsce za stołem, Doris Gamp, pseudonim „Tulipan”, przybywa punktualnie na drugą umówioną wizytę. Całą drogę do Köpenick przejechała na rowerze z Gustavem na koszyku.

I znowu Riemeck:

I matka, i jej dziecko są w wesołym nastroju, zrelaksowani. Pogoda jest piękna, mąż został nagle wezwany na konferencję w Warszawie, nie będzie go przez dwa dni, mają dobry humor. Jutro, też z Gustavem i też na rowerze, pojedą do jej siostry Lotte, „drugiej jeszcze osoby na całym świecie, którą kocham”, mówi mi radośnie. Powierzywszy dziecko opiece mojej matki, która strasznie żałuje, że to nie moje, prowadzę tow. [----] do gabinetu na poddaszu i nastawiam na gramofonie Bacha na cały regulator. Ceremonialnie – i jakby w popłochu – wręcza mi pudełko czekoladek, które jak twierdzi, dostała od Emmanuela Rappa, i mówi, żebym ich nie zjadł wszystkich od razu. Otwieram pudełko i widzę, że zamiast czekoladek zawiera dwie rolki miniaturowego filmu. Siadam obok niej na stołku tak, że jej usta znajdują się przy moim uchu. Pytam, co jest na filmie. Odpowiada, że tajne dokumenty Stasi. Pytam, jak je zdobyła. Odpowiada, że sfotografowała je aparatem marki Minox należącym do Rappa po szczególnie upokarzającym stosunku seksualnym. Natychmiast po skonsumowaniu aktu ten Rappschwein wyniósł się na zebranie w budynku nr 2, na które już i tak był spóźniony. Jest teraz ośmielona, znów czuje chęć zemsty. Dokumenty porzucił rozrzucone na stole. Aparat fotograficzny był w szufladzie, tam gdzie zawsze go trzyma w ciągu dnia.

– A przecież ludzie ze Stasi powinni zawsze zachowywać ostrożność – mówi mi tonem partyjnego aparatczyka. – Rappschwein jest tak pewny siebie, że uważa, że jego te przepisy nie dotyczą.

– A rolki z filmem? – pytam. Jak wyjaśni ich brak?

Mówi, że Rappschwein jest dziecinny, więc musi natychmiast zaspokajać jego kaprysy. Nawet najwyższym oficerom nie wolno trzymać we własnych sejfach aparatów i innego sprzętu służbowego, ale Rapp nic sobie z tego nie robi. Poza tym w takim pośpiechu opuszczał dom, że nawet zapomniał zatrzaskać drzwi do sejfu. To kolejne poważne naruszenie regulaminu, bo dzięki temu nie miała kłopotów z pieczęcią.

Pytam, z jaką pieczęcią. Wyjaśnia, że w Stasi oprócz skomplikowanych zamków stosuje się jeszcze woskowe pieczęcie – właściciel odciskuje na niej swój znak za pomocą specjalnego sygnetu [petschaft], który musi mieć zawsze przy sobie. Każdy petschaft ma własny numer, wykonywany jest na zamówienie i tylko w jednym egzemplarzu. Jeśli chodzi o rolki, to Rapp ma ich mnóstwo, całe pudełka po dwanaście sztuk. Nigdy ich nie liczy, a w dodatku aparatu fotograficznego używa w celach pozasłużbowych i lubieżnych. Na przykład wielokrotnie usiłował ją namówić, by pozowała mu nago, ale ona zawsze odmawia. Poza tym trzyma w sejfie śliwownicę i inne wódki, bo jak większość grubych ryb ze Stasi dużo pije. A kiedy pije, o wszystkim opowiada. Pytam, w jaki sposób udało się jej wynieść filmy z kwatery Stasi. Zaśmiała się i powiedziała, że jestem

lekarzem, więc powinienem wiedzieć.

Przy tym jednak przekonuje mnie, że mimo powszechnej obsesji na punkcie tajemnicy służbowej posiadacze specjalnych przepustek nie podlegają każdorazowej kontroli osobistej. Ona ma na przykład dokument, który umożliwia jej swobodne poruszanie się między budynkami nr 1 i 3 w kompleksie Stasi. Pytam ją, co według niej mam zrobić z tymi rolkami, skoro już mnie nimi skompromitowała. Ona na to, że powinienem przekazać je grzecznie wywiadowi brytyjskiemu. Pytam, czemu nie amerykańskiemu. Jest zszokowana. Mówi, że jako komunistka uważa się za wroga imperialistycznej Ameryki. Wracamy na dół. Gustav gra z moją matką w domino. Matka informuje nas, że to rozkoszne dziecko, bardzo dobrze gra w warcaby i chętnie by je porwała.

W tym miejscu do sprawy włącza się dział techniczny Operacji Tajnych, który zawsze chce wtrącić swoje trzy grosze:

Dział techniczny Operacji Tajnych Berlin do rezydenta w Berlinie [Leamas].

Dotyczy: główny agent „Głóg”:

1. Wiadomo, że w gabinecie na poddaszu w Köpenick jest staroświeckie radio. Zlecić przeróbkę na urządzenie nagrywające?
2. Wiadomo, że „Głóg” posiada jednosoczewkową lustrzanekę marki Exakta, dopuszczoną przez Stasi do użytku osobistego. Posiada też lampę laryngologiczną (w gabinecie) i mikroskop (z czasów studenckich). Skoro ma już konieczny sprzęt, można by go przeszkolić w stosowaniu mikropunktów.
3. Köpenick to teren wiejski i zalesiony, doskonały na ukrycie radiostacji i innych urządzeń operacyjnych. Zlecić rozpoznanie?
4. Pieczęcie woskowe. Czy podczas igraszek z Emmanuelem Rappem „Tulipan” nie mogłaby pobrać odcisków jego osobistego klucza i sygnetu [petschaftu]? Mamy na składzie całą gamę urządzeń kamuflujących, w których można by umieścić odpowiednią substancję, np. plastelinę.

Obrzydzenie powróciło. „Podczas igraszek?” Dla „Tulipan” to nie były igraszki. Może dla Rappschweina. Niech was diabli! „Tulipan” godziła się na to, w przeciwnym razie zwolniono by ją dyscyplinarnie z pracy pod jakimś zmyślonym pretekstem i Gustav nie dostałby się do wymarzonej elitarniej szkoły. W porządku, kobieta ma temperament, łatwo się podnieca. Ale to nie znaczy, że albo Rappschwein, albo mąż dawali jej jakąkolwiek przyjemność.

Tylko że Alec Leamas w Berlinie nie miał takich skrupułów:

Rezydent w Berlinie [Leamas]

Do Dyr. Operacji Tajnych w Marylebone [Smiley]

Tajne, z kopią do akt.

Drogi George’u,

pijemy!

Z przyjemnością informuję, że odcisk petschaftu i klucza Emmanuela Rappa, pobrany w tajemnicy przez źródło „Tulipan”, jest bardzo wierny, litery i liczby dobrze odciśnięte. Za radą naszych dzielnych fachowców z działu technicznego dla bezpieczeństwa lekko przekręciła petschaft w wosku. Wszystkim należy się podwójna whisky!

Niech będzie pochwalony,

Alec

PS W załączniku: CW źródła „Tulipan”. Zgodnie z ministerialnym zarządzeniem do wyłącznego użytku Dyr. Operacji Tajnych!! AL.

CW to skrót od „charakterystyka współpracownika”. Dwie literki podsumowujące życie każdego, kim kiedykolwiek choćby przelotnie zainteresowała się nasza firma. A może C to cierpienie, a W – wina?

Imię i nazwisko podźródła: Doris Carlotta Gamp.

Data i miejsce urodzenia: 21 X 1929, Lipsk.

Wykształcenie: nauki społeczno-polityczne, uniwersytet w Jenie, uniwersytet w Dreźnie.

Rodzeństwo: siostra Lotte, nauczycielka w szkole podstawowej w Poczdamie, niezamężna.

Życiorys i inne dane osobiste: W wieku 23 lat zatrudniona na stanowisku młodszej archiwistki w kwaterze głównej Stasi w Berlinie Wschodnim. Dopuszczona do informacji z klauzulą „Poufne” i niżej. Po półrocznym stażu dopuszczona do informacji tajnych. Przydzielona do sekcji J3 zajmującej się opracowaniem raportów rezydentur zagranicznych.

W rok od podjęcia pracy nawiązała romans z Lotharem Quinzem, lat 41, uchodzącym za wschodzącą gwiazdę Ministerstwa Spraw Zagranicznych NRD. Potem ciąża i ślub cywilny.

Sześć miesięcy po ślubie urodziła syna. Nadała mu po własnym ojcu imię Gustav. W tajemnicy przed mężem ochrzciła chłopca u osiemdziesięciosiedmioletniego emerytowanego popa, starca mnicha, takiego jakby Rasputina, przydzielonego do koszar sowieckich w Karlshorst. Nie wiadomo, czy i jak doszło do jej przejścia na prawosławie. By zmylić Quinza, Gamp powiedziała mu, że jedzie w odwiedziny do siostry do Poczdamu i całą drogę do swojego Rasputina odbyła na rowerze z chłopcem w koszyku.

Dn. 10 czerwca 1957 r., pod koniec piątego roku pracy, otrzymała kolejny awans. Została sekretarką Emmanuela Rappa, wyszkolonego przez KGB dyrektora operacji zagranicznych.

Aby zapewnić sobie protekcję Rappa, musiała uprawiać z nim stosunki seksualne. Gdy poskarżyła się mężowi, odpowiedział, że tak ważnemu towarzyszowi jak Rapp nie wolno odmawiać. Jest przekonana, że opinię tę podziela większość jej kolegów i koleżanek z pracy, że wiedzą o tym romansie i zdają sobie sprawę, iż to poważne naruszenie dyscypliny służbowej. Mimo to z powodu wysokiej pozycji Rappa nie donoszą na niego z obawy przed konsekwencjami.

Dotychczasowe doświadczenie operacyjne:

Po wstąpieniu do Stasi uczęszczała na wstępne szkolenie przeznaczone dla wszystkich młodszych pracowników. W odróżnieniu od większości kolegów i koleżanek płynnie posługuje się w mowie i w piśmie językiem rosyjskim. Wytypowana do dodatkowego szkolenia w metodach konspiracyjnych, organizacji tajnych spotkań, rekrutacji i dezinformacji. Ponadto przeszkolona w technikach steganograficznych (płyny, związki węgla), mikrofotografii (w tym w technikach mikropunktowych), obserwacji, kontrolobserwacji, podstawach radiotelegrafii. Szkolenie ukończyła z oceną bardzo dobrą.

Jako sekretarka i „prymuska” Rappa (jego określenie) regularnie towarzyszy mu w wyjazdach do Pragi, Budapesztu i Gdańska, gdzie jej przełożony uczestniczy w organizowanych przez KGB spotkaniach przedstawicieli wschodnich służb

wywiadowczych. Podczas tych spotkań dwukrotnie odpowiedzialna za protokołowanie rozmów. Mimo całej antypatii do Rappa marzy, by pojechać z nim na podobne spotkanie do Moskwy i zobaczyć plac Czerwony nocą.

Uwagi końcowe oficera prowadzącego:

Rezydent w Berlinie do dyr. Operacji Tajnych w Marylebone [sporządzone na pewno z udziałem Stasa de Jonga].

Nasze kontakty z podźródłem „Tulipan” zachodzą za wyłącznym pośrednictwem „Głoga”, który jest jej osobistym lekarzem, agentem prowadzącym, powiernikiem, spowiednikiem, najbliższym przyjacielem – właśnie w tej kolejności. Mamy więc do czynienia z pojedynczą agentką silnie przywiązaną do agenta prowadzącego. Moim zdaniem tak właśnie powinno pozostać. Jak już informowałem, niedawno otrzymała od nas na własność aparat marki Minox wbudowany w zapięcie paska do torebki oraz zapas rolek filmu w podstawce pudełka z talkiem. Poza tym jest dumną właścicielką kopii klucza do sejfu Rappa i jego petschaftu.

Z przyjemnością przyjmuję informacje „Głoga”, że „Tulipan” nie wykazuje niepokojących oznak stresu. Wręcz przeciwnie, „Głóg” twierdzi, że jej morale jest na najwyższym poziomie. Odnosi wrażenie, że „Tulipan” kocha niebezpieczeństwo; „Głóg” obawia się tylko, że agentka stanie się zbyt pewna siebie i może podejmować niepotrzebne ryzyko. Nie przejmuję się tym jednak, bo na razie mogą odbywać bezpieczne spotkania pod przykryciem porady lekarskiej.

Pojawia się jednak problem operacyjny w sytuacji, gdy „Tulipan” towarzyszy Rappowi w wyjazdach poza NRD. Ponieważ w nagłych wypadkach martwe skrzynki kontaktowe na ogół nie wchodzi w grę, Operacje Tajne powinny rozważyć wyznaczenie kuriera, który mógłby swobodnie poruszać się po bloku wschodnim i obsługiwać źródło „Tulipan”.

Odwracam kartkę. Ręka mi nie drży. W stresie nigdy mi nie drży. To przecież normalna wymiana informacji operacyjnych między kwaterą główną Operacji Tajnych a Berlinem.

George Smiley do Aleca Leamasa, Berlin. Odręczna notatka osobista, z kopią do akt.  
Alec,

w związku z planowanym wyjazdem Emmanuela Rappa do Budapesztu bardzo proszę o jak najszybsze zaznajomienie podźródła „Tulipan” z załączonym zdjęciem Petera Guillama, który będzie pełnił obowiązki jej kuriera.

Pozdrowienia  
G.

George Smiley do Petera Guillama. Notatka odręczna, z kopią do akt:  
Peter,

oto Twoja budapeszteńska pani. Dobrze się jej przyjrzyj!

Bon voyage  
G.

- Mówiłeś coś? – pyta ostro Nelson, tym razem unosząc głowę znad książki.
- Nie? Bo co?
- To pewnie z ulicy.

Oglądając dla celów operacyjnych rysy nieznaną kobietę, nie ma się nieczystych myśli. Nie zwraca się uwagi na jej urodę. Trzeba się natomiast zastanawiać, czy będzie miała włosy krótkie czy długie, farbowane czy nie, czy będzie w czapce czy bez, i przede wszystkim myśleć o znakach szczególnych: szerokie czoło, wystające kości policzkowe, oczy małe czy duże, okrągłe czy podługne. Potem patrzy się na kształt i rozmiary ciała, zastanawiając się, czy wyglądałoby inaczej, gdyby była ubrana nie tak jak na zdjęciu – w partyjny mundur i niezgrabne sznurowane buty. Nie zwraca się uwagi na seksapil – chyba tylko pod tym kątem, jak by to wpłynęło na postronnego obserwatora. W tym momencie interesowało mnie jedno: jak właścicielka tej twarzy i tego ciała zachowa się względem swego kuriera w upalny letni dzień na rojących się od szpicli ulicach Budapesztu.

Odpowiedź była prosta: bez zarzutu. Zręcznie, sprytnie, anonimowo, bez zbędnych gestów. Ja zresztą, jej kurier, też dostosowałem się do jej poziomu. Słoneczny dzień, ruchliwa ulica, dwoje nieznanymi, zbliżamy się do siebie z dwóch stron, zaraz się zderzymy, ja usuwam się w lewo, ona w prawo, przez chwilę zagradzamy sobie drogę. Potem ja mruczę jakieś przeprosiny, ona je ignoruje i idzie dalej. A ja jestem bogatszy o dwie rolki mikrofilmu.

Cztery tygodnie później drugie takie samo przekazanie na warszawskiej Starówce, choć trudniejsze, też przebiega bez zakłóceń. Oto mój raport dla George'a z kopią dla Aleca:

PG. do dyr. Operacji Tajnych (Marylebone) z kopią dla AL. (Berlin)

Podobnie jak poprzednio rozpoznaliśmy się prędko. Kontakt fizyczny był szybki i niezauważalny. Chwili przekazania materiałów nie zauważyłby chyba nawet ktoś, kto specjalnie by nas obserwował.

Wygląda na to, że „Tulipan” jest świetnie przygotowana przez „Głoga”. Późniejsze przekazanie materiałów przez mnie rezydentowi w Warszawie przebiegło bez zakłóceń.

PG.

I odręczna odpowiedź George'a:

Gratuluję zręczności, Peter. Brawo! GS.

Ale może nie wszystko poszło aż tak bezproblemowo, jak myślał George. I jak mógł sugerować mój raport.

\*

Jestem francuskim turystą z Bretanii. Przyjechałem ze szwajcarską wycieczką. W paszporcie mam wpisany zawód „dyrektor przedsiębiorstwa”, ale towarzyszą mi podróży wyznają, że jestem skromnym akwizytorem nawozów rolniczych. Razem z całą grupą zwiedzam z zachwytem pięknie odrestaurowaną warszawską Starówkę. W naszą stronę kieruje się zażywna młoda dama w szerokich dżinsach i kamizelce w szkocką kratę. Włosy, poprzednio ukryte pod beretem, ma teraz rozpuszczone. I kasztanowate. I przy każdym kroku ruchliwie mienia się w słońcu. Na szyi zielony szalik. Gdyby go nie było, przekazania też nie będzie. Tym razem to ja mam beret, ale taki z antenką, kupiony niby dla żartu w brudnym domu handlowym o nazwie CDT. Jeśli wsadzę go do kieszeni, z przekazania nici. Starówka pęka

w szwach od grup wycieczkowych. Nasza jest znacznie gorzej zdyscyplinowana, niż życzyłyby sobie nasza polska przewodniczka. Parę osób już przestało zwracać na nią uwagę; wolimy gadać między sobą, niż słuchać jej opowieści o heroicznej odbudowie zniszczonego przez hitlerowców miasta. Nagle zaczynam się interesować wysoką kolumną z rzeźbą postaci trzymającej krzyż i zakrzywioną szablę. „Tulipan” też, bo tak właśnie wyreżyserowano nasze spotkanie. Przechodząc obok siebie, mamy nie zwalniać kroku. Nonszalancja, byle bez przesady. Nie nawiązywać kontaktu wzrokowego, ale nie ignorować się zbyt ostentacyjnie. Warszawa jest dobrze obstawiona. Szczególnie okolice najważniejszych zabytków.

Dlaczego jednak „Tulipan” nagle zaczyna kołysać biodrami? Dlaczego w jej wielkich, lekko skośnych oczach pojawia się zapraszający błysk? Na jedną ulotną chwilę – znacznie jednak mniej ulotną, niż się spodziewałem – splatają się nasze dłonie. Ale przekazawszy mi małą zawartość swojej, jej palce – wbrew ustalonej choreografii – dłużej pozostają w moich. I pozostałyby jeszcze dłużej, gdybym ich nie wyrwał. Czy ona oszalała? Czy ja? I ten jej uśmiech... A może tylko mi się zdaje?

Idziemy każde w swoją stronę. Ona na spotkanie szpiegowskiej elity Układu Warszawskiego, ja z moją grupą do knajpy w piwnicy, gdzie przez czysty przypadek przy sąsiednim stoliku w kącie sali ucztuje z żoną sekretarz kulturalny ambasady brytyjskiej. Zamawiam piwo i kieruję się do męskiej ubikacji. Sekretarz, którego poznałem kiedyś na szkoleniu w Sarratt, idzie za mną. Przekazanie odbywa się bezzwłocznie i bez słowa. Wracam do grupy. Ale w prawej dłoni wciąż czuję dotyk palców „Tulipan”.

I czuję go znów teraz, czytając napisany przez Stasa de Jonga pochwalny hymn na cześć podźródła „Tulipan”, największej gwiazdy siatki „Głogu”:

„Tulipan” jest w pełni świadoma, że pracuje dla nas i że „Głóg” jest nie tylko jej agentem prowadzącym, ale i naszym łącznikiem. Wyznaje głęboką miłość do Anglii. Jest pod szczególnym wrażeniem jakości naszych technik operacyjnych. Jako przykład naszej sprawności podaje ostatni warszawski treff.

Po zakończeniu współpracy – niezależnie od tego, kiedy to nastąpi – wycofanie z terenu agenta „Tulipan” odbędzie się na następujących warunkach: 1000 funtów za każdy miesiąc służby i jednorazowa premia uznaniowa w wysokości 10 000 funtów, co zostało już zaaprobowane przez dyr. Operacji Tajnych [GS.]. Jednak jej najważniejszym warunkiem i marzeniem jest uzyskanie obywatelstwa brytyjskiego dla siebie i syna.

„Tulipan” jest niezwykle utalentowana do wszelkich działań operacyjnych. Aparat fotograficzny udało się jej umieścić pod brodzikiem natrysku w damskiej toalecie na korytarzu obok jej gabinetu, dzięki czemu zaoszczędziła sobie stresu związanego z każdorazowym przynoszeniem sprzętu w torebce z budynku nr 3. Dostarczony przez nas klucz i petschaft umożliwiają jej dostęp do sejfu w dowolnej chwili. W zeszłą sobotę przyznała się „Głogowi”, że ostatnio wciąż jej się śni, że wychodzi za wybitnie przystojnego Anglika!

- Coś nie w porządku? – pyta Nelson, tym razem mniej obojętnie.
- Zadrasnąłem się o spinacz – odpowiadam, zresztą zgodnie z prawdą.



Bunny przyniósł ze sobą aktówkę. Przyszedł w czarnym garniturze. Prosto z zebrania w Ministerstwie Skarbu. Ale nie powiedział, z kim się tam widział. Laura rozpięta się w fotelu Kontrolera, zakłada nogę na nogę. Bunny wyciąga z teczki butelkę niesłodzonego sancerre i nalewa wszystkim po kieliszku. Potem otwiera paczkę solonych orzeszków i każe się częstować.

– Ciężko idzie, Peter? – pyta dobrodusznie.

– A jak myślisz? – odpowiadam urażonym tonem, którym teraz postanowiłem się posługiwać. – To nie są zbyt miłe wspomnienia.

– Ale mam nadzieję, że przydatne. Nie stresujesz się za bardzo, jak tak czytasz o dawnych czasach i starych znajomych?

Puszczam to mimo uszu. Zaczyna się przesłuchanie. Najpierw jakby od niechcienia:

– Czy mogę cię najpierw wypytać o Riemecka, bo wydaje mi się, że to był przecież fantastyczny materiał na agenta?

Kiwam głową.

– A w dodatku lekarz, i to dobry.

Kiwam głową drugi raz.

– To dlaczego w ówczesnych raportach „Głogu”, przygotowywanych dla wybranych szczęśliwców w Whitehall, jest on nazywany, cytuję: „etatowym pracownikiem średniego szczebla kluczowych organów Socjalistycznej Partii Jedności, posiadającym regularny dostęp do ściśle tajnych materiałów Stasi”?

– To dezinformacja – odpowiadam.

– Czyja?

– George’a. Kontrolera. I Lacona z Ministerstwa Skarbu. Wszyscy trzej wiedzieli, że materiał „Głogu” będzie przebojem, jak tylko się ukaże. I że wszyscy klienci będą przede wszystkim pytać, co to za źródło. Dlatego wymyślili taki fikcyjny opis, ale żeby stanowisko mniej więcej się zgadzało.

– A „Tulipan”?

– Co „Tulipan”?

Za szybko. Trzeba było odczekać. Czy on chce mnie podpuścić? Bo skąd u niego ten niewesoły znaczący uśmiezek, który sprawia, że chcę mu przywalić w gębę? I dlaczego Laura tak samo się szczerzy? Chce się na mnie odegrać za nieudaną kolację w greckiej restauracji?

Bunny czyta z czegoś, co trzyma na kolanach. Ciągłe o „Tulipan”:

– „Podźródłem jest kierowniczka sekretariatu w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych. Ma dostęp do najwyższych kręgów władzy”. Czy to nie lekka przesada?

– Jak to przesada?

– Bo czy wy jej tu trochę... jak by to powiedzieć... nie przedstawicie w zbyt szlachetnym świetle? Nie można było dodać: „rozwiązała kierowniczka sekretariatu”? Albo nawet „kierowniczka nimfomanka”? To chyba lepiej pasuje, tak? Albo wręcz „święta nierządnicą”, skoro była taka pobożna?

Przygląda mi się i tylko czeka na wybuch złości, na obelgi, zaprzeczenia. Jakoś udaje mi się nie dać mu tej satysfakcji.

– Z drugiej strony ty znalazłeś najlepiej swoją „Tulipan” – dodaje. – W końcu to ty ją tak

świetnie obsługiwałeś.

– Wcale jej nie obsługiwałem i wcale nie była „moja” – odpowiadam dobitnie. – Przez cały czas, kiedy dla nas pracowała, nie zamieniłem z nią ani słowa.

– Ani słowa?

– Ani słowa. Przy żadnym ze spotkań. Przekazanie zawsze odbywało się bez słowa i nie rozmawialiśmy nigdy.

– No to skąd wiedziała, jak się nazywasz? – pyta z tym swoim czarującym chłopcym uśmiechem.

– No przecież mówię wam, kurwa, że nie wiedziała! Jak miała wiedzieć, skoro nigdy nie powiedzieliśmy sobie nawet „cześć”?

– Ale może знаła jeden z twoich pseudonimów? – pyta dalej niewzruszony.

To znak dla Laury:

– Na przykład ten, Pete: Jean-François Gamay – mówi tym samym żartobliwym tonem. – Współwłaściciel francuskiej firmy elektronicznej z Metz, który wybrał się na wczasy nad Morzem Czarnym zakupione w bułgarskim Państwowym Biurze Podróży. To jakby trochę więcej niż „cześć”.

Nie mogę powstrzymać wybuchu wesołego śmiechu – i nic dziwnego, bo to efekt spontanicznej niekłamanej ulgi.

– No nie, na miłość boską! – wołam i dopasowuję się do ich radosnego nastroju. – Tego przecież nie powiedziałem jej, tylko Gustavowi!

\*

A teraz, drodzy Lauro i Bunny, usiądźcie wygodnie, bo usłyszycie pouczającą historię o tym, jak nawet najlepiej przygotowane i najtajniejsze plany mogą spalić na panewce przez dziecięcą niewinność.

Rzeczywiście używam pseudonimu Jean-François Gamay i rzeczywiście wraz z dużą bacznie pilnowaną grupą turystów dewizowych rozkoszuję się morzem i słońcem w tanim i niezbyt czystym ośrodku wczasowym na bułgarskim wybrzeżu Morza Czarnego.

Po drugiej stronie zatoki znajduje się Robotniczy Dom Wypoczynkowy należący do partii – brutalistyczna bryła z sowieckiego betonu, cały w czerwonych flagach gmach, z którego licznych potężnych megafonów wciąż dobiega a to muzyka wojskowa, a to szczytne hasła o pokoju i dobrej woli. W jego murach przebywa na zasłużonych wakacjach „Tulipan” z pięcioletnim synkiem, załatwionych dzięki koneksjom obrzydliwego tow. Lothara, który w tylko sobie wiadomy sposób umiał przewyciężyć panującą w Stasi niechęć do umożliwiania swym pracownikom zabawy na zagranicznych plażach. Żonie tow. Lothara towarzyszy jej siostra, nauczycielka z Poczdamu.

Między szesnastą a szesnastą piętnaście po południu mamy zrobić kolejne przekazanie, tym razem z udziałem małego Gustava. Na szczęście Lotte musi zostać w ośrodku na zebraniu komitetu wczasowego. Inicjatywa należy do agenta terenowego, w tym wypadku do „Tulipan”. Ja mam za zadanie reagować w zależności od sytuacji. Jest. Idzie do mnie wśród fal ubrana w staroświecki płaszcz kąpielowy. Na ramieniu ma sznurkową torbę plażową. Znowu demonstruje ten sam kokieterjny ruch bioder, na który pozostałem nieczuły

na warszawskiej Starówce – ale bardzo się pilnuję, żeby Laurze i Bunny’emu nie wspomnieć o jej biodrach, bo i tak wsłuchują się w każde moje beztróskie słowo z nieskrywanym sceptycyzmem.

Zbliżając się do mnie, zaczyna grzebać w torbie. Wokół inni wczasowicze i inne dzieci pluskają się w wodzie, opalają się, jedzą kanapki z kiełbasą i grają w szachy, a „Tulipan” podczas występu na scenie chętnie pozwala sobie na przyjemny uśmiech i parę miłych słów pod adresem różnych towarzyszy. Nie mam pojęcia, jakim podstępem skłoniła Gustava, by do mnie podszedł, ani co takiego mu powiedziała, że zaśmiał się głośno, podbiegł do mnie i wcisnął mi w dłoń czekoladowy batonik w niebiesko-biało-różowym złotku.

Wiem jednak, że muszę zachować się miło, że muszę się zachwycić. Muszę udać, że nadgryzam batonik, a resztę wsadzam do kieszeni. I potem przyklękając, jakimś cudem znaleźć w piasku piękną muszlę, którą od dłuższego czasu skrywam w dłoni, i wręczyć ją Gustavowi w podziękowanie za smakołyk.

To wszystko „Tulipan” przyjmuje ze śmiechem – może trochę zbyt wesołym, lecz tego też nie mówię Laurze i Bunny’emu – i gestem przywołuje synka: wracaj, kochanie, daj spokój temu sympatycznemu towarzyszowi.

Ale Gustav ani myśli dać spokoju sympatycznemu towarzyszowi – i właśnie dlatego opowiadam moim słuchaczom tę zabawną historyjkę. Bo Gustav to śmiały chłopak i nie zamierza sztywno trzymać się scenariusza. Uważa, że skoro już dobił korzystnego targu z sympatycznym towarzyszem – batonik za muszlę – to musi teraz bliżej poznać swego nowego kontrahenta.

- Jak wam na imię, towarzyszu? – pyta bez ogródek.
- Jean-François. A wam, towarzyszu?
- Gustav. A na nazwisko?
- Gamay.
- A ile macie lat?
- Sto dwadzieścia osiem. A wy?
- Pięć. Skąd jesteście?
- Z Francji. Z Metzu. A wy?
- Z Berlina. To jest w NRD. Zaśpiewać wam piosenkę?
- Bardzo proszę.

Gustav wypręża się na baczność na krawędzi morza i plaży, wypycha pierś do przodu i rączy mnie szkolną pieśnią wyrażającą głęboką wdzięczność bohaterskim żołnierzom radzieckim, co przelewali krew za socjalistyczne Niemcy. Tymczasem stojąca za nim mama niby mimochodem rozwiązuje pasek płaszcza kąpielowego, wbijając we mnie wzrok, ukazuje mi w pełnej glorii swoje nagie ciało i dopiero po chwili równie powoli zawiązuje pasek, po czym wraz ze mną entuzjastycznie oklaskuje występ syna. I patrzy z matczyną dumą, jak potrząsam prawicą Gustava, sprężyście cofam się o krok i wznosząc zaciśniętą pięść, oddaję jego komunistyczny salut.

Ale o glorii jej ciała nie wspominam moim słuchaczom i przez cały czas zmagam się z pytaniem, które dręczyło mnie, zanim jeszcze zacząłem opowiadać swoją wesołą anegdotkę: „Skąd wy wiecie, do diabła, że «Tulipan» znała mój pseudonim?”.

Nie mam pojęcia, czy to, co działo się ze mną, gdy nieco wcześniej uwolniwszy się od pracy, opuściłem mroczną „Stajnię” i zanurzyłem się w gwar Bloomsbury, nie było jakąś formą fugi dysocjacyjnej. Sam nie wiem, dlaczego skierowałem się na południowy zachód, w stronę Chelsea. Wiedziałem, że pcha mnie upokorzenie. I niewątpliwie frustracja połączona ze zdumieniem. I wściekłość, że do tego stopnia grzebią mi w życiorysie i rzucają mi to w twarz. I jeszcze poczucie winy, wstyd, niepokój – ile się da. A najgorszy z tego wszystkiego był drążący niemal fizyczny ból płynący z niezrozumienia, dlaczego George Smiley wciąż pozostaje nieuchwytny.

Czy rzeczywiście? A może Bunny łże tak jak ja i George wcale nie jest taki nieuchwytny? A jeżeli już do niego dotarli i wszystko z niego wycisnęli? Niemożliwe. Nawet jeżeli Millie McCraig wie, gdzie go szukać, a podejrzewałem, że wie, to na pewno kieruje się własną wersją ustawy o tajemnicy państwowej, według której o George’u Smileyu – wszystko jedno, żywym czy umarłym – po prostu się nie mówi.

Znalazłszy się w pobliżu Bywater Street – kiedyś była to ślepa uliczka zamieszkała przez niezbyt zamożnych ludzi, dziś stała się jeszcze jednym gettem dla milionerów – wielkim wysiłkiem woli nie poddaję się fali nostalgii ani nie notuję w pamięci zaparkowanych samochodów, nie wypatruję siedzących w nich ludzi, nie obrzucam niby to obojętnym wzrokiem drzwi i okien po drugiej stronie ulicy. Z jakiej okazji byłem tu ostatni raz? Pamięć podsuwa obraz tego wieczoru, gdy udało mi się przechytryć stosowane przez George’a sztuczki – te jego maleńkie kliny z drewna wciśnięte w drzwi – i czyhałem na niego wewnątrz, by porwać go do wielkiego czerwonego zamczyska Olivera Lacona w Ascot, co było pierwszym etapem długiej niebezpiecznej drogi, która doprowadziła go do starego przyjaciela Billa Haydona, wielkiego zdrajcy i kochanka jego żony.

Ale dziś, w to rozleniwiające późne jesienne popołudnie, dom pod numerem 9 przy Bywater Street nic o tym wszystkim nie wie, nigdy o tym nie słyszał. Spuszczone żaluzje, zachwaszczony ogródek od frontu, mieszkańcy wyjechali albo nie żyją. Wstępuję na cztery schodki prowadzące do drzwi, przyciskam dzwonek, lecz nie odzywa się znajomy dźwięk, nie słychać lekkich ani ciężkich dobrze znanych kroków. George nie mruga z zadowoleniem oczyma, nie czyści okularów podszewką krawata: „No cześć, Peter, wyglądasz, jakbyś chciał się napić, wchodzi”. Nie przemyka Ann z nie do końca gotowym makijażem: „Właśnie wychodzę, Peter, kochanie, cmok, cmok, ale wejdź, zbawiaj świat z biednym George’em”.

Marszowym krokiem wracam na King’s Road, biorę taksówkę na Marylebone High Street i każę się wysadzić naprzeciw księgarni Daunta, w czasach Smileya pod szyldem „Messrs Francis Edwards, rok założenia 1910”, w której tak chętnie spędzał przerwy obiadowe. Zanurzam się w labirynt brukowanych uliczek i zaułków, wśród których mieściło się kiedyś kierownictwo Operacji Tajnych, czyli w skrócie Marylebone.

W odróżnieniu od „Stajni”, która od początku do końca była tylko i wyłącznie lokalem konspiracyjnym dla potrzeb jednej i tej samej operacji, „Marylebone” posiadało aż trzy wejścia i było jakby osobną instytucją: miało własnych pracowników biurowych, szyfrantów, kurierów i własną armię doraźnych współpracowników, nieznających się nawzajem i rekrutowanych z najróżniejszych środowisk, gotowych w każdej chwili odpowiedzieć na wezwanie, porzucić swe codzienne zajęcia i iść na ratunek ojczyźnie.

Czy to w ogóle możliwe, że Operacje Tajne jeszcze tu przetrwały? W moim obecnym stanie wyobraziłem sobie, że tak. I że George Smiley ukrywa się tu gdzieś za zapuszczonymi żaluzjami. Teraz i w to byłem gotów uwierzyć. Dawniej działał tylko jeden dzwonek. Który – to wiedzieli tylko wtajemniczeni. Przyciskam go. Bez odpowiedzi. Przyciskam pozostałe dwa w tych samych drzwiach. Przechodzę do sąsiednich drzwi, przyciskam wszystkie trzy. Z domofonu skrzeczy na mnie kobiecy głos:

– Kurwa, Sammy, ona już tu nie mieszka! Wyniosła się z Wallym i z dzieciakiem. Jak jeszcze raz zadzwonisz, to wezwę psy, jak Boga kocham!

Ta rada trochę mnie otrzeźwiła. Po chwili orientuję się, że siedzę w kawiarni pełnej medyków w białych fartuchach, szepczących sobie coś nawzajem na ucho, i popijam likier z czarnego bzu. I czekam, żeby oddech mi się uspokoił. W miarę jak w głowie trochę mi się rozjaśnia, zaczynam też znowu myśleć logicznie. Mimo wszystkiego, co w ciągu ostatnich dni i nocy działo się wokół mnie, nie mogę się wyzbyć myśli o tym, że kryminalista Christoph, sprytny – po ojcu – syn Aleca, tak bezczelnie i prostacko wypytywał moją Catherine na progu mojego bretońskiego domu. Aż dotąd w głosie Catherine nigdy jeszcze nie słyszałem nuty strachu. Nie o siebie – o mnie. „On był taki niemiły, Pierre... Straszny... I wielki jak bokser... Pytał, czy w Londynie mieszkasz w hotelu... I pod jakim adresem”.

Mówię: „moją” Catherine, bo od śmierci jej ojca uważam się za jej opiekuna. Mam gdzieś insynuacje Bunny’ego. Patrzyłem, jak dziewczyna dorasta. Ona z kolei patrzyła na wszystkie moje kolejne kobiety – dopóki nie odeszła ostatnia. Kiedy postanowiła zostać zakałą wsi, by w ten sposób utrzyć nosa swej ładniejszej siostrze, i sypiała z każdym, kto jej się nawinął, puszczałem mimo uszu pompatyczne wymówki proboszcza, który pewnie sam miał na nią chrapkę. Przy dzieciach czuję się niezręcznie, ale gdy urodziła się Isabelle, cieszyłem się tak samo jak Catherine. Nigdy nie mówiłem jej, jak zarabiam na życie. Ona nigdy nie powiedziała mi, kto był ojcem. Byłem chyba jedyną osobą we wsi, która nie wiedziała i której było to obojętne. Jeżeli tylko zechce, gospodarstwo będzie kiedyś należało do niej, zostaną w nim z Isabelle. Catherine może znajdzie sobie kogoś młodszego, jeżeli zaakceptuje go Isabelle.

Czy żyjąc tyle lat obok siebie, zostaliśmy kochankami? Coraz bardziej wydaje mi się, że tak. Wszystko przez Isabelle, która pewnego letniego wieczoru przytасzczyła przez podwórko swoją pościel i umościła sobie posłanie pod oknem na podłodze naprzeciw mojej sypialni. Moje łóżko jest szerokie, a gościnny pokój zimny i ciemny... Trudno przecież rozdzielać córkę z matką... O ile sobie przypominam, spaliśmy najpierw z Catherine przez całe tygodnie w całkowitej niewinności, nim wreszcie zwróciliśmy się ku sobie. Ale może upiększam. Może wcale nie czekaliśmy tak długo.

Jednego przynajmniej mogłem być pewny: na pewno bez najmniejszych kłopotów rozpoznam mojego prześladowcę. Kiedy po śmierci Aleca likwidowałem jego ponurą kawalerkę w Holloway, natrafiłem na kieszonkowy album ze zdjęciami ozdobiony na okładce suszoną szarotką. Już miałem go wyrzucić, gdy uświadomiłem sobie, że trzymam w dłoni fotograficzny zapis życia Christoph'a od kolebki do matury. Każde zdjęcie było podpisane po niemiecku białym tuszem – domyśliłem się, że przez jego matkę. Wryło mi się w pamięć, że taki sam wyraz nieruchomej twarzy, który zapamiętałem z trybun w Düsseldorfie, miał również na każdym późniejszym zdjęciu, nawet na tym, na którym krępy sobowtór Aleca w odświętnym garniturze trzyma w ręce zwinięte w rulon świadectwo z taką miną, jakby chciał je patrzącemu cisnąć w twarz.

A tymczasem: co wie o mnie Christoph? Tylko tyle, że pojechałem do Londynu na pogrzeb kolegi. Że bawię się w dobrego samarytanina. Nie mam tu adresu, nie należę do żadnego klubu. Nawet ktoś tak obrotny jak Christoph, który potrafił sięgnąć do akt Stasi, nie znajdzie mnie na liście członków Klubu Podróżników ani Narodowego Klubu Liberalów. Mój ostatni znany adres w Zjednoczonym Królestwie to dwupokojowe mieszkanie w Acton, w którym byłem zameldowany pod nazwiskiem Peterson. Wyprowadzając się, nie zostawiłem gospodarzowi nowego adresu. Gdzie więc teraz, po Bretanii, może mnie szukać surowy, nachalny, nieuprzejmy kryminalista Christoph, syn Aleca wielki jak bokser? Czy istnieje takie miejsce, jedyne miejsce, w którym przy sporej dozie szczęścia może mnie znaleźć, wywęszyć, dopaść?

Odpowiedź na to pytanie – a raczej jedyna odpowiedź, która miała dla mnie jakikolwiek sens – brzmiała: w naszej Łubiance nad Tamizą. Nie w trudnym do znalezienia starym Cyrku jego ojca, tylko w złowieszczym następcy – w bastionie, który ja dopiero teraz zaczynałem poznawać i rozpoznawać.

\*

Most Vauxhall jest pełny śpieszących na przedmieścia ludzi. Pod spodem rzeka płynie szybko, a i na niej panuje spory ruch. Teraz nie jestem uczestnikiem wycieczki do Bułgarii, tylko turystą z antypodów zwiedzającym Londyn: kowbojski kapelusz, zgniłozielona kamizelka z licznymi kieszeniami... Na pierwsze przejście nakładam czapkę z daszkiem i szalik w szkocką kratę, na drugie włóczkowy beret z pomponem w barwach Arsenalu. Całe przebranie kosztowało mnie czternaście funtów na pchlim targu pod stacją Waterloo. W Sarratt nazywało się to „zmienianiem sylwetki”.

Każdy obserwator musi wystrzegać się pewnych rzeczy, które rozpraszają jego uwagę – tak zawsze uczyłem swoich kursantów. Tego, co wciąż uparcie przykuwa wzrok: ładna dziewczyna opalająca się na balkonie, uliczny kaznodzieja przebrany za Jezusa Chrystusa... Tego wieczoru tym czymś jest maleńki prostokącik soczyście zielonego trawnika otoczony niskim parkanem o szpiczastych zwieńczeniach. Co to ma być? Zewnętrzna cela, do której pakuja ludzi z Cyrku, którzy coś przeszkrobali? Tajny ogródek dla uprzywilejowanych? Tylko jak oni tam wchodzą? I co gorsza, jak wychodzą?

Na mikroskopijnej zwirowej plaży u stóp zewnętrznych umocnień bastionu piknikuje wśród kanadyjskich gęsi rodzina Azjatów w kolorowych jedwabkach. Do pobliskiego

pomostu podpływa żółta amfibia. Zatrzymuje się. Nikt nie wysiada. Zbliża się siedemnasta trzydzieści. Przypominam sobie godziny pracy Cyrku: od dziesiątej do nie wiadomo kiedy dla wierchuszki, od dziewiątej trzydzieści do siedemnastej trzydzieści dla pospólstwa. Gdy do bastionu wprowadzali się pierwsi lokatorzy, opowiadano niestworzone historie o tajnych tunelach ciągnących się aż do Whitehall. A zresztą Cyrk ma na swoim koncie niejeden tunel. Co prawda głównie pod obcym terytorium. W sumie niewykluczone, że kopano też pod własnym.

Gdy pierwszy raz stawałem przed obliczem Bunny'ego, wchodziłem przez małe drzwiczki, które wydawały mi się jeszcze mniejsze przy sąsiadującej z nimi stalowej bramie ozdobionej w stylu art déco. Domyślałem się jednak, że te drzwiczki są tylko dla odwiedzających. Udało mi się odkryć jeszcze trzy inne wejścia. Kierując się li tylko intuicją, wybrałem teraz lakierowane na szaro podwójne drzwi z paroma schodkami od strony wody, pozwalające dołączyć do sznura pieszych na nadrzecznej alejce. Gdy skręciłem za róg, szare drzwi właśnie się otworzyły i wyszło z nich kilka osób, kobiet i mężczyzn w wieku – średnio – między dwadzieścia pięć a trzydzieści lat. Wszyscy mieli na twarzach ten sam wyraz wymuszonej anonimowości. Drzwi zamknęły się – jak się domyślam – elektronicznie. Znowu się otwarły. Po schodkach zeszła kolejna grupka.

Jestem teraz jednocześnie zwierzyną ściganą przez Christoph'a i jego prześladowcą. Zakładam, że robi to, co przez ostatnie pół godziny robię ja: zaznajamia się z całym budynkiem z zewnątrz, wybiera najbardziej prawdopodobne wyjścia i czeka na stosowną chwilę. Bo nawet jeżeli – jak powiedziała mu Catherine – pojechałem do Londynu na pogrzeb, to pewnie i tak wstąpiłem na chwilę do dawnego pracodawcy, żeby pogadać o tej głupiej zadawnionej sprawie, o którą teraz całej Firmie i kilku jej wymienionym z nazwiska pracownikom – wśród nich jest i moje – wytoczył proces Christoph wraz ze swą nową przyjaciółką Karen Gold.

Na schodkach znowu pojawia się kilka osób. Gdy dochodzą do nabrzeżnej alejki, idę tuż za nimi. Siwa kobieta posyła mi uprzejmy uśmiech. Pewnie jej się wydaje, że powinna mnie znać. Mieszymy się z tłumem innych pieszych. Widzę drogowskaz do parku Battersea. Dochodzimy do przejścia pod mostem. Rzucam okiem w górę i widzę postać dużego mężczyzny w kapeluszu i płaszczu trzy czwarte. Stoi na moście i obserwuje idących poniżej pieszych. Wybrane przez niego – przypadkowo, a może celowo – miejsce daje mu świetny widok na trzy wyjścia z bastionu. Sam to przed chwilą zrobiłem, więc mogę potwierdzić, że to świetny wybór z taktycznego punktu widzenia. Ponieważ twarz ma zwróconą w dół, przez co cień szerokiego runda miękkiego niskiego kapelusza pada mu na twarz, nie rozpoznaję jego rysów. Ale bokerska figura nie pozostawia najmniejszych wątpliwości. Jest duży, silnie zbudowany, o kilkanaście centymetrów wyższy, niżbym się spodziewał po synu Aleca. Ale przecież nie znałem jego matki.

Przeszedłem już pod mostem. Ciemny płaszcz i czarny kapelusz zszedł z góry i dołączył do pochodu. Jak na swoje gabaryty porusza się całkiem szybko. Tak samo jak Alec. Idzie dwadzieścia kroków za mną. Czarny kapelusz przechyla się to na jedną, to na drugą stronę. Usiłuje nie stracić z oczu czegoś lub kogoś. Jestem skłonny uznać, że tym kimś jestem ja. Czy on chce, żebym go zobaczył? A może po prostu to ja jestem przesadnie ostrożny? Jeszcze jeden grzech, za który wszystkich kiedyś łajałem.

Wyprzedzają mnie biegacze, rowerzyści, łódki. Po lewej piętrzą się apartamentowce. Na ich parterach mieszczą się hipsterskie restauracje z ogródkami, kawiarnie, obok stoiska z fast foodami. Korzystam z odbicia w szybach. Spowalniam go. Przypominam sobie własne kazania na użytek nowych rekrutów: to wy nadajecie tempo, nie ten, co was śledzi. Nie spieszcie się. Bądźcie niezdecydowani. Nie biegnijcie, jeśli można iść spacerkiem. Na rzece mkną statki wycieczkowe, promy, łodzie wiosłarskie, barki. Na brzegu stoją zamarli w jednej pozie ulicznicy artyści, dzieci uganiają się za wielkimi bańkami mydlanymi, puszczają małe drony. Jak ty nie jesteś Christoph, to musisz być z Cyrku. Ale nawet w najgorszych czasach obserwatorzy z Cyrku nie byli tak beznadziejni.

Przy przystanku na St. George's Wharf odbijam w prawo i udaję, że czytam rozkład jazdy autobusów. Ogon identyfikuje się zwykle, dając mu różne rzeczy do wyboru. Czy wskoczy za tobą do autobusu, czy też powie, że ma gdzieś autobus, i pójdzie dalej? Jeżeli pójdzie, to pewnie przekazuje cię komu innemu. Tylko że czarny kapelusz i ciemny płaszcz nikomu mnie nie przekazuje. On chce mnie dla siebie. Tkwi przy stoisku z kielbaskami i zerka na mnie w dziwnym lustrze za plastikowymi butelkami z musztardą i keczupem.

Przy automacie biletowym dla promów w kierunku wschodnim tworzy się kolejka. Staję w niej, czekam, kupuję sobie bilet do Tower Bridge. Mój prześladowca rezygnuje z kielbaski. Przypląwa prom, przystań się kołysze, czekamy najpierw, aż wysiądą ci, co przypląnęli. Mój prześladowca przebył już alejkę i pochyła się nad automatem. Gestykułuje z irytacją. Niech mi ktoś pomoże! Lituje się nad nim jakiś rastafarianin w olbrzymim berecie, pokazuje, jak to się robi. Płaci gotówką, nie kartą – a twarz cały czas w cieniu kapelusza. Wsiadamy. Górny pokład już jest zatłoczony. A tłok to sojusznik. Trzeba go wykorzystać. Wykorzystuję więc tłok na górnym pokładzie, znajduję wolne miejsce przy burcie i czekam, by mój prześladowca zrobił to samo. Czy zdaje sobie sprawę, że o nim wiem? Czy obaj wiemy o sobie? Czy – jak powiedzieliby moi uczniowie w Sarratt – on wie, że ja wiem, że on wie, że ja wiem? Bo jeśli tak, to koniec operacji.

Tylko że ja nie kończę. Prom skręca. Promień słońca pada na tamtego, ale twarz wciąż jest w cieniu, nawet kiedy raz po raz rzuca na mnie ukradkowe spojrzenie, jakby się obawiał, że mu ucieknę albo że się rzucę za burtę.

Czy ty naprawdę możesz być Christoph, syn Aleca? A może jesteś tylko gońcem, który chce mi wcisnąć pozew? Ale jeżeli jesteś tym, kim jesteś, to czemu mnie śledzisz? Dlaczego nie podejdziesz, nie staniesz przede mną, nie spojrzysz mi prosto w twarz? Prom znów się obraca, słońce znów tamtego odnajduje. A on unosi głowę. Po raz pierwszy widzę jego twarz z profilu. Mam wrażenie, że powinienem być zdumiony i zachwycony, ale nie czuję ani jednego, ani drugiego. Nie ogarnia mnie nagłe wrażenie, że go znam. Wiem tylko, że zbliża się dzień zapłaty: bo to jest Christoph, syna Aleca, i ma to samo nieruchome spojrzenie, które zapamiętałem z meczu w Düsseldorfie, i tę samą wysuniętą w przód szczękę.

\*

Jeżeli Christoph odgadywał moje intencje, ja także odgadywałem jego. Nie przedstawił mi się, bo chciał mnie „umiejscowić”, jak mawiają obserwatorzy – czyli dowiedzieć się, gdzie



mieszkam, i dopiero wtedy samemu wybrać czas i miejsce. Muszę w odpowiedzi pozbawić go tej wiedzy operacyjnej i dyktować warunki – czyli miejsce, gdzie będzie tłok i mnóstwo niewinnych ludzi. Ale ostrzeżenie otrzymane od Catherine połączone z własnymi obawami kazały mi wziąć pod uwagę, że mam do czynienia z człowiekiem gwałtownym, pragnącym się na mnie mścić za winy, które jego zdaniem popełniłem względem jego ojca.

I właśnie z tą myślą przypominałem sobie, jak moja francuska matka zaprowadziła mnie kiedyś do londyńskiej Tower i jak na wszystko, co oglądaliśmy, reagowała zawstydzającymi mnie głośnymi okrzykami przerażenia. A szczególnie przypominałem sobie wielkie schody na Tower Bridge. Właśnie te schody mi się przypomniały – nie dlatego, że są takie sławne, ale dlatego, że mogły zagwarantować mi bezpieczeństwo. Na kursach w Sarratt nie uczono samoobrony. Uczono zabijać, czasem cicho, czasem nie tak cicho, ale samoobrony raczej nie było w karcie. Na pewno wiedziałem jedno: gdyby miało dojść do walki, muszę mieć przeciwnika nad sobą i mieć nadzieję, że wspomże mnie grawitacja. Miałem do czynienia z kimś, kto bić uczył się w więzieniu i był ode mnie cięższy o całe dwadzieścia kilo mięśni i kości. Musiałem wykorzystać jego ciężar przeciwko niemu – a trudno o lepsze miejsce niż strome schody, na których moje stare ciało znajdowałoby się o parę stopni niżej, by móc pchnąć go dalej w dół. Już teraz przedsięwziąłem parę bezsensownych środków ostrożności: przełożyłem cały bilon do prawej kieszeni marynarki, żeby móc wykorzystać go do rażenia z bliska, i przełożyłem środkowy palec przez kółko z kluczami, by zrobić z niego zaimprovizowany kastet. Nikt jeszcze nie przegrał walki tylko dlatego, że się do niej przygotował, prawda? Prawda. Prawda.

Ustawialiśmy się już w kolejce do wysiadania. Christoph był jakieś cztery metry za mną. Jego twarz, odbita w szklanych drzwiach, nie miała żadnego wyrazu. Catherine mówiła coś o siwych włosach. Teraz przekonałem się, że to prawda, bo cała ich masa wydobywała się na wszystkie strony spod kapelusza – były siwe, kręcone i nieokiełznane jak u Aleca. Z tyłu zebrane w kucyk zwieszający się na czarny płaszcz. Dlaczego Catherine nie wspomniała o kucyku? Może wtedy wsunął go pod płaszcz? A może po prostu nie miała czasu myśleć o fryzurze intruza? Na podeście przed Tower Bridge znów ustawiliśmy się w wijący się wąż. Most był spuszczone. Zielone światło zachęcało pieszych do przejścia. Dotarłszy do wejścia na wielkie schody, odwróciłem się i spojrzałem wprost w niego. Mówiłem mu w ten sposób: chcesz rozmawiać, to rozmawiajmy tu, wśród mijających nas ludzi. On też się zatrzymał, ale w jego oczach i twarzy znów była tylko beznamiętność kibica na tamtym meczu. Szybko zbiegłem kilkanaście stopni niżej, gdzie nie było nikogo poza paroma bezdomnymi. Musiałem znaleźć punkt oparcia. Musiałem sprawić, by spadał z wysoka, gdy znajdzie się poniżej mnie, bo nie mogłem pozwolić mu na to, by się podniósł.

Schody się zapełniły. Minęły mnie dwie rozchichotane dziewczyny trzymające się za ręce. Dwóch mnichów w szafranowożółtych habitach ucinało sobie filozoficzną dyskusję z jednym z żebraków. Christoph – nienawistna sylwetka w płaszczu – stał u szczytu schodów. Ruszył w dół krok po kroku z wystudiowaną ostrożnością, nieco odchylając ręce na boki, szeroko stawiając stopy. Tak chodzą zapaśnicy. Za wolno, popędzałem go w myśli, no już, rzuć się na mnie, nabierz więcej siły bezwładu. Ale on zatrzymał się parę stopni nade mną i po raz pierwszy w życiu usłyszałem jego dorosły głos mówiący z niemiecko-amerykańskim akcentem, dość wysoki, co z jakiegoś powodu mocno mną wstrząsnęło.

– Cześć, Peter. Cześć, Pierre. To ja. Christoph. Synek Aleca, pamiętasz? Nie cieszysz się, że mnie widzisz? Nie chcesz się przywitać?

Zostawiwszy bilon w kieszeni, wyciągnąłem do niego prawą dłoń. Chwycił ją i trzymał na tyle długo, bym mimo wilgotnej skóry poczuł jego siłę.

– Co mogę dla ciebie zrobić, Christoph? – zapytałem i otrzymałem w odpowiedzi kostyczny śmiech Aleca. I jeszcze lekki pogłos irlandzkiego akcentu, który pobrzmiwał mu w głosie, gdy się zgrywał.

– No stary, kurwa, na początek stawiasz mi drinka!

\*

Restauracja znajdowała się na piętrze budynku, który sztucznymi śladami po kornikach w belkach stropu udawał średniowieczną kamieniczkę. Okienka z ukośnym widokiem na Tower miały małe szybki z grubego szkła. Kelnerki nosiły czepki i fartuszki i zgodziły się dać nam stolik, jeżeli zjemy pełny posiłek. Christoph siedział tak, że jego cielsko pólleżało na krześle, z kapeluszem spuszczone na oczy. Kelnerka przyniosła piwo, bo chciał piwa. Upił łyk, skrzywił się, odstawił szklanekę. Paznokcie miał czarne, połamane. Pierścień na każdym palcu lewej ręki. Na prawej tylko na dwóch środkowych. Twarz Aleca, lecz obwisła z niezadowolenia tam, gdzie u ojca naznaczyło ją cierpienie. Taką samą agresywną szczękę. W brązowych oczach – kiedy zechciały na mnie spojrzeć – takie same błyski łobuzerskiego wdzięku.

– To co teraz porabiasz, Christoph? – zapytałem.

Przez chwilę się zastanawiał.

– Teraz?

– Tak.

– No więc krótko mówiąc, pewnie właśnie to – odpowiedział, obdarzając mnie szerokim uśmiechem.

– „To”, czyli co? Jestem chyba mało zorientowany.

Pokręcił głową, jakby chciał powiedzieć, że to bez znaczenia, a wyprostował się tylko na chwilę, gdy kelnerka przyniosła nam steki z frytkami.

– Ładny kawałek ziemi masz w tej Bretanii – zauważył, już jedząc. – Ile hektarów?

– Pięćdziesiąt kilka. A co?

– Twoje?

– O czym mamy gadać, Christoph? Dlaczego mnie szukałeś?

Znów upił łyk, przechylił głowę i uśmiechnął się, jakby przyznawał mi rację.

– Dlaczego cię szukałem? Od trzydziestu lat szukam skarbów. Po całym świecie. Robiłem w diamentach. W złocie. W prochach. Trochę w broni. No i siedziałem. Znudziło mi się! Znalazłem jakiś skarb? A gówno! To wreszcie wróciłem do naszej Europki, no i znalazłem ciebie. Moją żyłę złota. Najlepszego kumpla taty. Najlepszego towarzysza. I co zrobiłeś swojemu najlepszemu towarzyszowi? Posłałeś go na śmierć. W tym jest kasa, stary. Kupa kasy.

– Wcale go nie posłałem, żeby go zabili.

– Przeczytaj sobie akta, stary. Akta Stasi. Rewelacja. Razem z George’em Smileyem

zabiliście mi ojca. Smiley był szefem, ty jego głównym pomagierem. Wkopaliście ojca i zabiliście go. Wszystko jedno, czy naumyślnie czy nie. I jeszcze wciągnęliście w swoje gierki panią Elizabeth Gold. Stary, to wszystko tam jest, w tych papierach! Cały ten wasz genialny plan, który wam nie wyszedł i przez który wszyscy zginęli. Okłamałeś ojca! I ty, i ten twój wielki George! Okłamałiście go, posłaliście na śmierć. Z pełną świadomością. Zapytaj prawników. A wiesz co? Patriotyzm się przeżył. Teraz patriotyzm jest dla dzieci. Bo jak się dowie cały świat, to już się waszego skurwysyństwa nie da wytłumaczyć patriotyzmem. Patriotyzm, kurwa, już nie jest okolicznością łagodzącą. Ani to, że się należy do jakiejś zasranej elity. Tak jak wy – dodał i znów chciał odświeżyć się piwem, lecz zmienił zamiar i zaczął grzebać w kieszeni czarnego płaszcza, który wciąż miał na sobie mimo panującego wewnątrz zaduchu. Ze sfatygowanego blaszanego pudełka wysypał na przegub trochę białego proszku i wciągnął go w jedno nozdrze, zatkawszy drugie wolną dłonią, nie przejmując się, że ktoś zobaczy. Parę osób zobaczyło.

– To co tu robisz? – zapytałem.

– Kurwa, chcę ci uratować życie, stary – odpowiedział i oburącz chwycił mnie za nadgarstek gestem prawdziwej lojalności. – Mam dla ciebie układ. Rozumiesz? Fantastyczną ofertę. Tylko dla ciebie. Jedyna taka okazja, stary. Bo jesteśmy kumple, tak?

– Jak tak, to tak.

Wyrwałem rękę, ale wciąż patrzył na mnie z czułością.

– Ty nie masz już innych kumpli. Lepszej oferty nie ma. Drugiej takiej okazji nie będzie. Bez gadania. Bez negocjacji. – Chwycił kufel, wypił do dna, pokazał kelnerce, że chce drugi. – Milion euro. Z rączki do rączki. Bez osób trzecich. Milion euro w dniu, kiedy prawnicy cofną pozew, i już nigdy o mnie nie usłyszysz. Nie będzie gadania o sądach, o prawach człowieka, całego tego gówna. Będziemy kwita. Co się tak gapisz? Nie podoba ci się?

– Podoba. Tylko że mało chcesz. Z tego co wiem, twój adwokat już wcześniej odrzucił taką, a nawet lepszą propozycję.

– Nie rozumiemy się. To jest, kurwa, promocja. Dotarło? To jest cena promocyjna, tylko dla ciebie, stary. Jedna, jedyna wypłata. Od ciebie dla mnie. Milion euro.

– A Karen? Ta córka Liz Gold? Ona też na to pójdzie?

– Karen? Stary, ja ją znam. Wystarczy, że jej zaserwuję swoją śpiewkę, dobrze mi to idzie. Pogadam jej o duszy, może trochę popłaczę, powiem, że jednak nie mogę, że to zbyt dla mnie bolesne, że pamięć ojca, że niech mu ziemia lekką będzie... Już ja wiem, co jej powiedzieć. Karen to czuła dziewczyna. Możesz mi wierzyć.

A kiedy jakoś nie widać po mnie tej wiary, dodaje:

– Słuchaj, kurwa, ja ją stworzyłem. Wszystko mi zawdzięcza. Ja się nabiegałem, dawałem w łapę gdzie trzeba, ściągnąłem te akta. Pojechałem do niej, wszystko jej opowiedziałem, pokazałem, gdzie znajdzie grób mamusi. I poszliśmy razem do adwokatów. Sama sobie ich wybrała. Takich od dobroczynności. Najgorszą bandę. Skąd ona ich wzięła? Zupełnie jak Amnesty. Zastrani obrońcy praw człowieka. No i ci dobroczyńcy poszli do ministerstwa i palnęli kazanie. A ministerstwo wszystkiego się wyparło i równocześnie złożyło im ofertę. Po cichutku. Że niby nic nie było, że niczego nie potwierdzą i że dają milion. Funtów, kurwa, szterlingów. Milion! I że to ich ostatnie słowo, cena nie jest do negocjacji. Osobiście zresztą nie brałbym funtów, ale to inna sprawa. A co na to adwokaci Karen? Palnęli drugie

kazanie, że milion mają gdzieś, że mają swoje zasady, że ministerstwo ma się wypowiadać. A jak nie, to sprawa trafi do sądu. A jak trzeba, to do Strasburga, do zasranego Europejskiego Trybunału Praw Człowieka. Ministerstwo na to: no dobra, niech będą dwa miliony. A te jej gnojki dalej, że nie. Są tacy jak Karen. Świętoszki, kurwa. Idealiści.

Trzask metalu sprawia, że wszystkie głowy w restauracji zwracają się ku nam – to dlatego, że brudna upierścieniona lewa dłoń Christoph'a wylądowała zamasyście na stole tuż przede mną. Christoph pochyla się do przodu, pot skapuje mu z twarzy. Drzwi z napisem „Tylko dla personelu” otworzyły się, pojawiła się w nich zdumiona twarz, ale szybko zniknęła na widok Christoph'a.

– Tu masz mój numer konta, stary. Proszę bardzo. Powiedz swojemu ministrowi, stary: milion euro w dniu, kiedy cofniemy pozew. Bo jak nie, to zrobimy wam koło pióra.

Unosi dłoń. Na stole zostaje kartka w linie. Przygląda się, jak wsuwam ją do portfela.

– A kto to jest „Tulipan”? – pyta tym samym groźnym tonem.

– Słucham?

– Pseudonim Dory Gamp. Jakiejś baby ze Stasi. Miała dziecko.

Odszedł bez uprzedzenia, kiedy ja jeszcze przekonywałem go, że w życiu nie słyszałem ani o Gamp, ani o jakimś „Tulipanie”. Odważna kelnerka biegła z rachunkiem, ale już był w połowie schodów. Kiedy wyszedłem na ulicę, zobaczyłem tylko jego wielki cień w odjeżdżającej taksówce i białą dłoń za oknem niedbale machającą mi na pożegnanie.

Wiem, że na Dolphin Square wróciłem piechotą. Gdzieś po drodze musiałem chyba przypomnieć sobie o liniowanej kartce z numerem konta, bo wyrzuciłem ją do kosza, lecz nie mam pojęcia, gdzie to było.

## 8

Wczorajszą ładną pogodę przepędził padający prawie poziomo deszcz, smagający ulice Pimlico jak ogień karabinowy. Gdy na umówione spotkanie w „Stajni” przyszedłem spóźniony, zastałem na progu tylko Bunny’ego pod parasolem.

– Już myśleliśmy, że dałeś nogę – powiedział z tym swoim nieśmiałym chłopięcym uśmiechem.

– A gdybym dał, to co?

– Powiedzmy, że daleko byś nie uciekł. – Wciąż się uśmiechając, wręczył mi brązową kopertę z czerwonym nadrukiem „W służbie Jej Królewskiej Mości”. – Gratulacje. Zostałeś uprzejmie poproszony o stawienie się przed naszymi władcami. Ponadpartyjna parlamentarna komisja śledcza chce zamienić z tobą parę słów. W później określonym terminie.

– Z wami pewnie też, prawda?

– Ale tylko tak na marginesie. W końcu to nie my będziemy gwiazdą tego show.

Podjechał czarny peugeot. Bunny wsiadł na tylne siedzenie. Peugeot odjechał.

– Gotowy do lektury, Pete? – spytała Pepsi. Zdążyła już usadowić się na swym tronie w bibliotece. – Chyba czeka cię dziś pracowity dzień.

Chodziło jej o gruby, oprawny w skórę tom, który czekał na mnie na rozkładanym stole. To moje niewydane arcydzieło – całe czterdzieści stron.

\*

– Najlepiej będzie, jeśli to ty napiszesz raport z tej całej sprawy – mówi mi Smiley.

Jest trzecia nad ranem. Siedzimy głowa w głowę w saloniku małego domu jednorodzinnego na osiedlu w New Forest.

– Jesteś do tego niemal stworzony – dodaje tym samym celowo bezosobowym tonem. – To ma być taki raport końcowy. Tylko jak cię proszę, niech będzie przydługi, pełny różnych niepotrzebnych szczegółów, a za to pomijający tę jedną informację, o której, jak Bóg da, na całym świecie wiedzieć będziemy tylko ty, ja i cztery inne osoby. Coś, co zaspokoi niezdrawą ciekawość Komitetu Sterującego i namąci trochę w głowie tym z ministerstwa, kiedy będą robili wiwisekcję sprawy. Oczywiście mówię w przenośni. Bo że ją będą robili, to pewne. Na razie piszesz dla mnie i tylko do mojej wiadomości. Zrobisz to? Potrafisz? Ilse ci pomoże oczywiście.

Ilse, czyli najlepsza lingwistka Operacji Tajnych: pilna, skrupulatna Ilse, mająca w doskonale wymanikiurowanym małym palcu niemiecki, czeski, serbsko-chorwacki i polski, panienka z dobrego domu wciąż mieszkająca z mamą w Hampstead i co sobotę oddająca się grze na flecie. Ilse będzie siedzieć u mego boku, poprawiać moje błędy w transkrypcji nagrań po niemiecku. Te drobne błędy będziemy oboje kwitowali uśmiechem, wspólnie zastanawiali się nad doborem słów i zwrotów, razem będziemy

zamawiali kanapki. Będziemy razem pochylali się nad magnetofonem, a kiedy czasem zdarzy nam się stuknąć czołami, równocześnie będziemy się przepraszać. I punktualnie o wpół do szóstej Ilse wróci do Hamstead, do mamy i do fletu.

\*

#### UCIECZKA I WYCOFANIE Z TERENU PODŹRÓDŁA „TULIPAN”.

Wstępny raport zredagowany przez P. Guillama dla dyr. Operacji Tajnych w Marylebone, Billa Haydona (dyr. Komitetu Sterującego) i Olivera Lacona (Min. Skarbu JKM). Do zatwierdzenia przez dyr. Operacji Tajnych.

Pierwsza przesłanka, że podźródło „Tulipan” może być zagrożone dekonspiracją, pojawiła się podczas rutynowego spotkania źródła „Głóg” i jego oficera prowadzącego Leamasa („Paul”) w lokalu konspiracyjnym K2 (Fasanenstrasse) w Berlinie Zachodnim dn. 16 I ok. godziny 7.30.

Wykorzystując przykrycie „Friedrich Leibach”, „Głóg” przejechał na rowerze przez granicę sektora w tłumie wschodniobrzezińskich robotników udających się do pracy w Berlinie Zachodnim<sup>1</sup>. Weszło w zwyczaj, że na te spotkania, odbywające się nieregularnie w zależności od potrzeb operacyjnych i zajęć „Głoga”, Leamas przygotowywał obfite „angielskie śniadanie” składające się z jajek sadzonych, bekonu i fasolki. Tym razem spotkanie rozpoczęło się od zwykłego raportu i przekazania różnych informacji o działalności siatki.

Podźródło „Narcyz” miał nawrót choroby, ale wciąż chce wypełniać swoje dotychczasowe obowiązki, do których należy przekazywanie i odbieranie „rzadkich książek, broszur i korespondencji osobistej”.

Materiał podźródła „Bez” na temat zgrupowania sił sowieckich na granicy z Czechosłowacją został pozytywnie oceniony przez klientów w Whitehall. „Bez” otrzyma premię, o którą się ubiegał.

Podźródło „Płatek” ma nowego chłopaka. Jest nim dwudziestodwuletni kapral Armii Czerwonej, szyfrant z Mińska, niedawno przydzielony do jednostki. Kapral jest zapalonym filatelistą. „Płatek” poinformowała go, że jej stara (fikcyjna) ciotka chętnie pozbędzie się zbioru rosyjskich znaczków pocztowych sprzed rewolucji, o ile uda się wynegocjować odpowiednią cenę. Negocjacje odbywają się w łóżku; ceną „Płatka” będzie książka szyfrów. Za radą Leamasa „Głóg” zapewnił agentkę, że Londyn dostarczy odpowiedni zbiór znaczków.

Dopiero potem zaczyna się rozmowa o „Tulipan”. Oto dosłowny zapis:

Leamas: A co u Doris? Lepiej czy gorzej?

„Głóg”: Paul, przyjacielu, sam nie wiem. Nie umiem się wyznać. Z Doris codziennie jest coś nowego.

Leamas: Karl, przecież ona jest całkowicie od ciebie zależna.

„Głóg”: Ostatnio twierdzi, że jej mąż, ten Quinz, coś za bardzo się nią interesuje.

Leamas: Najwyższy czas. A konkretnie?

„Głóg”: Podejrzewa ją, tylko nie wiadomo o co. Ciągle ją pyta, dokąd chodzi, z kim się spotyka. Gdzie była. Patrzy na nią, jak gotuje, jak się ubiera, jak zajmuje się swoimi sprawami.

Leamas: Może wreszcie zaczął być o nią zazdrosny.

„Głóg”: Ona twierdzi, że nie. Mówi, że Quinz jest zazdrosny wyłącznie o siebie, swoją błyskotliwą karierę i własne ego. Tylko że z Doris nigdy nic nie wiadomo...

Leamas: A w pracy?

„Głóg”: Twierdzi, że Rapp nie śmie jej o nic podejrzewać, bo sam ma na sumieniu ciągle wykroczenia. Mówi, że gdyby WW ją podejrzewał, już dawno siedziałaby w klatce w areszcie po drugiej stronie ulicy.

Leamas: Co to jest WW?

„Głóg”: Wydział Wewnętrzny. Wewnętrzne zabezpieczenie działalności Stasi. Doris codziennie mija ich drzwi, jak idzie do Rappa.

Tego samego dnia w południe Leamas nakazał de Jongowi rutynowe przygotowanie planu na wypadek konieczności wycofania z terenu podźródła „Tulipan”. De Jong sprawdził ważność dokumentów i dostępność środków do wycofania przez Pragę. „Głóg” poczekał na powrót dziennej zmiany robotników i wrócił na rowerze do Berlina Wschodniego.

Pepsi nie może usiedzieć na miejscu. Co chwila zstępuje z tronu i bez powodu snuje się po pokoju albo staje za mną i zagląda mi przez ramię. Wyobrażam sobie, że podobnie musiała zachowywać się „Tulipan”, czy to u siebie w domu w Hohenschönhausen, czy w swym gabinecie sąsiadującym z biurem Emmanuela Rappa w budynku nr 3 siedziby Stasi na Magdalenenstrasse.

Druga przesłanka została uzyskana pod pretekstem telefonicznej konsultacji medycznej. Korzystając z pomocy policji zachodniobерlińskiej, ustanowiono system informacji kryzysowej. Jeżeli „Głóg” telefonował ze szpitala Charité w Berlinie Wschodnim do Klinikum w Berlinie Zachodnim i prosił o połączenie ze swym rzekomym kolegą doktorem Fleischmannem, rozmowa była natychmiast przekierowywana do naszej rezydentury. Dn. 21 I o godzinie 9.20 miała miejsce następująca rozmowa między „Głogiem” a Leamasem.

Dokładny zapis:

„Głóg” (telefonuje z Charité): Z doktorem Fleischmannem proszę.

Leamas: Przy telefonie.

„Głóg”: Tu Riemeck. Panie doktorze, chodzi o pana pacjentkę. Nazywa się Lisa Sommer<sup>2</sup>.

Leamas: Słucham.

„Głóg”: Wczoraj wieczorem Lisa Sommer zgłosiła się do mojego szpitala, skarżąc się na omamy. Podaliśmy środki uspokajające, ale potem zwolniła się do domu na własne życzenie.

Leamas: Na czym polegały jej omamy?

„Głóg”: Wydawało się jej, że mąż podejrzewa ją o przekazywanie tajemnic państwowych faszystowskiemu elementowi antypartyjnemu.

Leamas: Bardzo dziękuję, zapisałem. Niestety zaraz muszę być w teatrze...

„Głóg”: Rozumiem.

Minęły dwie godziny, podczas których „Głóg” wydobył z ukrycia swój sprzęt pod kryptonimem „Teatr”<sup>3</sup>, nastawił go według zadanych parametrów i w końcu udało mu się uzyskać słaby sygnał. Jakość dźwięku przez cały czas trwania rozmowy pozostawiała wiele do życzenia. Oto zasadnicza treść:

Wcześniej rano tego samego dnia „Tulipan” przesłała – po raz pierwszy od początku działalności – zaszyfrowaną wiadomość alarmową w formie wcześniej uzgodnionej sekwencji stuknięć w mikrofon telefonu (w tym przypadku z budki telefonicznej).

W odpowiedzi „Głóg” wyraził zgodę na spotkanie: dwa stuknięcia, pauza, trzy stuknięcia.

Miejszem spotkania alarmowego był zagajnik pod Köpenick – przypadkowo ten sam, w którym „Głóg” ukrywał radiostację. Obie strony pojawiły się tam na rowerach w odstępie kilku minut. Jak donosi „Głóg”, z początku nastrój „Tulipan” był wręcz „triumfalistyczny”. Quinz miał być „unieszkodliwiony” i „już nie żyć”. Miał to być powód do radości i dla „Tulipan”, i dla „Głoga”. Nareszcie Bóg ją wysłuchał. Potem opowiedziała, co się wydarzyło:

Późnym wieczorem poprzedniego dnia Quinz wrócił do domu i natychmiast skierował się do wieszaka przy drzwiach, na którym zawsze wisi na pasku ich aparat fotograficzny marki Zenit. Otworzył aparat, zaglądnął do środka, coś mruknął, zamknął tylną pokrywę i powiesił go z powrotem. Potem zażądał torebki „Tulipan”. Gdy odmówiła, pchnął ją przez cały pokój i sam przeszukał torebkę. Gdy Gustav rzucił się na pomoc matce, Quinz uderzył go w twarz, powodując krwawienie z nosa i ust. Nie znalazłszy tego, czego szukał, Quinz przewrócił do góry nogami wszystkie szafki w kuchni, w panice obmacywał tapicerkę mebli, przeszukał odzież „Tulipan” i wreszcie zabawki Gustava, ale bez rezultatu. Nie bacząc na obecność dziecka, głośno domagał się od „Tulipan” odpowiedzi na pytania, które wyliczał jej na palcach. Po pierwsze: dlaczego w zenicie nie ma filmu? Po drugie: dlaczego w etui aparatu jest tylko jedna rolka filmu, skoro dwa tygodnie temu były jeszcze dwie? I po trzecie: dlaczego w zenicie nie ma filmu, który był tam jeszcze zeszłej niedzieli i na którym zrobiono dotąd tylko dwa zdjęcia?

Potem padły dodatkowe pytania. Co takiego sfotografowała, używając pozostałych ośmiu klatek? Dokąd zabrała film do wywołania? Gdzie odbitki? I co się stało z resztą niez użytogo filmu? A może – jak podejrzewał Quinz – robiła zdjęcia tajnych dokumentów, które on przynosi do domu, i sprzedawała je zachodnim szpiegom?

Znana „Tulipan” prawda była następująca: od kiedy udało się jej ukryć minox pod brodzikiem natrysku w damskiej toalecie budynku nr 3, zwykle nie trzymała aparatu ani w zapięciu paska torebki, ani w domu. Jeżeli Quinz przynosił interesujące ją dokumenty z Ministerstwa Spraw Zagranicznych, czekała, aż zaśnie albo będzie się bawił z przyjaciółmi, i wtedy fotografowała je rodzinnym zenitem. Poprzedniej niedzieli zrobiła Gustawowi dwa zdjęcia na huśtawce na placu zabaw, po czym tego samego wieczoru, gdy Quinz poszedł pić ze znajomymi, zużyła resztę klatek na zdjęcia dokumentów z mężowskiej teczki. Później wyjęła film z zenita, ukryła rolkę w doniczce do następnego spotkania z „Głogiem”, ale zapomniała założyć nowy film – nie mówiąc już o tym, że powinna była zasłonić palcem obiektyw i naświetlić dwie klatki, by móc potem tłumaczyć się, że to nieudane zdjęcia Gustava z placu zabaw. Mimo to „Tulipan” przeszła do udanego – w jej mniemaniu – kontraktaku. Poinformowała Quinza, że – o ile jeszcze tego nie wie – stał się dla wielu osób w Stasi osobą wysoce podejrzaną ze względu na swego odrażającego ojca i swe homoseksualne praktyki. Że nikt w Stasi nie wierzy w jego przesadne, nieszczerze wyrazy wierności względem partii. Że – owszem – fotografowała wszystko, co przynosił w teczce do domu, ale nie na sprzedaż na Zachód czy gdziekolwiek indziej, tylko by mieć na niego haki podczas sprawy rozwodowej i procesu o opiekę nad Gustavem, do czego musi prędzej czy później dojść. Bo – mówiła dalej – jedno jest pewne: jeśli kiedykolwiek wyjdzie na jaw, że Lothar Quinz przynosi do domu tajne dokumenty – w dodatku tylko po to, by się nad nimi ślinić po pracy – to będzie mógł się pożegnać z marzeniami o stanowisku ambasadora NRD.

Wracamy do nagrania.



Leamas: A jak teraz przedstawia się sytuacja?

„Głóg”: Jest przekonana, że mąż będzie milczał. Rano poszedł normalnie do pracy. Był spokojny, wręcz czuły.

Leamas: A gdzie ona jest?

„Głóg”: W domu. Czeką na Emmanuela Rappa. Punktualnie w południe przyjedzie po nią samochodem i pojedą do Drezna na plenarne posiedzenie Rady Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Obiecał jej, że tym razem będzie obecna na spotkaniu jako jego asystentka. To dla niej wielkie wyróżnienie.

[Piętnaście sekund przerwy].

Leamas: Dobra. Ma zrobić tak. Natychmiast dzwoni do Rappa. Całą noc rzygała, ma wysoką gorączkę i jest tak chora, że nigdzie nie pojedzie, choć jej się serce kraje. A potem znika. Zna procedurę, wie, jak się dostać na miejsce spotkania. Niech tam czeka.

Później Leamas wysłał do centrali urgensowy telegram, że nagłe wycofanie podźródła „Tulipan” przeszło właśnie z kodu pomarańczowego w kod czerwony, bo z powodu jej bezpośredniej znajomości źródła „Głóg” należy uznać całą siatkę za zagrożoną dekonspiracją. A ponieważ plan ucieczki wymaga współpracy z rezydenturami w Pradze i w Paryżu, istnieje konieczność skorzystania ze środków Komitetu Sterującego. Równocześnie poprosił o zgodę na swój osobisty udział w wycofaniu – z pełną świadomością, że według przepisów stosowanych w Cyrku pracownik posiadający dostęp do informacji wrażliwych, który zamierza udać się na teren zagrożony bez zabezpieczenia dyplomatycznego, musi otrzymać na to uprzednią zgodę centrali – w tym wypadku Komitetu Sterującego. Odpowiedź przyszła po dziesięciu minutach: „Nie wyrażam zgody. Potwierdzić odbiór. KS”. Innego podpisu nie było z powodu wprowadzonej przez szefa KS [Haydona] zasady kolektywnego podejmowania decyzji. Równocześnie sekcja nasłuchu zaczęła donosić o wzmożonej aktywności radiowej na wszystkich długościach fal stosowanych przez Stasi, a brytyjska misja wojskowa w Poczdamie o zaostrzeniu kontroli na wszystkich przejściach granicznych do Berlina Zachodniego i wzdłuż całej granicy między NRD i RFN. O godz. 15.05 czasu londyńskiego radio NRD obwieściło o poszukiwaniach w całym kraju niewymienionej z nazwiska „sługuski imperializmu faszystowskiego”. Rysopis poszukiwanej zgadzał się co do joty z wyglądem „Tulipan”.

Tymczasem Leamas zaczął działać na własną rękę i wbrew zaleceniom otrzymanym od Komitetu Sterującego. Nawet się z tego potem nie tłumaczył. Oświadczył, że nie zamierzał „siedzieć na dupie, kiedy «Tulipan» i cała siatka «Głoga» mogła mu pójść z dymem”. Kiedy Komitet zaczął się domagać, by przynajmniej wycofano również „Głoga”, Leamas odpowiedział równie bezkompromisowo: „Może wyjechać, kiedy chce, ale nie chce. Woli, żeby go sądzili jak jego ojca”. Mniej jednoznacznie brzmią relacje niedawno awansowanego pracownika rezydentury Stavrosa de Jonga oraz Bena Portera, jej strażnika i szofera.

Zeznania Bena Portera (ochrona rezydentury berlińskiej) złożone przed PG. Zanotowane słowo w słowo:

Alec siedzi za biurkiem i rozmawia przez bezpieczny telefon z Komitetem Sterującym. Odkłada słuchawkę, odwraca się do mnie. „Ben”, mówi, „jedziemy na akcję. Wyprowadź land rovera i powiedz Stasowi, że za pięć minut ma być w pełnym rynsztunku na podwórzu”. Tak powiedział. Pan Leamas na pewno nie powiedział mi: „Ben, muszę cię poinformować, że robimy to wbrew wyraźnemu zakazowi centrali”.

Zeznania Stavrosa de Jonga (pracownika sekcji Operacji Tajnych rezydentury berlińskiej) złożone przed PG. Zanotowane słowo w słowo:

Zapytałem szefa: „Alec, czy na pewno mamy na to pozwolenie z centrali?”. Odpowiedział mi: „Stas, możesz mi wierzyć”. Więc mu uwierzyłem.

Te zapewnienia o ich niewinności nie pochodziły od nich, tylko ode mnie. Ponieważ nie miałem krztyny wątpliwości, że to Smiley namówił Leamasa, by osobiście przeprowadzić wycofanie „Tulipan”, musiałem zabezpieczyć Portera i de Jonga, na wypadek gdyby musieli zeznawać przed Percym Alleline’em lub którymś z jego koleśków.

\*

Minęły trzy dni. Teraz opowiada już sam Alec. Jest dziesiąta wieczór. Opowiadanie odbywa się przy piłśniowym stole w pokoju rezydentury w brytyjskiej ambasadzie w Pradze, do której Alec trafił godzinę wcześniej. Mówi do magnetofonu, ale naprzeciw siedzi nasz praski rezydent, niejaki Jerry Ormond, mąż straszliwej Sally, która z kolei jest jego zastępcą w tym stuprocentowo cyrkowym małżeństwie. Na blacie stoi jeszcze – dopowiadam już z własnej, lecz dobrze zorientowanej wyobraźni – butelka szkockiej i jedna szklanka, Aleca, którą co jakiś czas napełnia Jerry. Z monotonnego głosu Aleca wnioskuję, że jest krańcowo wyczerpany. Z punktu widzenia Ormonda nie może być lepiej, bo jego zadaniem jest wydobyć z przesłuchiwanego całą historię, zanim Alec zdąży ją ocenzurować. I jeszcze wyobrażam sobie, że Alec jest nieogolony i ubrany w pożyczony szlafrok, nałożony po pośpiesznej kąpieli pod prysznicem, ponieważ tylko na to dano mu czas. Jego irlandzki akcent ujawnia się teraz nagle w nieregularnych odstępach.

A gdzie ja jestem? Ja, Peter Guillam? Nie jestem w Pradze z Alekiem, choć przecież mogłem być. Ja siedzę w pokoju na pięterku kwatery Operacji Tajnych w Marylebone i słucham taśmy, którą przywiózł do Londynu specjalny samolot RAF-u. I po głowie mi chodzi: „Ja będę następny”.

AL.: Przed Stadionem Olimpijskim, na schodach, jest minus osiem, wieje tak, że jaja urywa, zadymka, na drogach gołoledź. Myślę sobie, że pasuje nam taka parszywa pogoda. Lepiej wtedy uciekać. Land rover czeka, Ben jest za kierownicą. Po schodach schodzi Stas de Jong. Jest w pełnym rynsztunku. Wydaje się jeszcze większy niż zwykle. Wciska się w schowek pod podłogą auta i jakoś się nawet mieści – nawet te jego wielkie wojskowe buty. Razem z Benem zamykamy za nim klapę, ja siadam z przodu przy Benie. Mam na sobie oficerską czapkę i oficerski płaszcz, na naramiennikach trzy gwiazdki, pod spodem wschodnioniemiecki kombinezon roboczy. Pod fotelem trzymam sfatygowaną torbę z dokumentami. To taka moja zasada: trzymać papiery gdzie indziej. O dziewiątej dwadzieścia przed południem jedziemy przez oficjalne przejście graniczne dla personelu wojskowego na Friedrichstrasse i przepustki pokazujemy voposom przez zamkniętą szybę. Nie pozwalamy gnojkom nawet ich dotknąć, bo dyplomaci nam powiedzieli, że tak się teraz robi. Zaraz po przejechaniu granicy dostajemy zwykły ogon: dwóch voposów w Citroënie. Czyli dzień jak co dzień. Oni muszą się upewnić, że jesteśmy kolejnym brytyjskim pojazdem wojskowym, który korzysta z praw przysługujących mu na podstawie porozumienia

czterostronnego. My chcemy ich o tym jak najszybciej przekonać. Przejeżdżamy przez Friedrichshain i zaczynam się modlić, żeby „Tulipan” już była w drodze, bo jak nie, to albo nie żyje, albo jeszcze gorzej, i to samo spotkało całą siatkę. Jedziemy na północ w stronę Pankow, dojeżdżamy do sowieckich terenów wojskowych, wtedy skręcamy na wschód. Z tyłu wciąż ten sam citroën, i bardzo dobrze. Lepiej, że nie dostali zmiany, że nie patrzą na nas świeże oczy. Trochę kluczymy, bo tego się po nas spodziewają – to skręcamy gdzieś nagle, to zwalniamy, to znowu pełny gaz. Wreszcie w Marzahn kierujemy się na południe. Ciągłe jesteśmy w Berlinie, ale tu jest już las, płaskie drogi, sypie śnieg. Mijamy dawną hitlerowską radiostację, to nasz pierwszy punkt orientacyjny. Citroën jest sto metrów za nami, nie uśmiecha mu się taka jazda po lodzie. Zjeżdżamy w dół, nabieramy prędkości. Zaraz będzie ostry zakręt w lewo i biały komin fabryczny przy starym tartaku, nasz drugi punkt orientacyjny. W zakręt wchodzimy ostro, mieścimy się w nim, poślizgiem prawie hamujemy przy tartaku. Wyskakuję na zewnątrz z torbą, ale bez płaszcza, i na ten sygnał Stas wyłazi ze schowka, siada na moim miejscu i ma wyglądać jak ja. Leżę na płask na ziemi, cały jestem w śniegu, więc pewnie przetoczyłem się w nim o parę metrów. Patrzę do góry i widzę, że land rover wyjeżdża już z kotlinki, a citroën też jedzie za nim w górę. Usiłuje nie tracić dystansu.

[Przerwa, w trakcie której słychać lekki brzęk szkła i dźwięk nalewanego płynu].

AL. (cd.): Za tartakiem są nieużywany plac manewrowy dla ciężarówek i garażowy blaszak wypełniony trocinami. Pod trocinami czeka brązowo-niebieski trabant ze stalowymi rurami na bagażniku dachowym. Na liczniku ma dziewięćdziesiąt tysięcy kilometrów przebiegu i śmierdzi szczurzym łajnem, ale bak jest pełny, pod tylnym siedzeniem dodatkowe parę kanistrów i nawet opony mają jeszcze trochę bieżnika. Opiekował się nim jakiś zaufany pacjent „Głoga”. Nie znam nawet jego pseudonimu. Jest tylko jeden problem: trabanty nie lubią zimna. Godzinę trwało, nim zapaliłem. I przez cały czas myślałem: „Tulipan, czy oni już cię mają? Czy już śpiewasz? Bo jak już śpiewasz, to mamy przerąbane”.

JO. [Jerry Ormond]: Jakie masz papiery?

AL.: Jestem Günther Schmaus, spawacz z Saksonii. Dobrze mówię z saksońskim akcentem. Mama była z Chemnitz, tata z hrabstwa Cork.

JO.: A „Tulipan”? Jak się spotkacie, kim ona będzie?

AL.: To moja żoneczka Augustina.

JO.: A gdzie ona jest w tej chwili? Jeśli wszystko poszło dobrze?

AL.: Na miejscu spotkania. Na północ od Drezna. Mimo pogody miała spróbować pojechać na rowerze, jak daleko się da, potem ukryć rower, bo wiedzą, że jeździ na rowerze. A potem albo lokalną koleją, albo na piechotę, albo autostopem na miejsce spotkania. I ma tam czekać, jak długo będzie trzeba.

JO.: A wyjazd z Berlina Wschodniego do NRD? Czego się spodziewałeś?

AL.: Różnie mogło być. Nie ma posterunków, tylko lotne patrole. Albo się ma szczęście, albo nie.

JO.: A wy mieliście szczęście?

AL.: Nawet nie było tak źle. Dwa razy natknęliśmy się na radiowozy. Za każdym razem zajechali nam drogę, nastraszyli jak cholera, kazali wysiąść, ale zwykle jak papiery się zgadzają, to puszczają.

JO.: I co, zgadzały się?

AL.: No chyba bym tu, kurwa, nie był, jakby się nie zgadzały.

[Zmiana taśmy, brakuje czterdziestu pięciu sekund. Powraca głos. Leamas opisuje teraz jazdę z Berlina Wschodniego do Chociebuża].

AL.: Drogi w NRD są genialne pod jednym względem. W ogóle nie ma ruchu. Parę wozów konnych, motorowery, skutery, motocykle z przyczepką, czasem jakaś zdezelowana ciężarówka. Kawałek autostrady, potem wąskie drogi. Jadę na zmianę: jak na lokalnej drodze są zasy, wracam na autostradę. Pod żadnym pozorem nie wolno jechać przez Wünsdorf. Za Hitlera był tam po zbój kompleks wojskowy, który potem w całości przejęli Ruscy. Mają tam trzy dywizje pancerne, kupę rakiet i pełnowymiarową stację nasłuchową. Od miesiący usiłowaliśmy tam coś wyszpiegować. Na wszelki wypadek objeżdżam z daleka, nie autostradą, tylko zwykłą płaską wiejską drogą. Śnieg wali jak cholera, po obu stronach drogi równiutkie rzędy drzew, całe w jemiole. Myślę sobie, że kiedyś tu przyjadę, naścinam i będę sprzedawał na targu w Covent Garden. A potem nagle – myślałem, że mi się śniło – dookoła mnie zajebisty sowiecki konwój wojskowy, a ja jadę pod prąd. Ciężarówki, na nich kupa wojska, T-34 na naczepach, kilka dział. Ja lawiruję między nimi tym moim pstrokatym trabantem, żeby się z nikim nie zderzyć, oni mają mnie gdzieś, walą na wprost. Kurwa, nawet nie miałem kiedy spisać ich numerów!

[Śmiech. Obaj się śmieją. Chwila ciszy. Potem Alec zaczyna mówić trochę wolniej].

AL.: O czwartej po południu jestem pięć kilometrów na zachód od Chociebuża. Szukam opuszczonej fabryki karoserii. To nasze miejsce spotkania. Na ogrodzeniu miała być dziecięca rękawiczka wetknięta w siatkę. I była. Ta rękawiczka. Różowa. Sterczała jak jakaś zasrana flaga na tym pustkowiu. Przestraszyłem się, sam nie wiem dlaczego. Przestraszyłem się tej rękawiczki. Za bardzo rzucała się w oczy. I może w szopie wcale nie jest „Tulipan”, tylko Stasi. Albo „Tulipan” i Stasi. Podjeżdżam i chwilę się zastanawiam. I kiedy się tak zastanawiam, drzwi szopy się otwierają. To ona. Stoi w drzwiach i trzyma na rękach uśmiechniętego sześciolatka.

[Dwudziestosekundowa przerwa].

AL.: Na miłość boską! Przecież ja jej nigdy na oczy nie widziałem! „Tulipan” pracowała dla „Głoga”. Tak było ustalone. Znałem ją tylko z fotografii, to wszystko. Więc mówię do niej: „Jak się masz, Doris, nazywam się Günther, na czas tej podróży jestem twoim mężem. A ten to, kurwa, kto?”. Tylko że wiem aż za dobrze, kto to jest. Ona mówi, że to jej syn Gustav i że on też jedzie. Ja mówię, że jedzie, ale do dupy. My jesteśmy bezdzietni, przecież go nie schowamy pod kocem, kurwa, jak dojedziemy do czeskiej granicy. To jak będzie? Ona na to, że jak tak, to ona nigdzie nie jedzie. I jeszcze smarkacz się wtrąca, że on też nie. Więc każę mu wrócić do szopy, łapię ją za rękę, ciągnę za róg i kładę jej do głowy to, co sama powinna wiedzieć, tylko nie chce. Że nie mam dla niego papierów, że jak się wyda, to zaraz nas sprawdzą, i że jak się go nie pozbędziemy, to już po niej i po mnie, i po doktorze Riemecku, bo jak tylko ją złapią z Gustavem, to wszystko z niej wycisną w pięć minut. Ona nic, już jest całkiem ciemno, znowu zaczyna sypać śnieg. No to wchodzimy z powrotem do szopy, wielkiej jak hangar, w środku kupa złomu, jakieś maszyny. A tam ten mały skurwiel już nakrył do stołu. Uwierzysz? Wyciągnął całe żarcie, które ze sobą wzięła, i porozkładał: kiełbasę, chleb, termos z kakao. Nawet skrzynki poustawiał, żeby było na czym siedzieć. Przyjęcie! Więc w końcu siedliśmy w kółko, jak rodzinka za stołem, Gustav odśpiewał nam patriotyczną pieśń, po czym oni położyli się we dwójkę pod płaszcami i tym, co tam jeszcze mieli, a ja siedziałem w kącie i paliłem, i jak tylko trochę pojaśniało, wpakowałem ich do trabanta i wróciłem z powrotem do wsi, przez którą

przejeżdżałem wieczorem, bo widziałem tam przystanek autobusowy. Bóg dał, że stały tam takie dwie starsze baby, obie w czarnych kapturach i białych spódnicach, z koszami ogórków na plecach. Patrzę i widzę, że Serbki.

JO.: Czyś ty zgłupiał? Skąd tam Serbki...

AL. [wściekle]: No Serbki, kurwa! Inaczej Serbołużyczanki! Nie słyszałeś o Serbołużyczanach? Jest ich tam chyba z sześćdziesiąt tysięcy. Są pod ochroną, nawet w NRD. Taka mniejszość słowiańska, żyją to tu, to tam wzdłuż Szprewy, byli tam od wieków, ogórki, kurwa, hodują. A spróbować którego zwerbować... Jezu!

[Dziesięć sekund przerwy. Uspokaja się].

AL.: Podjeżdżam do nich, każę „Tulipan” z Gustavem zostać w aucie. I ani mru-mru. Wsiadam, pierwsza baba patrzy na mnie, druga ma mnie gdzieś. Biorę je na wdzięk osobisty. Pytam, czy mówi po niemiecku – czyli że ją szanuję. Ona na to, że mówi, ale wolałaby po łużycku. Taki żart. Pytam, dokąd jadą. Najpierw autobusem do Lubniowa, potem pociągiem na Ostbahnhof w Berlinie, bo tam sprzedają ogórki. Opowiadam im niestworzone bajdy o Gustavie: że rodzina się martwi, matka szaleje, on musi wrócić do Berlina, do taty, i czyby go nie zabrały. Pierwsza baba przedstawia moją propozycję drugiej i odbywają na ten temat naradę. Po łużycku. A ja sobie myślę: „Kurwa, za chwilę zza góry pojawi się ten autobus, a one jeszcze się nie zdecydują”. Wtedy ta pierwsza mówi, że dobra, zabierzemy chłopaka, ale musicie kupić od nas ogórki. To ja się pytam: „Jak to, wszystkie?”. A ona: „No właśnie, wszystkie”. To ja znowu: „Jak kupię od was wszystkie ogórki, to po cholere wam jechać do Berlina?”. Obie zaczęły się śmiać i trąkać, oczywiście dalej po łużycku. Wciskam pierwszej babie plik banknotów, proszę, to za ogórki, ale je sobie zabierzcie. A to na pociąg. A to jeszcze, żeby miał za co dojechać do Hohenschönhausen. O, już widać autobus, idę po chłopaka. Wracam do samochodu, każę Gustavowi wsiadać, ale „Tulipan” siedzi zmartwiała w aucie, zakrywa dłonią oczy, więc on też się nie rusza. No to rzucam rozkaz, tak na pełny regulator, i wtedy chłopak robi wreszcie, co mu każę. I mówię mu, że ma iść ze mną do autobusu, że te dwie sympatyczne towarzyszkę odwieżą go na Ostbahnhof. I że z Ostbahnhof ma pojechać do domu, do Hohenschönhausen, i czekać na ojca. To rozkaz, towarzyszu. Wtedy on mnie pyta, gdzie jedzie mama i dlaczego on nie jedzie z nią, więc odpowiadam, że mama ma ważne tajne zadanie w Dreźnie i że jego obowiązkiem jest wrócić do ojca i dalej walczyć o komunizm. I poszedł. [Pięć sekund milczenia]. No bo co mu miałem powiedzieć, kurwa mać? Partia go wychowała, ojciec jest partyjny, a on ma sześć lat. Kurwa mać!

JO.: A „Tulipan”?

AL.: Siedzi w tym pierdolonym trabancie i gapi się przez przednią szybę. Jak w transie. Wsiadam, przejeżdżam z kilometr, wtedy znowu się zatrzymuję i wyciągam ją na zewnątrz. Gdzieś u góry warczy helikopter. Nie wiem, kurwa, co tam robi. Nie wiem w ogóle, skąd wzięli ten helikopter, od Ruskich go wytrzasnęli czy jak? Mówię jej tak: „Słuchaj mnie. Słuchaj mnie, kurwa, bo teraz musimy sobie pomagać. Odesłanie twojego dzieciaka do Berlina to nie koniec problemu, tylko początek nowego. Za dwie godziny już całe Stasi będzie wiedziało, że Doris Quinz, de domo Gamp, była ostatnio widziana w okolicy Chociebuża i jechała na wschód z jakimś facetem. Będą mieli pełny opis samochodu. Inaczej mówiąc, nie ma, kurwa, mowy, żebyśmy przejechali tym drypem do Czech na fałszywych papierach, bo od tej chwili każda jednostka Stasi czy KGB, każdy posterunek graniczny od Kaliningradu po Odessę wypatruje pstrokatej «mydelniczki», którą jedzie para faszystowskich szpiegów”. Muszę przyznać, że

dzielnie to zniosła. Żadnych hysterii, tylko pyta wprost, czy jest jakieś inne wyjście. A ja na to, że mam jeszcze starą mapę od przemytników, którą wziąłem na wszelki wypadek, i że jak będziemy mieli szczęście i jak Bozia pozwoli, to może uda nam się przejść granicę pieszo. Chwilę pomyślała i pyta – i czuję, że to jest dla niej najważniejsze: „Czy jeżeli z tobą pojedę, to jeszcze kiedyś zobaczę syna?”. Dociera do mnie, że całkiem serio myśli o tym, żeby się poddać – właśnie ze względu na dzieciaka. No to łapię ją za ręce i przysięgam na wszystkie świętości, że wymienię go na Bóg wie ilu agentów, choćbym miał potem zdechnąć. A wiem równie dobrze jak ty, że jest to tak prawdopodobne, jak... [trzy sekundy ciszy] Kurwa jebana mać!

\*

Czy w dalszej części raportu, do której teraz doszedłem, zrezygnowałem z zapisu dokładnych słów Aleca tylko z powodu braku czasu? Czy może zdecydowałem się go parafrazować, żeby zachować – powiedzmy – większy obiektywizm? Od chwili pozostawienia Gustava pod opieką dwóch Serbołużyczanek Alec trzymał się bocznych dróg, o ile tylko śnieg na to pozwalał. Według niego najgorsze było to, że aż za dobrze wiedział, jak trudny jest teren, na którym się znalazł. Wszędzie dookoła było mnóstwo stacji nasłuchowych – i KGB, i wywiadu wojskowego – a on znał je wszystkie na pamięć. Opowiadał, jak jechał pustymi, prostymi jak drut lokalnymi drogami zasypanymi świeżym puchem, więc orientował się tylko po drzewach, którymi były wysadzone. I opowiadał o uldze, którą poczuł, kiedy wreszcie dotarli do lasu. Zaraz potem „Tulipan” wydała okrzyk przerażenia, bo zauważyła domek myśliwski – jeszcze z czasów Hitlera – do którego elita NRD przywozi teraz zagranicznych dygnitarzy na popijawy i polowania na sarny i dziki. Szybko pojechali w przeciwnym kierunku, ale zgubili drogę i dopiero po chwili zobaczyli światelko jakiegoś gospodarstwa. Leamas załomotał do drzwi. Otworzyła mu przerażona wieśniaczka z nożem w ręce. Leamas wypytał ją o drogę, wymógł na niej, by sprzedała im chleba, kiełbasy i śliwowicy. Gdy wracał do trabanta, potknął się o kabel telefoniczny. Nie wiedział, skąd ani dokąd się ciągnie, lecz na wszelki wypadek i tak go przeciął.

Zmierzchało. Śnieg padał i padał. Trabant już ledwo zipał: „Chrupało w sprzęgle, wysiadło ogrzewanie, biegi nie wchodziły jak trzeba, dymiło spod kłapy”. Oceniał, że są jakieś dziesięć kilometrów od Bad Schandau i piętnaście od przejścia przez granicę z przemytniczej mapy. Miał kompas, więc jako tako zorientował się w terenie. Znalazł prowadzącą na wschód leśną drogę do zwózki drewna i jechał, dopóki nie ugrzęźli w zaspach. Przytuleni do siebie w mroźnym wnętrzu trabanta zjedli chleb z kiełbasą, popili śliwownicą i przyglądali się mijającym ich obojętnie sarnom, a „Tulipan”, półśniąc, snuła swe marzenia o cudownym szczęśliwym życiu, jakie będzie wiodła z Gustavem, gdy oboje znajdą się w Anglii.

Przede wszystkim nie pośle go do Eton. Słyszała, że takie angielskie szkoły z internatem prowadzą sami pederasty, tacy jak jego ojciec. Lepsza będzie proletariacka państwowa szkoła, koniecznie koedukacyjna, koniecznie dużo wufu. I nie może być zbyt silna dyscyplina. Gustav zacznie się uczyć angielskiego od pierwszego dnia po przyjeździe, już ona tego dopilnuje. A na urodziny kupi mu angielski rower. Słyszała, że w Szkocji jest pięknie, więc pojedą do Szkocji na rowery.

I gdy tak odpowiadała, od czasu do czasu podsypiając, Alec zorientował się, że wokół ich samochodu stoją jak wartownicy czterej uzbrojeni mężczyźni. Kazał „Tulipan” zostać w aucie, a sam otworzył drzwi i powoli do nich podszedł. Patrzyli na niego; żaden nie miał więcej niż jakieś siedemnaście lat i w ogóle wydawali się równie wystraszeni jak on. By przejąć inicjatywę, zapytał ze złością, co im do głowy przyszło, że tak się podkradli do pary zabawiającej się w samochodzie. Najpierw nikt nic nie odpowiedział. Dopiero po chwili najodważniejszy wybąkał, że są kłusownikami i polują. Na co Alec, że jeśli nikomu nic nie powiedzą, to też będzie trzymał język za zębami. Porozumienie potwierdzili uściskiem dłoni, po czym cała czwórka zniknęła bez słowa.

Dzień wstaje pogodny, śnieg nie pada. Wkrótce pojawia się blada tarcza słońca. Wspólnymi siłami spychają pstrokatego trabanta w dół zbocza, przysypują go śniegiem i gałęziami. Teraz już tylko na piechotę. „Tulipan” ma na sobie lekkie kozaczki z gładką podeszwą; robocze buty Aleca są trochę lepsze. Ruszają więc i co chwila chwytają się za ręce, kiedy jedno ślizga się na lodzie albo potyka na śniegu. Są teraz w Saskiej Szwajcarii, bajkowo ślicznej krainie stromych, pofalowanych, a teraz jeszcze zaśnieżonych lasów i pagórków. Na ich zboczach stoją stare chaty popadające w ruinę albo dawne pałace przerobione na letnie domy dziecka. Jeżeli wierzyć mapie, wędrują równolegle do granicy. Ręka w rękę wspinają się na jedno ze wzgórz, obchodzą dookoła zamarzłe jezioro. Znajdują się w górskiej osadzie złożonej z kilku małych drewnianych domków.

AL.: Jeżeli mapa się zgadza, to albo jesteśmy martwi, albo w Czechach.  
[Brzęk szkła. Dźwięk nalewanego płynu].

Ale ta cała historia tak naprawdę dopiero się zaczyna: patrz zachowane w Cyrku telegramy. I patrz dlaczego, wysłuchawszy taśmy Aleca, nad ranem wciąż siedzę w napięciu na górnym piętrze Operacji Tajnych w Marylebone i w każdej chwili spodziewam się wezwania do centrali.

\*

Sally Ormond, wicerezydent w Pradze, żona Jerry’ego, rezydenta, należy do tego typu kobiet z wyższych sfer, które zawsze i w każdych warunkach zrobią karierę: żeński college w Cheltenham, ojciec przez całą wojnę w kierownictwie Operacji Specjalnych, kilka ciotek pracowało w Bletchley. I jeszcze powołuje się na jakieś powinowactwo przez małżeństwo z George’em, które on moim zdaniem traktuje z nieco podejrzaną godnością.

Raport Sally Ormond, wicerezydent w Pradze, do dyr. Operacji Tajnych [Smiley].  
Poufne. Do rąk własnych. Bardzo pilne.

Rezydentura otrzymała polecenie przyjęcia, opieki i zapewnienia bezpiecznego zakwaterowania zakonspirowanemu pracownikowi Alecowi Leamasowi i agentce wycofywanej z terenu, posługującej się dokumentami z NRD, podróżującym zarejestrowanym w NRD trabantem (podano numer rejestracyjny), spodziewany czas przybycia – wkrótce po zmroku.

Rezydentura nie została jednak poinformowana, że cała operacja została przeprowadzona wbrew poleceniom Komitetu Sterującego. Musieliśmy przyjąć, że kiedy

Leamas postanowił wziąć sprawy w swoje ręce, centrala uznała, że musi jednak udzielić mu wsparcia operacyjnego.

Rezydentura w Berlinie (de Jong) poinformowała nas, że po znalezieniu się na terytorium Czechosłowacji Leamas zasygnalizuje to anonimowym telefonem do sekcji wizowej naszej ambasady z zapytaniem, czy wizy Zjednoczonego Królestwa uprawniają do wjazdu do Irlandii Północnej. Rezydentura w Pradze miała mu odpowiedzieć, odtwarzając nagraną wiadomość z prośbą o oddzwonienie w godzinach pracy. Odtworzenie wiadomości miało być równoznaczne z przyjęciem meldunku.

Leamas i „Tulipan” udają się następnie w dowolny sposób do określonego punktu na drodze z Pragi na praskie lotnisko (podano współrzędne miejsca) i parkują na poboczu.

Zgodnie z planem przedstawionym przez naszą rezydenturę i zaaprobowanym przez Operacje Tajne porzucają samochód i oczekują kierowcy należącego do praskiej siatki GODIVA, zaopatrzonego w mikrobus ambasady (rejestracja dyplomatyczna, zaciemnione szyby), który regularnie wozi nasz personel między ambasadą a lotniskiem. Kierowca odbiera Leamasa i „Tulipan” z umówionego miejsca spotkania. W mikrobusie będzie zachodni strój galowy dostarczony przez naszą rezydenturę. Leamas i „Tulipan” przebiorą się za gości zaproszonych na oficjalną kolację z panią Ambasador JKM i pod tym pretekstem przenikną na teren ambasady, która znajduje się pod stałą obserwacją organów bezpieczeństwa CSRS.

O godz. 10.40 w konspiracyjnym pomieszczeniu na terenie ambasady odbyła się narada zespołu kryzysowego, na której Jej Ekscelencja pani Ambasador [JE] raczyła zatwierdzić plan. Jednak o godz. 16.00 czasu londyńskiego, po konsultacjach z Ministerstwem Spraw Zagranicznych, p. Ambasador jednostronnie zmieniła swoją uprzednią decyzję, argumentując, że skoro uciekiniarka została w międzyczasie oskarżona o zdradę stanu przez środki masowego przekazu NRD, ewentualne konsekwencje dyplomatyczne stawiają całą sytuację w nowym świetle.

W świetle wspomnianej decyzji JE udział pracownika i pojazdu ambasady w planowanej ucieczce stał się niemożliwy. Z tego też powodu wyłączyłam automatyczną sekretarkę w aparacie sekcji wizowej – w nadziei że brak odpowiedzi będzie dla Leamasa sygnałem, że nie może liczyć na naszą pomoc.

Z powrotem zakładałam słuchawki. I wracam do Aleca – nie do imperialnego komfortu naszej ambasady brytyjskiej w Pradze, ale do Aleca marznącego na poboczu drogi wraz z „Tulipan” – bez wsparcia, bez transportu. Alec powiedziałby po prostu: „Bez niczego, tylko z gołym fiutem w garści”. I przypominam sobie, co powtarzał zawsze, odkąd go poznałem: jak się planuje operację, trzeba dobrze się zastanowić, na ile różnych sposobów centrala może ci ją sknocić. A potem i tak się okaże, że centrala wymyśli jeszcze coś nowego, czego nie byłeś w stanie przewidzieć. Jestem przekonany, że wtedy też o tym myślał.

AL.: [znów zapis słowo w słowo] Kiedy nie pojawił się nasz transport, a sekcja wizowa nie odpowiadała, pomyślałem: „Mam to w dupie, Londyn jak zwykle wszystko spieprzył”, i postanowiłem działać na własną rękę i w miarę rozwoju sytuacji. Więc zaczynamy udawać, że rzeczywiście jesteśmy małżeństwem z NRD mającym problemy w trakcie podróży: żona mi zachorowała, ludzie, pomóżcie. Kazałem Doris usiąść na chodniku i wyglądać jak obraz nędzy i rozpaczy. Z tym akurat nie miała kłopotu. Zaraz zatrzymała się jakaś ciężarówka z cegłami. Szofer wychylił się z okna.



Szczęśliwy traf sprawił, że to Niemiec z Lipska. I pyta, czy to ja jestem alfonsem tej ślicznej tirówki, co tu siedzi na chodniku. Odpowiadam, że bardzo mi przykro, ale to moja żona, i że zachorowała. On na to, że w porządku, wsiadajcie, i podwozi nas do szpitala w centrum. W pasku od torby mam wszyty na czarną godzinę angielski paszport na nazwisko Miller. Wypruwam go z paska i wsadzam do kieszeni. Mówię do Doris: „Słuchaj, jesteś poważnie chora. Jesteś w ciąży i czujesz się coraz gorzej. Więc bardzo cię proszę, wypchaj sobie czymś płaszcz na brzuchu i pokaż, jak fatalnie się czujesz. Bardzo mi przykro, ale chyba tylko tak nas wpuszczą”.

JO.: Tylko że to chyba nie wszystko, prawda?

[Dźwięk nalewanego płynu].

AL.: Jezu. No dobra. Zbliżamy się tą brukowaną uliczką. Podchodzimy do szacownych bram ozdobionych herbem Jej Królewskiej Mości na gustownym złotym tle. Na zewnątrz kręci się trzech czeskich zbirów w szarych garniturach, którzy bardzo się starają, by wyglądało, że są tu przypadkiem. Może wy ich już nie zauważacie. Doris gra tak, że Sarah Bernhardt pozieleniałaby z zazdrości. Macham do zbirów angielskim paszportem: „Wpuszczajcie, szybko!”. Ale oni chcą jeszcze zobaczyć jej paszport. „Słuchajcie”, mówię do nich najpiękniejszą angielszczyzną, „przyciśnijcie ten dzwonek, kurwa, tu, na bramie, powiedzcie im, że żona ma poronienie, niech mi tu zaraz ściągną doktora. Bo jak mi tu poroni na chodniku, kurwa, to pójdzie na wasze konto. A wy co, sami nie macie matek? Pewnie nie!”. Jakoś tak im powiedziałem. Czary-mary, brama się otwiera. Już jesteśmy na podjeździe przed ambasadą, „Tulipan” ciągle trzyma się za brzuch i w głos dziękuje swej patronce za cudowne ocalenie. A ty i twoja pani sami nie wiecie, jak nas przeproszać za kolejną gigantyczną wtopę centrali. Przeprosiny przyjmuję. A teraz, kurwa, idę spać.

Opowieść podejmuje na nowo Sally Ormond.

Fragmety odręcznego nieoficjalnego i osobistego listu Sally Ormond, wicerezydent w Pradze, do dyr. Operacji Tajnych [Smiley]. Doręczone pocztą dyplomatyczną. Pilne. No więc zabawa zaczęła się tak naprawdę dopiero wtedy, gdy „Tulipan” i Alec znaleźli się na terenie ambasady. Jestem w pełni przekonana, że Ambasadorzyca i ci w ministerstwie byliby znacznie szczęśliwsi, gdyby „Tulipan” od razu oddano z powrotem w łapy władz NRD, i już. Na początek Ambasadorzyca nie zgodziła się wpuścić „Tulipan” „do siebie”, choć akurat z prawnej perspektywy nie miało to najmniejszego znaczenia. Uparła się przenieść dwóch portierów do głównego budynku tylko po to, żeby biedną „Tulipan” upchnąć w domku dla służby. Najśmieszniejsze, że to był bardzo dobry ruch z punktu widzenia bezpieczeństwa: „Tulipan” można było znacznie lepiej ochraniać w służbówce. Tylko że Ambasadorzyca zupełnie nie o to chodziło, co nam dobitnie wyjaśniła, kiedy stłoczyliśmy się w czwórkę w safe roomie ambasady: byli ona, jej bardzo osobisty asystent Arthur Lansdowne, mój mąż i ja. Alec był przez nią bardzo niemiło widziany, o czym potem – zresztą on akurat wtedy zajmował się „Tulipan” w domku dla służby.

Przy okazji, George, taka prośba: safe room ambasady jest strasznie duszny i może stanowić zagrożenie zdrowotne, co już wielokrotnie zgłaszałam działowi administracyjnemu w centrali. Ta marna klimatyzacja właściwie od dawna już nie działa i w dodatku pompuje powietrze do środka, a nie na zewnątrz, ale Barker (beznadziejny szef działu administracyjnego) twierdzi, że od dwóch lat nie może zdobyć części

zamiennych. A że nikt w MSZ-ecie nie uznał za stosowne wysłać nam nowej klimatyzacji, każdy, kto tam wchodzi, gotuje się i dusi. W zeszłym tygodniu biedak Jerry naprawdę o mało nie zemdłał, ale jak to on, nie skarży się – taki szlachetny. Milion razy mówiłam, że safe room powinien zostać przekazany do gestii Cyrku, ale dla MSZ-etu byłoby to pogwałcenie jego terytorium!

Byłabym wdzięczna do grobowej deski, gdybyś mógł podjuzdzić kogoś w administracji. Tylko nie Barkera i nie mów im, że to ja Ci doniosłam. Jerry dołącza się, jak zwykle, do serdecznych pozdrowień i wyrazów dozgonnej wierności. Przede wszystkim dla Ann.

S.

Tekst telegramu od Ambasador Wielkiej Brytanii w Pradze do sir Alwyna Withersa, dyr. Departamentu Europy Wschodniej Ministerstwa Spraw Zagranicznych, z kopią do Cyrku (Komitet Sterujący). Tajne spec. znaczenia. Pilne. Do rąk własnych.

Protokół posiedzenia kryzysowego w pomieszczeniu specjalnym ambasady z godz. 21.00. Obecni: JE p. Ambasador (Margaret Renford), Arthur Lansdowne (sekretarz osobisty JE), Jerry Ormond (rezydent), Sally Ormond (wicerezydent).

Temat posiedzenia: przechowanie i odesłanie do kraju osoby chwilowo przebywającej na terenie ambasady. Pilne.

Drogi Alwynie,

podczas naszej dzisiejszej rozmowy telefonicznej uzgodniliśmy wspólnie dalsze procedowanie w sprawie naszego nieproszonego gościa (NNG):

1. Dalsza podróż NNG odbędzie się na podstawie ważnego i jak zapewniają nas nasi przyjaciele, niebrytyjskiego paszportu. Chodzi o uniknięcie późniejszych oskarżeń ze strony władz czechosłowackich, że nasza ambasada wydaje paszporty Zjednoczonego Królestwa każdej osobie dowolnego obywatelstwa usiłującej uniknąć odpowiedzialności karnej na terenie CSRS lub NRD.
2. W podróży NNG nie będzie jej towarzyszył, pomagał ani woził żaden członek personelu dyplomatycznego i niedyplomatycznego ambasady. Do jej wywiezienia z terenu ambasady nie zostanie użyty pojazd z brytyjską rejestracją dyplomatyczną. Nie zostaną jej wydane fałszywe dokumenty brytyjskie.
3. W przypadku twierdzenia NNG, że znajduje się pod opieką ambasady brytyjskiej, zostanie to natychmiast i stanowczo zdementowane zarówno na miejscu, jak i w Londynie.
4. NNG opuści teren ambasady w ciągu najbliższych trzech dni roboczych, w przeciwnym razie zostaną rozważone inne kroki, łącznie z wydaniem jej władzom CSRS.

Mój telefon dzwoni i mruga czerwonym światelkiem. To ten zasraniec Toby Esterhase, kundel Percy'ego Alleline'a i Billa Haydona. Drze się na mnie z tym swoim węgierskim akcentem, że mam brać dupę w troki i zapieprzać do centrali. Mówię mu, żeby się nie wyrażał, i wskakuję na motorower, który już mi przyprowadzono pod same drzwi frontowe.

Protokół zebrania sztabu kryzysowego w safe roomie Komitetu Sterującego na Cambridge Circus. Przewodniczący: Bill Haydon (dyr. KS). Obecni: płk Étienne Jabroche (attaché wojskowy Ambasady Republiki Francuskiej w Londynie, oficer łącznikowy wywiadu francuskiego), Jules Purdy (sekcja francuska KS), Jim Prideaux (sekcja bałkańska KS), George Smiley (dyr. Operacji Tajnych), Peter Guillam (JACQUES).

Protokolant: T. Esterhase. Częściowa transkrypcja nagrania magnetofonowego. Z kopią do rezydentury w Pradze (pilne).

Jest piąta rano. A więc w końcu mnie wezwali. Przyjechałem z Marylebone na motorowerze. George przyszedł prosto z Ministerstwa Skarbu. Jest nieogolony i jeszcze bardziej niespokojny niż zwykle.

– Peter, w każdej chwili możesz powiedzieć „nie” – zapewniał mnie już dwukrotnie.

Na samym początku stwierdził, że cała operacja jest „niepotrzebnie skomplikowana”. Jednak – choć starał się z tym kryć – znacznie bardziej martwiło go to, że została przygotowana przez cały Komitet Sterujący. Siedzimy w szóstkę przy długim pilśniowym stole w safe roomie w Cyrku.

Jabroche: Bill, drogi przyjacielu. Moi władcy z Paryża muszą mieć pewność, że twój monsieur Jacques może swobodnie rozmawiać o problemach drobnych producentów rolnych we Francji.

Haydon: Jacques, powiedz mu.

Guillam: Nie ma problemu, panie pułkowniku.

Jabroche: Nawet w towarzystwie specjalistów?

Guillam: Ja się wychowałem w niewielkim gospodarstwie w Bretanii.

Haydon: To Bretania jest we Francji? Zdziwiasz mnie, Jacques.

[Śmiech].

Jabroche: Bill, za pozwoleniem...

Pułkownik Jabroche przechodzi na francuski i wciąga Guillaama w ożywioną dyskusję na temat rolnictwa francuskiego ze szczególnym uwzględnieniem problemów charakterystycznych dla północnego zachodu kraju.

Jabroche: W porządku. Zdał. Biedak, on nawet mówi jak Bretończyk.

[Śmiech].

Haydon: Ale czy to się uda, Étienne? Naprawdę uda się wam go wprowadzić?

Jabroche: Wprowadzić – tak. Ale wydostanie się to już osobista sprawa monsieur Jacques’a i jego pani. Zdążyliście w ostatniej chwili. Lista francuskich delegatów zostanie zaraz zamknięta. Tak naprawdę czekają tylko na nas. Sugeruję, żeby monsieur Jacques przebywał na konferencji jak najkrócej. Wciągamy go na listę, razem z wszystkimi dostaje wizę, potem spóźnia się na konferencję z powodów zdrowotnych, ale koniecznie chce być chociaż na ostatniej sesji. Nie będzie zbytnio się wyróżniał, bo gości zagranicznych będzie trzystu. Czy monsieur Jacques mówi po fińsku?

Guillam: Nie bardzo, panie pułkowniku.

Jabroche: Myślałem, że każdy Bretończyk mówi po fińsku. [Śmiech]. A ta dama nie mówi po francusku?

Guillam: Z tego co wiemy, tylko po niemiecku. I jeszcze miała rosyjski w szkole. Francuskiego nie.

Jabroche: Ale twierdzi pan, że ma wdzięk. Że jest przystojna. Że ma élan. I że umie się ubrać.

Smiley: Jacques, ty ją widziałeś...

Widziałem ją ubraną. Widziałem ją nieubraną. Wybieram to pierwsze:

Guillam: Widziałem ją krótko. Nasze przekazania były rzeczywiście błyskawiczne. Ale jest świetna. Ma dobrą technikę, jest bystra. I ma wyobraźnię. Odważna.

Haydon: Jezu. „Ma wyobraźnię”? A po co komu wyobraźnia? Baba ma robić to, co się jej każe, i siedzieć cicho, no nie? Uda się czy nie, Jacques?

Guillam: Uważam, że się uda, jeśli tylko George się zgodzi.

Haydon: A George się zgodzi?

Smiley: Skoro Komitet Sterujący i pan pułkownik zapewnią wsparcie w terenie, Operacje Tajne zgadzają się podjąć to ryzyko.

Haydon: No cóż. Nie brzmi to zbyt entuzjastycznie. Ale dobrze, robimy. Étienne, rozumiem, że monsieur Jacques dostanie od ciebie francuski paszport i inne dokumenty podrózne. A może wolisz zdać się na nas?

Jabroche: Dziękuję, nasze są lepsze. [Śmiech]. Tylko bardzo cię proszę, Bill, pamiętaj, że jak coś pójdzie źle, to mój rząd okropnie się zdziwi, że te perfidne angielskie służby specjalne pozwalają swym agentom udawać obywateli francuskich.

Haydon: A my z całą stanowczością odeprzemy te zarzuty, a potem przeprosimy. [Do Prideaux]: Jim, kochany, chcesz coś dodać? Bo tak siedzisz i nic nie mówisz. Trochę mnie to dziwi, bo Czechy to twój teren. Nie masz nic przeciwko temu, że tak ci wchodzimy w paradę?

Prideaux: Nie wyrażam sprzeciwu, jeśli o to chodzi.

Haydon: Chciałbyś coś dodać lub ująć?

Prideaux: Na pewno nie w tej chwili.

Haydon: No to w porządku, panowie. Dziękuję wszystkim. Robimy. Do roboty. Jacques, trzymamy kciuki. Étienne, może jeszcze na słówko...

Ale George niełatwo wyzbywa się obaw, o czym świadczy następna wymiana korespondencji. A zegar tyka – za sześć godzin mam wyjechać do Pragi.

PG. do dyr. Operacji Tajnych.

George,

w nawiązaniu do naszej rozmowy chcę opisać zdarzenie, które miało miejsce w Terenowym Punkcie Kurierskim w Terminalu 3 lotniska Heathrow, który obecnie znajduje się w gestii Komitetu Sterującego. Na pierwszy rzut oka TPK to obskurne biuro jakich wiele na lotnisku, położone na końcu rzadko zamiatanego korytarza. Na drzwiach z matowego szkła widnieje napis „Obsługa towarowa”, wstęp do środka uzyskuje się po skorzystaniu z domofonu. W środku panuje przygnębiająca atmosfera: dwóch zmęczonych kurierów gra w karty, jakaś kobieta krzyczy do telefonu po hiszpańsku, tylko jedna garderobiana zmuszona do pracy na dwie zmiany przez chorobę koleżanki; dym papierosowy, przepełnione popielniczki i tylko jedna mała przebieralnia, bo czekają na nowe zasłony do drugiej.

Najbardziej jednak zdziwił mnie oczekujący komitet powitalny: Alleline, Bland, Esterhase. Gdyby był jeszcze Bill H., miałbym komplet. Z pozoru przyszli tylko pożegnać mnie i życzyć mi szczęścia. Jak zwykle rej wodził Alleline. To on z wielką pompą wręczył mi francuski paszport i plakietkę konferencyjną otrzymaną od Jabroche’a. Esterhase z kolei miał moją walizkę wypełnioną rekwizytami: ubraniami kupionymi w Rennes i literaturą rolniczą, a dla rozrywki była też książka historyczna o tym, jak Francja zbudowała Kanał Sueski. Roy Bland udawał Wielkiego Brata i pytał chytrze, czy jest ktoś, kogo powinien poinformować, jeżeli mnie nie będzie o parę lat dłużej, niż to jest w planie.

Ale w prawdziwy powód ich uprzejmości ani przez chwilę nie wątpiłem. Chcieli

dowiedzieć się więcej o „Tulipan”: skąd jest, jak długo dla nas pracuje, kto ją prowadził. Najdziwniejsza chwila miała jednak dopiero nadejść, kiedy już udało mi się zignorować ich pytania. Gdy stałem w przebieralni, Toby E. wsunął głowę za kotarę i przekazał mi następującą wiadomość od Billa: „Gdyby kiedykolwiek znudził ci się twój wujek George, może się okazać, że będzie wakant na stanowisku głównego rezydenta w Paryżu”. Odpowiedziałem wymijająco.

Peter

A teraz przyjrzyjmy się George’owi w roli typowego pedanta operacyjnego starającego się za wszelką cenę naprawić wszystkie błędy operacyjne, z których słynie Komitet Sterujący.

Informacja od dyr. Operacji Tajnych [Smiley] do rezydenta w Pradze [Ormond].

Siatka „Głóg”. Tajne spec. znaczenia. Pilne.

A. Fiński paszport dla podźródła „Tulipan” zostanie jutro dostarczony pocztą dyplomatyczną. Jest wystawiony na Venię Lessif, ur. w Helsinkach, specjalistkę od żywności, mężatkę. Małżonek: Adrien Lessif. Paszport zawiera wizę czechosłowacką wraz ze stemplem kontroli granicznej wbitym przy wjeździe. Data stempla jest zgodna z początkiem współorganizowanej przez Francuską Partię Komunistyczną konferencji „Pola dla pokoju”.

B. Peter Guillam przybędzie na lotnisko w Paryżu lotem Air France nr 412. Planowany przylot jutro o godz. 10.40. Podróżuje z francuskim paszportem jako Adrien Lessif, wykładowca gościnny ekonomii agrarnej Uniwersytetu w Rennes. Posiada wizę czechosłowacką, również ważną na czas trwania konferencji. Na konferencję przyjeżdża z opóźnieniem z powodu przebytej choroby. Państwo Lessif już są na liście uczestników konferencji: on jako uczestnik (spóźniony), ona jako osoba towarzysząca.

C. Jutrzejsza poczta dyplomatyczna przywiezie też dwa bilety lotnicze relacji Praga–Paryż (Le Bourget) na nazwisko Adriena i Venii Lessif, planowy odlot godz. 6.00 dn. 28 I br. Air France potwierdzi, że oboje przylecieli do Pragi w dwa różne dni (patrz stemple kontroli granicznej), ale wrócą do Paryża z całą delegacją.

D. Nocleg dla profesorostwa Lessifów jest zamówiony w hotelu Balkán, w którym zostanie też zakwaterowana cała delegacja francuska na dzień przed wczesnym wylotem do Paryża.

Odpowiedź Sally Ormond, która nie przepuści żadnej okazji, aby się pochwalić:

Fragmenty drugiego osobistego listu Sally Ormond do George’a Smileya. Z dopiskiem „Osobiste, tylko dla Ciebie. Nie do akt”.

Otrzymałszy od Ciebie tę bardzo jasną informację – której odbiór niniejszym potwierdzam z wdzięcznością – uznaliśmy z Jerrym, że najlepiej będzie, jeśli to ja przygotuję „Tulipan” na opuszczenie ambasady i na to, co ją teraz czeka. Wobec tego przesłałam przez dziedziniec do dobudówki, w której została umieszczona: podwójne zasłony w oknach od ulicy, łóżko polowe dla mnie w korytarzu przed jej pokojem, w holu na dole dodatkowy strażnik na wypadek odwiedzin nieproszonych gości.

Gdy przyszłam, siedziała na łóżku. Alec siedział obok, obejmował ją za ramiona, ale ona chyba nie była w ogóle świadoma, że on tam z nią jest, tylko od czasu do czasu zaczynała szlochać, trochę jakby miała czkawkę.

Mimo wszystko energicznie wkroczyłam do akcji i zgodnie z planem wysłałam Aleca na świeże powietrze, czyli na spacer nad rzeką z drugim chłopakiem – z Jerryem. Ponieważ moja niemieczka ciągle jest na poziomie A2, z początku nie mogłam się z nią za bardzo dogadać, a zresztą pewnie i tak nic by to nie dało, bo ona ani nie mówiła, ani nie słuchała. Kilka razy szepnęła do mnie „Gustav” i w końcu wytłumaczyła mi na migi, że ten Gustav to nie jej mann, tylko sohn.

Udało mi się jednak jej wyjaśnić, że jutro opuści ambasadę, poleci do Anglii, choć nie bezpośrednio, ponieważ zostanie dołączona do mieszanej delegacji francuskiej złożonej z naukowców i rolników. Oczywiście najpierw zareagowała niedowierzaniem, że to może się udać, bo ona przecież nie zna ani słowa po francusku. A kiedy powiedziałam, że to żaden kłopot, będzie bowiem udawała Finkę – przecież nikt nie mówi po fińsku, prawda? – jej kolejną reakcją było: „Jak to, w tym ubraniu?”. Tylko na to czekałam, by rozpakować przy niej cuda, które błyskawicznie przygotowała dla nas paryska rezydentura: fantastyczny słomkowy bliźniak z Printemps, prześliczne czółenka w sam raz na nią, seksowną koszulkę i bieliznę, kosmetyki takie, że można umrzeć z zazdrości – rezydentura w Paryżu musiała wydać fortunę – czyli wszystko, o czym marzyła przez ostatnie dwadzieścia lat, choć może nie zdawała sobie z tego sprawy. A w dodatku każda sztuka miała metkę z Tours, żeby pasowało do legendy. Był nawet bardzo ładny pierścionek zaręczynowy – sama chciałabym mieć taki – i całkiem przyzwoita złota obrączka zamiast tego jej tombakowego erzacu. Wszystko będzie musiała oddać po przyjeździe, ale uznałam, że lepiej jej tego teraz nie mówić!

Od razu zaczęła wczuwać się w rolę. Zrobiła się bardzo profesjonalna. Dokładnie obejrzała swój przepiękny nowy paszport (tak naprawdę wcale nie był nowy) i uznała, że jest całkiem niezły. A kiedy jej powiedziałam, że w podróży będzie jej towarzyszył szarmancki Francuz udający jej męża, oświadczyła, że to bardzo rozsądny pomysł. I zaraz zapytała, jak wygląda.

Zgodnie z naszymi ustaleniami pokazałam jej wtedy zdjęcie Petera G. Muszę przyznać, że przyglądała mu się trochę bez wyrazu, co o tyle mnie zdziwiło, że można sobie wyobrazić niejednego niby-męża, który wyglądałby gorzej niż PG. W końcu spytała: „To Francuz czy Anglik?”. A ja na to: „I jedno, i drugie. Tak jak ty. I Finka, i Francuzka”. Pękała za śmiechu, wyobraź sobie!

Zaraz potem Alec i Jerry wrócili ze spaceru. Ponieważ pierwsze lody zostały przełamane, mogliśmy na poważnie zająć się briefingiem. Słuchała uważnie i spokojnie.

Pod koniec miałam wrażenie, że jest naprawdę dobrze nastawiona do całej sprawy i że nawet w jakiś okropny sposób ją to bawi. Uznałam, że ma żyłkę hazardzistki i w tym jednym jest dokładnie taka jak Alec!

Uważaj na siebie. Uściski dla naszej ślicznej Ann.

S.

\*

Teraz żadnych gwałtownych nieostrożnych ruchów. Trzymaj dłonie i ramiona dokładnie tam, gdzie są. Oddychaj spokojnie. Na tronie znowu zasiadła Pepsi i wpatruje się w ciebie jak sroka w kość. Bynajmniej nie z miłości.

\*

Raport Petera Guillama, czasowo oddelegowanego do Operacji Tajnych, z wycofania z terenu podźródła „Tulipan”. Praga–Paryż Le Bourget–Northolt pod Londynem (myśliwiec RAF-u), 27 I 1960.

Wylądowałem na lotnisku w Pradze o godz. 11.25 czasu miejscowego (lot opóźniony) jako wykładowca gościnny ekonomii agrarnej Uniwersytetu w Rennes. Wiedziałem, że dzięki francuskiemu łącznikowi na konferencję dotarła wieść o moim kilkudniowym spóźnieniu z powodu choroby i że moje nazwisko figuruje na liście uczestników przedstawionej władzom CSRS. Moja wiarygodność została dodatkowo potwierdzona przez to, że na lotnisku witał mnie attaché kulturalny ambasady francuskiej, który użył swych dyplomatycznych uprawnień, by przyspieszyć formalności paszportowo-celne, co rzeczywiście przeszło dość bezboleśnie. Attaché posłużył też jako tłumacz.

Po załatwieniu formalności odwiózł mnie samochodem z rejestracją dyplomatyczną do ambasady francuskiej, gdzie wpisałem się do księgi gości i skąd następnie zostałem przewieziony, również pojazdem ambasady, na konferencję, gdzie zająłem zarezerwowane dla mnie miejsce w tylnych rzędach sali.

Konferencja odbywała się w iście operowej scenografii, w bogato udekorowanej połączanej siedzibie Rady Głównej Związku Zawodowego Kolejarzy. Uczestniczyło w niej około czterystu delegatów. Środki bezpieczeństwa były czysto pozorne. Na półpiętrze ogromnych schodów siedziały za biurkiem dwie przemęczone kobiety mówiące tylko po czesku, zaznaczając obecność przy nazwiskach delegatów pochodzących może z sześciu krajów. Sama konferencja miała formę seminarium prowadzonego przez panel ekspertów usadowionych na scenie. Od czasu do czasu z góry przygotowane wystąpienia wygłaszał też ktoś z sali. Sam nie musiałem nic mówić. Duże wrażenie zrobiła na mnie sprawność, z jaką nasz francuski łącznik uwiarygodnił moją obecność na użytek organizatorów i uczestników konferencji. Dwóch uczestników musiało znać moje prawdziwe zadanie, bo odszukali mnie w tłumie i przyszli uścisnąć mi dłoń.

Oficjalne zamknięcie konferencji nastąpiło o godz. 17.00. Delegację francuską przewieziono autokarem do hotelu Balkán, małego staroświeckiego budynku oddanego na jej wyłączny użytek. Przy zameldowaniu otrzymałem klucz do pokoju nr 8 określonego jako „pokój rodzinny”, ponieważ oficjalnie przebywałem w Pradze z małżonką. Hotel ma jadalnię dla gości, z której przechodzi się do baru. Tam właśnie usadowiłem się przy jednym ze środkowych stolików, by oczekiwać na przybycie mojej rzekomej małżonki.

Byłem przygotowany na to, że zostanie wywieziona z ambasady karetką pogotowia ratunkowego prowadzoną przez zaufanego człowieka, umieszczona w mieszkaniu konspiracyjnym na przedmieściach Pragi i dopiero stamtąd dowieziona w nieznanym mi sposób do hotelu Balkán. Właśnie dlatego byłem pod dużym wrażeniem, gdy zobaczyłem, że przybyła samochodem ambasady francuskiej w towarzystwie tego samego attaché kulturalnego, który czekał na mnie na lotnisku. Chciałbym jeszcze raz podkreślić doskonałą sprawność operacyjną naszego francuskiego łącznika.

„Tulipan” została zgłoszona jako Venia Lessif, osoba towarzysząca mężowi na konferencji, acz obecnemu nie od początku. Jej uroda i modny strój zrobiły spore wrażenie na innych francuskich uczestnikach obecnych w hotelu. Tu znów mogłem liczyć na pomoc tych samych dwóch delegatów, którzy witali się ze mną w sali obrad: tym razem równie miło powitali „Tulipan”, którą uściskali jak dobrą znajomą. „Tulipan” zareagowała równie przekonująco, symulując niezbyt biegłą znajomość niemieckiego. W ten sam sposób porozumiewała się ze mną, udając, że tym właśnie językiem mówimy

w domu.

Po kolacji zjedzonej w towarzystwie obu znajomych delegatów, którzy doskonale grali swe role, nie zostaliśmy w barze z resztą uczestników, ale dość wcześnie oddaliśmy się do pokoju hotelowego, gdzie nasze rozmowy ograniczyły się – za cichym porozumieniem obojga – do zdawkowych uwag zgodnych z naszym przykryciem. Obecność mikrofonów, a nawet kamer w hotelu przeznaczonym dla cudzoziemców była więcej niż pewna.

Na szczęście pokój był duży, wyposażony w kilka pojedynczych łóżek i dwie umywalki. Przez większą część nocy musieliśmy wysłuchiwać głośnych rozmów bawiących się na dole delegatów; nad ranem rozpoczęły się śpiewy.

Mam wrażenie, że ani „Tulipan”, ani ja nie zmrużyliśmy oka. O godz. 4.00 nastąpiła zbiórka i zostaliśmy zawiezieni na praskie lotnisko, gdzie – teraz mi się wydaje, że to musiało graniczyć z cudem – cała delegacja wspólnie przebyła kontrolę paszportową, została przeprowadzona do poczekalni, a następnie przewieziona samolotem Air France na lotnisko Le Bourget. Chciałbym jeszcze raz wyrazić głęboką wdzięczność naszemu francuskiemu łącznikowi.

Nie mam pojęcia, skąd w moim raporcie znalazł się poniższy tekst. Uznałem w końcu, że chyba dla rozrywki.

List Jerry’ego Ormonda, rezydenta w Pradze, do George’a Smiley’a. Osobiste. Poufne. Nie do akt.

Drogi George’u,

no, nasz ptaszek wreszcie wyfrunął. Jak zapewne się domyślasz, wszyscy odetchnęli z ulgą. Ptaszek pewnie już uwił sobie wygodne gniazdko w jakimś Tulipanowie wśród zielonych angielskich lasów i pól. Odlot (w obu znaczeniach tego słowa) przebiegł dość gładko, choć JONAH w ostatniej chwili zażądał pięćsetdolarowej premii, nim wpuścił „Tulipan” do tej swojej karetki. A to gnojek! Ale ja wcale nie piszę do Ciebie w związku z „Tulipan” ani tym bardziej z JONAH’EM. Chodzi o Aleca.

Zawsze powtarzasz, że ludzie tacy jak my, którzy zawodowo zajmują się tajnymi sprawami, mają również obowiązek zajmować się innymi, czyli sobą nawzajem. Musimy być czujni względem siebie, więc gdy jeden z nas przestaje sobie radzić ze stresem i jeszcze sobie tego nie uświadamia, inni muszą chronić go przed nim samym dla jego własnego dobra – i oczywiście dla dobra Firmy.

Alec to absolutnie najlepszy pracownik, jakiego znamy. Jest doskonale obeznany z wszystkimi aspektami pracy, pełny poświęcenia, świetnie czuje się w terenie, posiada wszelkie wymagane umiejętności. Właśnie przeprowadził przecież jedną z najlepszych, ale i najtrudniejszych operacji, jaką miałem przyjemność obserwować – mimo że odbyło się to ponad głowami Komitetu Sterującego, naszej szanownej pani Ambasador i tych mandarynów z Whitehall. Więc kiedy potem zdarzy mu się obalić trzy czwarte butelki szkockiej, po czym wda się w bójkę z nielubianym strażnikiem ambasady, musimy przymknąć oko.

Ale ja jeszcze przedtem poszedłem z nim na spacer. Połaziliśmy godzinę nad rzeką, potem poszliśmy w górę, na zamek, później z powrotem do ambasady. W efekcie spacer trwał dwie godziny, podczas których Alec był jeszcze – jak na siebie – całkiem trzeźwy. I przez ten czas potrafił mówić tylko o jednym: Cyrk został zinfiltrowany. I to nie przez jakiegoś urzędnicy, który nie ma z czego spłacać kredytu na mieszkanie, tylko na samej górze, w Komitecie, czyli tam, gdzie to jest naprawdę groźne. U Aleca to nie jest



jakaś tam drobna obsesyjka – to wielka, potężna obsesja. Bez żadnych proporcji, bez żadnego oparcia w faktach i szczerze mówiąc, zaczyna przypominać paranoję. A jeżeli dodać do tego jego piekielną nienawiść do wszystkiego co amerykańskie, możesz sobie wyobrazić, że rozmowa z nim była trudna, chwilami wręcz niemożliwa, a przede wszystkim coraz bardziej niepokojąca. Dlatego też kierując się zasadami zawodowymi określonymi przez kogoś tak wybitnego jak Ty, muszę podzielić się z Tobą swoimi podejrzeniami.

Jak zawsze, załączam wyrazy serdeczności i szacunku

Jerry

PS I oczywiście mnóstwo czułości i zachwytu pod adresem Ann. J.

I tu natrafiam na rozetkę od Laury oznaczającą koniec lektury.

\*

– No co, fajnie się czytało?

– Dzięki, Bunny, całkiem fajnie.

– Bo przecież w końcu ty sam wszystko pisałeś, tak? Założę się, że musiało cię to nieźle podrajcować, tak? Po tylu latach...

Na naszą popołudniową rozmowę przyprowadził kolegę, uśmiechniętego ulizanego blondynka całkowicie pozbawionego oznak życia.

– Peter, to Leonard – mówi ceremonialnie Bunny, jakbym powinien wiedzieć, kim jest ów Leonard. – Leonard będzie pełnomocnikiem prawnym Agencji, jeżeli nasza drobna sprawa trafi na wokandę. Oczywiście wszyscy wyrażamy pobożne życzenie, żeby tak się nie stało. I będzie nas też reprezentował przed ponadpartyjną komisją parlamentarną, która za tydzień zbierze się na pierwszym posiedzeniu. Na które, jak wiesz, ty też jesteś zaproszony. – Trupi uśmiezek. – Leonard, Peter.

Ściskamy sobie dłonie. Dłoń Leonarda jest miękka jak u dziecka.

– Jeżeli Leonard reprezentuje Firmę, to co robi tu ze mną? – pytam.

– To tylko tak. Żebyście się poznali – odpowiada uspokajająco Bunny. – Leonard to genialny adwokat. – A widząc, że podnoszę brwi z niedowierzaniem, dodaje: – Zna wszystkie kruczki prawne, wszystkie paragrafy i wszystkie legalne sztuczki. I nielegalne też. Przy nim taki zwykły prawnik jak ja to kompletne zero.

– Nie przesadzaj – mówi Leonard.

– A chociaż nie pytasz, i tak ci powiem, że Laury nie ma dziś z nami, bo obaj z Leonardem mamy wrażenie, że będzie najlepiej dla wszystkich zainteresowanych, również dla ciebie, jeżeli nasza dzisiejsza rozmowa odbędzie się w męskim gronie.

– A cóż to ma znaczyć?

– Tak będzie taktowniej. Przede wszystkim względem ciebie i twojej godności osobistej. Poza tym może akurat uda nam się wreszcie wyciągnąć z ciebie trochę prawdy. – Złośliwy uśmiezek. – Bo wtedy Leonardowi byłoby łatwiej ustalić ogólny plan obrony. Dobrze mówię, Leonard? Nie za dużo powiedziałem?

– Nie, nie. W sam raz – mówi Leonard.

– I przy okazji będziemy mogli zastanowić się trochę głębiej nad tym, czy jest w twoim

interesie zatrudnić własnego przedstawiciela prawnego – ciągnie Bunny. – Na przykład w sytuacji, gdy sprawa przyjmie niepomyślny obrót, gdy nasi ponadpartyjni wyjdą na paluszkach z sali, a tak bywa całkiem często, i rzuca cię, i nas też, na pastwę ślepej Temidy.

– A nie lepiej wynająć ninję? – proponuję.

Mój żarcik nie zostaje zauważony. Albo zostaje, lecz jako dowód, że jestem dziś wyjątkowo źle usposobiony.

– W każdym razie Cyrk ma dla ciebie listę możliwych kandydatów... powiedzmy, akceptowalnych kandydatów... Leonardzie, chyba mówiłeś mi, że bardzo chętnie pomożesz Peterowi w tym wyborze, jak przyjdzie co do czego. Oczywiście mamy nadzieję, oczywiście wznosimy modły, żeby nie przyszło. – To z pełnym szacunku uśmiechem pod adresem kolegi.

– Ależ oczywiście. Sęk w tym, że adwokatów, którzy mają prawo działać na takim poziomie tajności, nie ma znowu tak wielu. Według mnie najlepiej prezentuje się Harry, wiesz przecież – mówi Leonard. – Zaraz zostanie radcą królewskim, sędziowie go uwielbiają. Dlatego nie chcę się wtrącać, ale osobiście polecałbym Harry'ego. Poza tym to facet, a sędziowie zawsze wołają, żeby faceta bronił facet. Sami nie zdają sobie z tego sprawy, ale tak jest.

– A kto mu płaci? – pytam. – Albo jej?

Leonard uśmiecha się do swych dłoni. Odpowiada Bunny:

– No cóż, Peter, ogólnie rzecz biorąc, będzie to zależało od tego, jak ci pójdzie przed komisją. Od tego, jak się przed nią zachowasz i czy wykazesz się poczuciem obowiązku i lojalnością względem byłego pracodawcy.

Leonard jednak tego nie słyszy. Wiem, że nie słyszy, bo tak uparcie wciąż uśmiecha się do własnych dłoni.

– No, Peter – mówi Bunny tonem sugerującym, że teraz przechodzimy do łatwiejszych spraw. – Tak czy nie? – Mruży oczy. – Między nami, mężczyznami. Przeleciałeś „Tulipan”? Czy nie przeleciałeś?

– Nie.

– Na pewno?

– Na pewno.

– Absolutnie i na pewno nie? Tu i teraz, z tego miejsca, w obliczu wiarygodnego świadka?

– Wybacz, Bunny. – Leonard unosi dłoń gestem przyjacielskiej wymówki. – Mam wrażenie, że to nie jest zbyt profesjonalne. Z punktu widzenia moich powinności względem sądu i dla dobra prawnych interesów mojego klienta w żadnym wypadku nie można mnie traktować jako świadka.

– W porządku. A więc jeszcze raz się pytam. Ja, Peter Guillam, nie przeleciałem podródką „Tulipan” w praskim hotelu Balkán w wieczór poprzedzający wywiezienie jej do Zjednoczonego Królestwa. Prawda czy fałsz?

– Prawda.

– I przyjmujemy twoje zapewnienie z ulgą, jak zapewne się domyślasz. Tym bardziej że na ogół przelatywałeś wszystko, co się dało.

– Tak. Z ogromną ulgą – potakuje Leonard.

– Z tym większą jeszcze, że podstawową regułą Agencji, która tak wielu ich przecież nie posiada, jest to, by nasi oficerowie nigdy, przenigdy nie przelatywali swoich źródeł, jak je nazywacie. Żeby nawet z uprzejmości ich nie przelatywali. Cudze źródła, oczywiście, wolna droga, jeśli tylko jest to operacyjnie uzasadnione. Ale nasze nie. Czy jesteś świadomy tej reguły?

– Jestem.

– A wtedy też byłeś?

– Tak.

– I zgodziłbyś się, że gdybyś ją jednak wtedy przeleciał, choć wiem, że nie przeleciałeś, stanowiłoby to nie tylko niesłychane naruszenie dyscypliny służbowej, ale również byłoby dowodem, że jesteś człowiekiem podejrzanym i bez hamulców, gotowym wykorzystać nieszczęsną, znajdującą się w śmiertelnym niebezpieczeństwie matkę, którą właśnie rozdzielono z jej jedynym dzieckiem? Zgadzasz się z tym stwierdzeniem?

– Zgadzam się z tym stwierdzeniem.

– Leonardzie, masz jakieś pytanie?

Leonard opuszkami palców lekko miętosi swą śliczną dolną wargę i uśmiecha się niepowodującym zmarszczek uśmiechem.

– Wiesz co, Bunny? Nie gniewaj się, ale chyba nie – usprawiedliwia się i uśmiecha z niedowierzaniem. – Po tym, co tu usłyszałem, nie mam więcej pytań. Na razie powiedzieliśmy sobie wszystko, co mogliśmy powiedzieć. A może nawet trochę więcej. – Na koniec mówi do mnie, bardzo konfidencjonalnie: – Peter, przyślę ci tę listę. Nie słyszałeś, że polecałem Harry’ego. Albo może podrzucę ją Bunny’emu. Żeby nie było matactwa – wyjaśnia, obdarzając mnie jeszcze jednym czułym uśmiechem i sięgając po czarną teczkę, przez co daje mi do zrozumienia, że spotkanie, które zapowiadało się na bardzo długie, właśnie dobiegło końca. – Ale dalej uważam, że lepszy będzie facet – rzuca jeszcze mimochodem nie do mnie, lecz do Bunny’ego. – Jak zaczynają się trudne pytania, mężczyznom jest zawsze łatwiej. Bo są mniej purytańscy. To do widzenia na imprezie przed komisją. *Tschüss*.

\*

Czy ją przeleciałem? Cholera: nie przeleciałem. Przez sześć godzin, bez słowa i w ciemności, kochałem się z nią w takim napięciu i z taką dozą pożądania, jakie mogły powstać między dwoma ciałami pragnącymi się od urodzenia i mającymi na to tylko jedną noc.

I ja mam o tym teraz mówić? To pytanie rzucam w pomarańczowo zabarwiony mrok, leżąc i nie mogąc zmrużyć oka na więziennej prycy na Dolphin Square.

Ja – człowiek, którego od kołyski uczono tylko wszystkiemu zaprzeczać, zaprzeczać, zaprzeczać. Którego uczyła tego ta sama Firma pragnąca teraz wydobyć ode mnie to wyznanie.

\*

- Dobrze spałeś, Pierre? Jest ci dobrze? Wygłosiłeś piękną mowę? Wracasz dzisiaj? Chyba musiałem sam do niej zadzwonić.
- Jak się ma Isabelle? – pytam.
- Jest śliczna. Tęskni za tobą.
- A tamten nie wrócił? Ten mój nieuprzejmy znajomy?
- Nie, Pierre. Twój znajomy terrorysta nie wrócił. Znowu byłeś z nim na meczu?
- Już nie chodzimy na mecze.

## 9

W aktach nie widziałem – dzięki Bogu – żadnych informacji o ciągnących się w nieskończoność nocach i dniach, które spędziłem w Bretanii po przekazaniu Doris w ręce Joego Hawkesbury’ego, naszego paryskiego rezydenta, o siódmej rano w mglisty zimowy dzień na lotnisku Le Bourget. Kiedy nasz samolot wylądował i usłyszałem głos wołający „państwa profesorostwa Lessifów”, ulga, która mnie ogarnęła, miała w sobie coś z obłądu. Serce biło mi jak oszalałe, gdy oboje szliśmy po schodkach i zobaczyłem w dole Hawkesbury’ego w czarnym roverze na tablicach konsularnych i na tylnym siedzeniu jego młodą sekretarkę z rezydentury.

– A co będzie z Gustavem? – zapytała Doris, chwytając mnie za rękaw.

– Wszystko będzie dobrze. Uda się – powiedziałem w pełni świadom, że jak papuga powtarzam tylko czcze obietnice Aleca.

– Kiedy?

– Jak tylko się da. To porządni ludzie. Zobaczysz. Kocham cię.

Dziewczyna od Hawkesbury’ego już otwierała nam drzwi samochodu. Czy mnie usłyszała? Czy słyszała mój idiotyczny wybuch, słowa wypowiedziane przez kogoś drugiego, kto we mnie tkwił? Wszystko jedno, czy znała niemiecki czy nie – każdy głupi wie, co znaczy *Ich liebe dich*. Pchnąłem Doris, by wsiadła pierwsza. Gwałtownie opadła na tylne siedzenie. Dziewczyna wskoczyła za nią i zatrzasnęła drzwi. Ja usiadłem z przodu, obok Hawkesbury’ego.

– Przyjemny lot? – zapytał, gdy ruszyliśmy za jeepem z włączonym kogutem.

Wjechaliśmy do hangaru. W półmroku przed nami stał dwusilnikowy samolot RAF-u z powoli obracającymi się śmigłami. Dziewczyna wyskoczyła z auta. Doris ani drgnęła. Szeptała do siebie po niemiecku, ale nie rozumiałem co. Moje szalone słowa nie zrobiły chyba na niej żadnego wrażenia. Może ich nie usłyszała. Dziewczyna usiłowała ją wyciągnąć z auta, lecz bez skutku. Usiadłem obok niej i wziąłem ją za rękę. Wcisnęła głowę w moje ramię. Hawkesbury przyglądał się nam w lusterku wstecznym.

– *Ich kann nicht* – szeptała.

– *Du musst*. Wszystko będzie dobrze. *Ganz ehrlich*. Naprawdę.

– *Du kommst nicht mit?* A ty nie lecisz ze mną?

– Później dojadę. Najpierw musisz z nimi porozmawiać.

Wysiadłem z samochodu i wyciągnąłem do niej rękę. Zignorowała mnie, wysiadła o własnych siłach. Nie, na pewno mnie nie słyszała, to niemożliwe. Zamaszystym krokiem podeszła do nas kobieta w mundurze pilota z jakimiś papierami w ręce. Wzięta między dziewczynę od Hawkesbury’ego i pilotkę, Doris pozwoliła się poprowadzić do samolotu. Gdy dotarła do schodków, zatrzymała się, spojrzała w górę i zaczęła się wspinać po drabince przy skrzydle, pomagając sobie obiema rękami. Czekałem, że może się obejrzy. Zatrzasnęły się drzwi samolotu.

– No i po sprawie – powiedział dziarsko Hawkesbury, wciąż nie odwracając się w moim kierunku. – Z centrali kazali ci przekazać, że brawo, że się spisałeś, a teraz wracaj do siebie do Bretanii, odpoczywaj i czekaj, aż cię wezwą. Podrzucić cię na dworzec Montparnasse?

– Dziękuję, może być Montparnasse.

Nawet nie wiesz, kolego, że choć tak cię kochają w Komitecie Sterującym, nie przeszkodziło to Billowi Haydonowi zaproponować mi twoją posadę.

\*

Nawet dziś nie potrafiłbym opisać tych wszystkich sprzecznych uczuć, które kłębiły się we mnie po powrocie do gospodarstwa niezależnie od tego, czy właśnie prowadziłem traktor, rozrzucam gnój albo w inny sposób dawałem poznać, że pańskie oko konia tuczy. To napawałem się na nowo wspomnieniami tamtej nocy, zbyt fantastycznymi, by je wypowiedzieć; to znów nie mogłem wyjść z podziwu nad własną nieostrożnością i nieodpowiedzialnością, nad tym, co zrobiłem i co powiedziałem – i czego nie powiedziałem.

Biorąc sobie za świadków ciszę i mrok, w których rozegrały się nasze uściski, usiłowałem sobie wmówić, że to wszystko wydarzyło się wyłącznie w moich myślach i było złudzeniem wywołanym przez strach, że czeska bezpieka wyważy zaraz drzwi do naszego pokoju. Ale wystarczyło mi jedno spojrzenie na ślady jej palców pozostawione na mojej skórze, by wiedzieć, że tylko się w ten sposób oszukuję.

I na pewno nie wyobraźnia podsunęła mi obraz chwili, gdy wraz z nastaniem świtu, wciąż nie zamieniwszy ze mną ani słowa, powoli odsłaniała jedną za drugą część swojego ciała, aż stanęła przede mną naga i wyprostowana, tak jak wtedy, na bułgarskiej plaży, a potem po kolei zakrywała się z powrotem eleganckimi francuskimi ciuchami. Po chwili mogłem już tylko pożądać jej biznesowej spódnicy i zapiętej pod szyją bluzki – i pożądałem jej jeszcze bardziej i jeszcze rozpaczliwiej.

Kiedy się ubierała, z jej twarzy powoli zniknął wyraz triumfu i pożądania i z jej inicjatywy staliśmy się sobie na nowo obcy – najpierw w autobusie na praskie lotnisko, gdy umknęła mi ręki, później w samolocie do Paryża, zwłaszcza że z nieznanym mi powodów umieszczono nas w różnych rzędach, aż do chwili gdy samolot się zatrzymał, wstaliśmy, ruszyli w kolejce do wyjścia i wtedy nasze dłonie jeszcze raz się złączyły, ale tylko po to, by znów się rozdzielić.

Podczas uciążliwej podróży do Lorient – w tamtych czasach we Francji nie było jeszcze TGV – przytrafiło mi się coś, co do dziś budzi we mnie przerażenie, gdy pomyślę o tym, co wkrótce potem się wydarzyło. Ledwo godzinę po wyjeździe z Paryża pociąg zatrzymał się nagle. Długo nie było wiadomo dlaczego. W pewnej chwili usłyszeliśmy stłumione głosy i pojedynczy niewyjaśniony krzyk – do dziś nie wiem, czy męski czy kobiecy. Czekaliśmy dalej. Niektórzy wymieniali spojrzenia, inni uparcie wczytywali się w książki i gazety. Wreszcie w drzwiach wagonu pojawił się konduktor w mundurze, chłopak niespełna dwudziestoletni. Doskonale pamiętam ciszę zapadłą przed jego dobrze już przećwiczonym przemówieniem, które wygłosił z przynoszącym mu zaszczyt spokojem po wzięciu głębokiego oddechu:

– Szanowni państwo, z przykrością muszę państwa powiadomić, że nasza podróż została przerwana przez czynnik ludzki. Ruszymy znów za kilka minut.

To nie ja, lecz wyglądający na naukowca starszy pan z białym sztywnym kołnierzykiem podniósł głowę i spytał obcesowo:

– Jaki czynnik ludzki?

– Samobójstwo, monsieur.

– Czyje?

– Jakiegoś mężczyzny, proszę pana. Wydaje się, że to mężczyzna.

W kilka godzin po przyjeździe do Les-Deux-Églises poszedłem nad zatoczkę, nad moją zatoczkę, moje miejsce pocieszenia. Najpierw mozolne zejście trawiastym zboczem na granice mojej ziemi, później równie męczące ścieżką wzdłuż klifu, u którego podstawy leży mały spłachetek piasku, z obu stron ograniczony przez niskie skały przypominające drzemiące krokodyle. Przychodziłem tu zawsze, od dziecka, gdy chciałem coś przemyśleć. Potem przez wiele lat przyprowadzałem tu moje kobiety – moje miłości, półmiłości, ćwierćmiłości. Żadnej jednak nie pragnąłem tak jak Doris. Drwiłem sam z siebie, że przecież nie odbyłem z nią ani jednej rozmowy, która nie byłaby częścią przykrycia. Ale czy przez cały ostatni rok nie dzieliłem z nią pośrednio każdej godziny jej życia, jej snu i jawy? Czy nie reagowałem na jej każdy ruch, każdy odruch czystości i żądz, buntu i zemsty? Niech mi ktoś wskaże drugą kobietę, którą znałem tak długo i tak blisko, nim się z nią przespałem.

To ona dała mi siłę. To ona zrobiła mnie tym, kim jeszcze nigdy nie byłem. Przez tyle lat niejedna kobieta mówiła mi – delikatnie, brutalnie albo po prostu z rozczarowaniem – że nie nadaję się do seksu, bo nigdy nie daję ani nie biorę całym sobą, że jestem niezdarny, zahamowany; że brak mi prawdziwego instynktownego ognia.

Ale Doris wiedziała to, jeszcze zanim objęliśmy się pierwszy raz. Wiedziała to już przy pierwszych błyskawicznych spotkaniach i kiedy brała mnie nagiego w ramiona, kiedy mnie witała, rozgrzeszała, odkrywała. Później otaczała mnie sobą, aż staliśmy się najpierw starymi przyjaciółmi, potem czułymi kochankami i wreszcie triumfującymi buntownikami uwolnionymi od wszystkiego, co władza miała czelność uzurpować sobie nad nami.

*Ich liebe dich.* Powiedziałem, co myślałem. Zawsze będę tak myślał. I kiedy wrócę do Anglii, znów jej to powiem, i powiem George’owi, że jej to powiedziałem, i powiem mu jeszcze, że już dosyć mu służyłem, nawet więcej niż dosyć, i że jeżeli przyjdzie mi porzucić Firmę, aby ożenić się z Doris i walczyć o Gustava, to porzucę. Wytrwam w tym postanowieniu i na nic się nie zdadzą najpiękniejsze nawet argumenty George’a.

Ale gdy tylko podjąłem tę ważną i nieodwracalną decyzję, zaczęła mnie dręczyć świadomość dobrze udokumentowanej rozwiązłości Doris. Czy na tym polega jej sekret? Na tym, że kochała się z wszystkimi swoimi mężczyznami z takim samym, nieczyniącym żadnej między nimi różnicy oddaniem? Już byłem wręcz gotowy uznać, że przede mną był Alec – w końcu, na miłość boską, spędzili razem całe dwie noce! No dobrze, pierwszej nocy był z nimi jeszcze Gustav. Ale ta druga noc w trabancie, gdy ogrzewali się nawzajem – spała z głową na jego ramieniu, sam to powiedział! – gdy ona otwierała przed nim duszę, a może nie tylko duszę?... A tymczasem ja, zwykły kurier, mogłem policzyć na palcach jednej ręki wszystkie słowa, które zamieniliśmy ze sobą przez całe życie.

I znowu: ledwie wywołałem ducha tej jej wyimaginowanej zdrady, od razu wiedziałem,

że się okłamuję, to zaś sprawiało, że czułem jeszcze większy wstyd. Alec był zupełnie inny. Gdyby to Alec, nie ja, spędzał noc z Doris w hotelu Balkán, siedziałby w kącie pokoju i spokojnie paliłby papierosa za papierosem. Tak samo jak tamtej nocy pod Chociebużem, gdy Doris trzymała w ramionach nie Aleca, lecz Gustava.

Ciągle jeszcze wpatrywałem się w morze, snując te swoje beznadziejne rozważania, gdy zorientowałem się, że nie jestem sam. Zajęty swoimi sprawami nie zauważyłem nawet, że jestem śledzony. I co gorsza, że śledzi mnie najmniej przyjemny członek naszej tutejszej społeczności – Honoré, obleśny karzeł, handlarz nawozem, używanymi oponami i jeszcze gorszymi rzeczami. Wyglądał jak złośliwy gnom, złośliwy i złowrogi – krępy, szeroki w barach, o diabelskich rysach, ubrany w bretoński beret i bluzę. Siedział na skraju klifu, machał nogami i patrzył w dół.

Zawołałem do niego. Zapytałem – dość pogardliwie – w czym mogę mu pomóc. Oczywiście chciałem dać mu w ten sposób do zrozumienia, że powinien odejść i zostawić mnie sam na sam z moimi myślami. W odpowiedzi zsunął się szybko w dół po klifie i nie zaszczyciwszy mnie choćby spojrzeniem, rozsiadł się na jednej ze skał wychodzących w morze. Zapadał zmrok. Po drugiej stronie zatoki jedno po drugim zapalały się światła Lorient. Po chwili karzeł podniósł głowę i wbił we mnie wzrok, jakby o coś pytał. Nie otrzymawszy odpowiedzi, wyciągnął z czeluści bluzy jakąś butelkę, nalał z niej do dwóch papierowych kubków wyciągniętych z drugiej kieszeni, po czym przywołał mnie gestem. Usłuchałem z grzeczności.

– Myślisz o śmierci? – zapytał obojętnie.

– Na pewno nie świadomie.

– O kobiecie? O kolejnej kobiecie?

Zignorowałem go, ale dziwnie uderzyła mnie jego niezrozumiała uprzejmość. Czy to coś nowego? Czy tylko do tej pory tego nie zauważyłem? Uniósł kubek, więc przepiłem do niego. W Normandii nazywają ten trunek calvados, ale u nas, w Bretanii, mówimy na to lambig. Wersja, którą częstował mnie Honoré, nadawała się chyba do zmiękczenia końskich kopyt.

– Za twojego świętego ojca – powiedział, patrząc w morze. – Za wielkiego bohatera ruchu oporu. Bo tylu szkopów nazabijał.

– Tak mówią – odpowiedziałem ostrożnie.

– Dostał kupę medali.

– Kilka.

– Pastwili się nad nim. A potem go zabili. Podwójne bohaterstwo. Brawo – powiedział, upił kolejny łyk, nie przestając spoglądać w wodę. – Mój ojciec też był bohaterem – ciągnął.

– Wielkim bohaterem. Największym. Większym od twojego. Tak o dwa metry.

– Co robił?

– Kolaborował ze szkopami. Nagadali mu, że jak wygrają wojnę, to Bretania będzie niepodległa. A ten dupek im uwierzył. Wojna się skończyła, bohaterowie ruchu oporu powiesili go na rynku, a raczej na tym, co z rynku zostało. Kupę ludzi przyszło patrzeć. Bili brawo. Niosło się po całym miasteczku.

Czy on też wtedy to słyszał? Czy zatykał sobie uszy, kryjąc się w piwnicy kogoś, kto zachował resztki ludzkich uczuć? Miałem wrażenie, że właśnie tak było.



– Ty lepiej u kogo innego kupuj teraz końskie łajno – mówił dalej. – Żeby cię przypadkiem nie powiesili.

Czekał, abym coś powiedział, lecz nic nie przyszło mi do głowy, więc znów dołał nam do kubków i dalej razem gapiliśmy się w morze.

\*

W tamtych czasach miejscowi jeszcze grali w bule na wiejskim rynku, potem pili i śpiewali bretońskie piosenki. Ponieważ bardzo chciałem zachowywać się tu jak człowiek normalny, piłem z nimi cydr i słuchałem mrozących krew w żyłach historii, które opowiada się tutaj zamiast plotek. O kierowniku poczty i jego żonie, którzy zamknęli się u siebie na pięterku i nie chcą wyjść, bo syn im się zabił. O naszym poborcy podatkowym, którego opuściła żona, bo jego ojciec ma demencję i zaczął schodzić na śniadanie, kompletnie ubrany, o drugiej w nocy. O mleczarzu z sąsiedniej wioski, który poszedł do więzienia, bo sypiał z własnymi córkami. Staralem się zawsze kiwać głową w odpowiedniej chwili – ale dręczące mnie pytania mnożyły się i narastały.

\*

„Na miłość boską! Czemu tak łatwo nam poszło?”

Dlaczego wszystko zadziało jak w zegarku, podczas gdy w każdej operacji, z którą miałem cokolwiek wspólnego, wszystko było nie tak, nawet jeżeli jakoś w końcu się udawało?

Pracowniczka Stasi ucieka do sąsiedniego państwa policyjnego, w którym aż roi się od kapusiów. Czeska bezpieka zwykle działa skutecznie i brutalnie. A tymczasem zamiast nas obserwować, śledzić, podsłuchiwać czy przesłuchać, grzecznie poprowadzili nas do samolotu.

Poza tym niech mi ktoś powie, od kiedy to wywiad francuski jest taki bezbłędny. Przecież z tego, co zawsze słyszałem, oni tylko się żrą między sobą. Niekompetentni, zinfiltrowani od góry do dołu – czy to mi czegoś nie przypomina? A tu nagle takie mistrzostwo świata... Serio?

Skoro naprawdę zaczynałem mieć takie podejrzania – a zaczynałem, i to całkiem na poważnie – cóż miałem robić? Wyspowiadać się Smileyowi? A potem poddać się i złożyć wymówienie?

Całkiem prawdopodobne, że w tej samej chwili Doris była przesłuchiwana w jakiejś wiejskiej twierdzy. Czy opowiadała im właśnie o naszej upojnej nocy? W końcu dyskrecja w sprawach sercowych nie była jej najsilniejszą stroną.

A jeżeli przesłuchujący zaczną podejrzewać, tak jak ja, że ucieczka przez NRD i Czechosłowację poszła trochę za łatwo, to jakie wyciągną wnioski? Że to wszystko było na niby? Że nam ją podstawili, że jest podwójną agentką, pionkiem w grze o bardzo wielką stawkę? I że Peter Guillam, głupiec nad głupcami, przespał się z wrogiem? Powoli sam zaczynałem w to wierzyć, gdy o piątej rano zatelefonował do mnie Oliver Mendel i powołując się na George'a, kazał mi jak najszybciej stawić się w Salisbury. Nie powiedział ani: „Jak się masz, Peter”, ani: „Przepraszam, że cię wyciągam z łóżka o takiej pogańskiej

porze”. Tylko: „Synu, George kazał ci powiedzieć, że masz wziąć dupę w troki i w te pędy stawić się w Obozie numer 4”.

Obóz nr 4 to konspiracyjny ośrodek Komitetu Sterującego w New Forest.

\*

Wciskając się na ostatnie wolne miejsce małego samolotu odlatującego z Le Touquet, oczyma wyobraźni już widzę oczekujący mnie sąd kapturowy. Doris przyznała się, że jest podwójną agentką. Nasza upojna noc była elementem jej gry.

Potem jednak do głosu dochodzi moje drugie ja. Toż to wciąż ta sama Doris! Przecież ty ją kochasz! Powiedziałeś jej, że ją kochasz, może ci się tylko wydaje, ale to i tak prawda. Nie sądz tylko dlatego, że sam zaraz będziesz sądzony!

Kiedy ląduję w Lydd, już w ogóle nie wiem, co o tym wszystkim myśleć. Dojeżdżam na stację Salisbury – dalej nic. Tyle tylko że zdążyłem trochę się pogłowić nad tym, dlaczego na miejsce rozmowy z Doris wybrano właśnie Obóz nr 4. Jak na Cyrkowe zwyczaje nie jest to zbyt dobrze zakamuflowana wysepka w naszym konspiracyjnym archipelagu. Na papierze nie wygląda nawet tak źle: niewielka posiadłość w samym sercu pięknej głuszy. Nisko położonego dwupiętrowego dworku z drogi nie widać, mur wokół ogrodu, strumyczek, stawek, cztery hektary ziemi, część to las. A wokół tego wszystkiego dwumetrowa siatka pozarastana krzakami.

Ale żeby właśnie tam odbierać raport od wartościowej agentki, dopiero kilka dni temu wyrwanej z paszczy Stasi, jej byłego pracodawcy? George na pewno był zdania, że to trochę niepoważne i zbyt na widoku. I na pewno by wybrał co innego, gdyby cała operacja nie leżała w gestii Komitetu.

Na stacji w Salisbury czekał na mnie kierowca imieniem Herbert, którego pamiętałem z czasów, gdy pracowałem w sekcji werbunkowej. Stał, trzymając napis: „Pasażer do Barraclougha” – to jeden z operacyjnych pseudonimów George’a. Kiedy zacząłem swobodną pogawędkę, powiedział, że nie został uprawniony do rozmów ze mną.

Wjechaliśmy na długi dziurawy podjazd. Wstęp surowo wzbroniony. Zwieszające się nisko gałęzie lip i klonów szorowały po dachu furgonetki. W cieniu zamajaczyła sylwetka, której się tu nie spodziewałem: Fawn, imię nieznane, były instruktor walki wręcz z Sarratt, od czasu do czasu wynajmowany przez Operacje Tajne, kiedy trzeba się było uciec do rozwiązań siłowych. Co tu robił Fawn, skoro Obóz nr 4 mógł się poszczycić posiadaniem własnych goryli, osławionej pary pedałów, Harpera i Lowe’a? Potem przypomniałem sobie, że George zawsze miał słabość do Fawna i używał go do różnych podejrzanych zadań.

Kierowca podjechał do niego, Fawn zaglądnął do środka, nawet się nie uśmiechnął, tylko skinieniem głowy kazał jechać dalej. Alejka się wznosiła. Otworzyła się solidna drewniana brama; zamknęła się za nami, gdy tylko wjechaliśmy do środka. Po prawej główny budynek, dworek w stylu pseudotudorowskim postawiony dla jakiegoś browarnika. Po lewej wozownia, parę blaszanych baraków i majestatyczna, kryta strzechą obora, powszechnie zwana Ruderą. Na podwórku parkowały trzy fordysy zephyr i czarna furgonetka, też ford. Przed nimi stał jeden tylko człowiek z krótkofalówką przy uchu: Oliver Mendel, emerytowany inspektor policji i wieloletni sojusznik George’a.

Wydobynam się z auta, wyciągam plecak.

– Cześć, Oliver, dojechałem! – krzyczę.

Ale Oliver Mendel ani drgnie, tylko mruży coś do krótkofalówki i przygląda mi się, gdy idę w jego stronę. Chcę się z nim przywitać, lecz rezygnuję. Oliver mruży: „Dobrze, George”. I wyłącza radio.

– Peter, na razie nasz znajomy jest trochę zajęty – mówi z powagą. – Mieliśmy tu mały incydent. Chodź, przejdziemy się.

Zaczynam rozumieć. Doris wszystko powiedziała. Wszystko, łącznie z *Ich liebe dich* i tak dalej. George jest zajęty, czyli wściekły, pełen obrzydzenia i rozczarowany własnym uczniem, który tak go zawiódł. Nie może się zmusić do rozmowy ze mną, więc nakazał swojemu wiernemu inspektorowi Mendelowi, żeby urządził smarkaczowi dziką awanturę i pewnie wysłał go do wszystkich diabłów. Ale po co mu jeszcze Fawn? I dlaczego wszystko wokół wygląda tak, jakby ktoś wyjeżdżał stąd w wielkim pośpiechu?

Idziemy w górę po trawniku. W końcu stajemy naprzeciw siebie; na pewno o to chodziło Mendelowi. Obaj patrzymy przed siebie, tylko nie wiem na co. Na te dwie srebrzyste brzoźki? Na tamten stary gołębnik?

– Peter, mam dla ciebie smutną wiadomość.

Teraz się dowiem.

– Bardzo mi przykro, że muszę ci to powiedzieć. Podźródło „Tulipan”, kobieta, którą udało ci się wywieźć z Czechosłowacji, została dziś uznana za zmarłą.

\*

A ponieważ nikt tak naprawdę nie pamięta, co powiedział w takiej chwili – ja też nie pamiętam – nie będę zmyślał, że pozwoliłem sobie na okrzyk rozpacz, przerażenia czy niedowierzania. Tyle wiem, że nagle przestałem widzieć. Nie widziałem już ani brzoźek, ani gołębnika. Wiem, że było słonecznie i ciepło jak na tę porę roku. Wiem, że chciało mi się wymiotować, ale tyle mam w sobie zahamowań, że udało mi się powstrzymać. Wiem, że poszedłem za Mendelem do zapadłego domku letniego w najbardziej wysuniętym na południe krańcu posiadłości, zasłoniętego od domu gęstym cyprysowym zagajnikiem. I że gdy zasiedliśmy na spróchniałej werandzie, mieliśmy widok na zarośnięte boisko do krokieta, bo pamiętam, że z trawy sterczały zardzewiałe pałeczki.

– No niestety, synu. Śmierć przez powieszenie – mówił Mendel, wygłaszając formułę wyroku śmierci. – Z własnej ręki. Powiesiła się na niskiej gałęzi tam, po drugiej stronie zbocza, koło kładki. Punkt dwieście siedemnaście na mapie. Doktor Ashley Meadows stwierdził zgon o godzinie ósmej dwadzieścia.

Ash Meadows, modny psychiatra z Harley Street, jeden z nie wiadomo skąd wytrzaśniętych kumpli George’a. Od czasu do czasu udzielał się w Cyrku, najczęściej gdy jakiś agent miał nerwicę.

– Ash tu jest?

– Jest. Przy niej.

Powoli trawiłem to, czego się dowiedziałem. Doris nie żyje. Jest z nią Ash. Lekarz pełni wartę przy zmarłej.

– Zostawiła jakiś list? Nic nikomu nie powiedziała?

– Po prostu wzięła i powiesiła się, synu. Gdzieś tutaj musiała znaleźć nylonową plecionkę. Wystarczyły jej niecałe trzy metry. Pewnie ktoś zapomniał zabrać po szkoleniu wspinaczkowym. Osobiście uważam, że to karygodne zaniedbanie.

– Ktoś już powiedział Alecowi? – zapytałem, bo natychmiast pomyślałem o jej głowie spoczywającej na jego ramieniu.

Znowu obudził się w nim policjant.

– Synu, George powie twojemu kumplowi Alecowi Leamasowi dokładnie tyle, ile Alec musi wiedzieć, i wtedy, kiedy Alec będzie musiał się dowiedzieć. Ani chwili wcześniej. I to George decyduje, kiedy mu powie. Zrozumiano?

Zrozumiano: Alec wciąż myśli, że dzięki niemu „Tulipan” bezpiecznie dotarła na miejsce.

– A gdzie on teraz jest? Nie Alec, tylko George? – spytałem jak idiota.

– Tak się składa, że w tej chwili George zajęty jest rozmową z przypadkiem napotkanym turystą ze Szwajcarii. Biedaczek złapał się w sidła na naszym terenie. Wyobraź sobie, jakiś bezczelny kłusownik zastawił tutaj potrzask. Pewnie na jelenia. Taki zardzewiały, leżał w wysokiej trawie. Sam nie wiem jak długo. Ale sprężyna była w porządku, a te szczęki podobno mało mu nogi nie ucięły. Czyli w sumie miał szczęście. – A że ja dalej nic nie mówiłem, ciągnął tym samym swobodnym tonem: – Ten Szwajcar to jakiś ornitolog hobbista. Ja to rozumiem, sam trochę podglądam ptaki. Bo on właśnie po to tu przyszedł. Nie wiedział, że komuś wchodzi w szkodę, ale skoro tak, to bardzo tego żałuje. Też bym żałował. Między nami mówiąc, największy szok jest taki, że ani Harper, ani Lowe niczego nie znaleźli, a przecież ciągle obchodzą cały teren. Mieli szczęście, że sami w to nie wdepnęli.

– A dlaczego George gada z nim akurat teraz? – Pewnie chodziło mi o to, że jak to, w takiej chwili?

– Z tym turystą? No cóż, synu, w końcu to świadek zdarzenia, prawda? Ten dżentelmen ze Szwajcarii. Czy chce, czy nie. Był tu, na terenie, kiedy to się stało. Pewnie zablądził, zdarza się, jak się człowiek zagapi na ptaki. Jak pech, to pech. A George oczywiście chce się przekonać, czy on widział albo słyszał coś, co mogłoby rzucić trochę światła na całą sprawę. Może biedna „Tulipan” coś mu powiedziała? W końcu, jak się dobrze zastanowić, sytuacja jest delikatna. Jesteśmy na terenie objętym tajemnicą państwową, „Tulipan” nawet nie była oficjalnie w kraju. Można powiedzieć, że ten dżentelmen ze Szwajcarii wpadł jak śliwka w kompot. Trzeba się dobrze zastanowić, co dalej.

Niby słuchałem, co mówi, ale nic nie słyszałem.

– Muszę ją zobaczyć, Oliver – powiedziałem.

Nawet się nie zdziwił. Odparł:

– To nie ruszaj się stąd, synu, zapytam się góry. Ale ani kroku.

To powiedziawszy, odszedł na zarośnięty trawnik boiska do krokietu i znowu zamruczał do krótkofalówki. Gdy w końcu na mnie skinął, poszedłem za nim aż przed masywną bramę Rudery. Zastukał i się odsunął. Po chwili drzwi otwały się ze skrzypieniem i stanął w nich Ash Meadows we własnej osobie, pięćdziesięcioletni były rugbista w czerwonych szelkach i koszuli w kratę. Jak zwykle palił fajkę.

– Przykro mi, stary – powiedział, robiąc mi miejsce w przejściu, więc odparłem, że mnie

też jest przykro.

Na stole pingpongowym w samym środku wielkiej obory leżała szczupła kobieta w zapiętym na zamek worku na zwłoki. Leżała na wznak, z palcami u stóp do góry.

– Biedaczka dopiero tu się dowiedziała, że nazywa się „Tulipan” – wspominał Ash obojętnym tonem, którym na pewno od dawna posługiwał się w obecności zmarłych. – Ale jak tylko się dowiedziała, za żadne skarby nie pozwoliła nikomu nazywać się inaczej. Na pewno chcesz?

Pytanie brzmiało naprawdę: czy jestem gotowy, żeby rozsunał zamek. Byłem gotowy.

Jej twarz – po raz pierwszy, od kiedy ją znałem – była bez wyrazu. Kasztanowate włosy splecione w warkocz i przewiązane zieloną wstążką. Warkocz leżał obok głowy. Oczy zamknięte. Nigdy przedtem nie widziałem, jak śpi. Na szyi szarosine plamy.

– Już, stary?

Nie czekając na odpowiedź, zasunął zamek.

\*

Wychodzę za Mendelem na świeże powietrze. Na wprost trawiaste zbocze wznosi się ku kępie drzew. Z góry jest ładny widok: na główny budynek, sosnowy las, na okoliczne pola. Ale kiedy ruszam w tamtym kierunku, Mendel natychmiast mnie zatrzymuje.

– Bardzo proszę, synu, zostajemy tu, na dole. Lepiej nie zwracać na siebie uwagi.

Chyba nic dziwnego, że nie kwestionuję słuszności tego, co powiedział.

Potem przez jakiś czas – nie powiem, ile minut, bo nie wiem – nie robimy nic, tylko snujemy się bez celu. Mendel opowiada mi o pszczołach. A potem o swoim psie ratowniczym, labradorze imieniem Poppy, za którym jego żona wprost przepada. O ile pamiętam, Poppy to pies, nie suka. I jeszcze pamiętam, że lekko się zdziwiłem, bo w ogóle nie wiedziałem, że Oliver Mendel był żonaty.

Powoli zaczynam uczestniczyć w rozmowie. Kiedy pyta mnie, jak się mają sprawy w Bretanii, czy będzie urodzaj, ile mam krów, odpowiadam precyzyjnie i przytomnie. I chyba właśnie na to czekał, bo kiedy wychodzimy na zwirową alejkę prowadzącą obok Rudery do wozowni, odsuwa się ode mnie na parę kroków i mówi coś zdawkowo do krótkofalówki. Kiedy do mnie wraca, już nie jest sympatycznym rozmówcą, tylko na nowo zwykłym gliną:

– To teraz uwaga, synu. Zaraz poznasz drugie pół całej sprawy. Zobacysz, co zobacysz, nie zareagujesz na to w żaden sposób i zachowasz milczenie na temat wszystkiego, co będzie potem. Nie ja ci to mówię, tylko George. To jego osobiste polecenie. I jeszcze jedno, synu: jeżeli przypadkiem ciągle winisz siebie za samobójstwo tej biednej kobiety, to zaraz przestań. Rozumiesz? Tego nie mówi George, tylko ja. Mówisz po szwajcarsku?

Uśmiechał się. Z pewnym zdziwieniem zorientowałem się, że ja też się uśmiecham. Cel naszej przechadzki stał się nagle złowrogi. Całkiem zapomniałem o szwajcarskim turyście. Myślałem przedtem, że Mendel opowiada mi o nim, żeby cokolwiek mówić. Dopiero teraz z całą siłą uświadomiłem sobie, co naprawdę znaczyła obecność zabłąkanego ornitologa hobbisty. Na drugim końcu przejścia stał Fawn. Za sobą miał kamienne schodki prowadzące do oliwkowozielonych drzwi z tabliczką: „Wejście grozi śmiercią lub kalectwem”.

Wspięliśmy się na stopnie. Fawn szedł pierwszy. Znaleźliśmy się na stryszku na siano. Na starych hakach wisiały na ścianach zbutwiałe końskie uprząże. Minęliśmy kilka bel zgniętego siana i dotarliśmy do „łodzi podwodnej”, bo tak nazywano specjalnie skonstruowaną izolatkę, w której uczono młodych adeptów nieprzyjemnej sztuki prowadzenia i wytrzymywania przesłuchań. Okresowe szkolenia nie mogły się obyć bez wspomnień o tych pozbawionych okien miękko wyściełanych ścianach, kajdanach na ręce i nogi czy o rozsadzających mózg efektach dźwiękowych. Drzwi były z poczemniałej stali, z judaszem, przez który można było patrzeć do wewnątrz, ale nigdy na zewnątrz.

Fawn trzyma się z daleka. Mendel podchodzi do „łodzi”, pochyla się w przód, odciąga zasuwkę, cofa się, kiwa na mnie: chodź, teraz ty popatrz. I mówi szybkim, ledwo słyszalnym szeptem:

– Bo ona wcale się nie powiesiła, rozumiesz, synu? Nasz miłośnik ptaków ją wyręczył.

Kiedy mnie tu szkolono, w środku nigdy nie było mebli. Albo leżało się na kamiennej posadzce, albo bładziło się po niej w kompletnej ciemności, podczas gdy głośniki dały się, dopóki nie można już było tego więcej znieść, albo kiedy obsługa uznała, że delikwent ma dość. Dwaj nowi lokatorzy mają tu teraz pełen luksus: stolik do gry w karty z czerwonym aksamitnym blatem i dwa całkiem porządne fotele.

W jednym z foteli siedzi George Smiley. Wygląda jak zawsze, kiedy kogoś przesłuchuje: lekko przygaszony, lekko zmartwiony – jakby życie było dla niego jednym wielkim pasmem nieprzyjemności, a przesłuchiwany jedyną osobą na świecie, która mogłaby mu je choć trochę ułatwić.

W drugim fotelu naprzeciw George’a siedzi mocno zbudowany blondyn w moim wieku ze świeżymi siniakami pod oczyma. Na jednej nodze, obnażonej i wyciągniętej w przód, ma bandaż. Skute kajdankami ręce trzyma na stole dłońmi do góry, jak żebrak.

Gdy odwraca do mnie głowę, widzę to, co spodziewałem się zobaczyć: starą szramę jak po cięciu szablą ciągnącą się wzdłuż prawego policzka.

I choć oczu nie widać mu zza sińców, wiem, że są niebieskie, bo tak napisano w protokole policyjnym, który trzy lata temu wykradłem dla George’a, gdy niemal na śmierć pobił go człowiek siedzący teraz przed nim.

Czy to przesłuchanie, czy negocjacje? Bo więźniem – jakże mógłbym zapomnieć? – jest Hans-Dieter Mundt. Były pracownik misji handlowej wschodniemieckiego przemysłu hutniczego, instytucji oficjalnej, ale bez statusu dyplomatycznego.

Podczas swojego pobytu w Londynie Mundt zabił pewnego handlarza samochodów, który trochę za dużo o nim wiedział. Potem usiłował też zabić George’a – z tego samego powodu.

A teraz ów Mundt siedzi tu, w „łodzi podwodnej” – szkolony przez KGB morderca ze Stasi udający szwajcarskiego ornitologa, który złapał się w potrzask, podczas gdy Doris, która chciała, by wszyscy nazywali ją „Tulipan”, leży martwa kilkanaście metrów stąd. Mendel ciągnie mnie za ramię. Peter, to będzie krótka jazda. George potem do nas dołączy.

– A gdzie Harper i Lowe? – pytam, gdy już siedzimy w samochodzie, bo tylko to mi przychodzi do głowy.

– Meadows wysłał Harpera do szpitala, żeby mu zeszyli twarz. Lowe go pielęgnuje. Powiedzmy, że nasz znajomy ornitolog wcale nie spotulniał, kiedy wyciągnęli go z potrzasku. Jak mogłeś zauważyć, trzeba mu było mocno pomóc.

\*

– Mam dla ciebie dwie kartki, Peter – mówi Smiley i już podaje mi pierwszą z nich.

Jest druga nad ranem. Jesteśmy sami w tym samym saloniku tego samego policyjnego bliźniaka gdzieś na skraju New Forest. Nasz gospodarz, stary znajomy Mendela, rozpałił nam węgiel w kominku, przyniósł herbaty i parę herbatników, po czym poszedł spać na górę, do żony. Nawet nie spróbowaliśmy herbaty, nie tknęliśmy herbatników. Pierwsza kartka to zwykła angielska pocztówka, bez znaczka. Widać na niej zadrapania, jakby ją ktoś przeciskał przez wąski otwór, na przykład pod drzwiami. Adresu brak. Za to tam, gdzie zwykle pisze się pozdrowienia z wakacji, widnieje wypisany granatowym atramentem i wielkimi literami niemiecki tekst:

jestem szwajcarem. pomogę ci dostać się do gustava. spotkajmy się o 1.00 przy kładce. wszystko załatwimy. chrześcijanin.

– Dlaczego czekali, aż znajdzie się w Anglii? – udaje mi się wreszcie zapytać George’a po długim milczeniu. – Dlaczego nie zabili jej w Niemczech?

– Oczywiście dlatego, żeby nie zdekonspirować swojego źródła – odpowiada Smiley tonem wyrzutu, że jestem taki tępy. – Cynk dostali z Moskwy, której oczywiście bardzo zależało na dyskrecji. Żadnych wypadków samochodowych, nic z tych rzeczy, to by było podejrzane. Znacznie lepiej, żeby to była śmierć z własnej ręki, bo to wprowadzi największy zamęt w sztykach nieprzyjaciela. Bardzo to wszystko logiczne, nie uważasz? Uważasz czy nie uważasz? Peter?

Gniew słychać tylko w żelaznym opanowaniu jego zazwyczaj łagodnego głosu, w teraz nieruchomych, a zwykle tak bardzo płynnych rysach. Ten gniew płynie z obrzydzenia do samego siebie. To gniew na potworność tego, co musi zrobić wbrew wszelkim przyzwoitym instynktom.

– Mundt ciągle używał słowa „pilnować” – ciągnie, nie czekając na odpowiedź i wcale się jej nie spodziewając. – „Pilnowaliśmy” jej w drodze do Pragi, „pilnowaliśmy” jej w Anglii, „pilnowaliśmy” jej w Obozie numer cztery. Udusiliśmy ją. Powiesiliśmy ją. Nigdy „ja”. Zawsze liczba mnoga. Powiedziałem mu, że nim gardzę. Wmawiam sobie, że zrobiło to na nim jakieś wrażenie. – I zaraz, jakby dopiero sobie przypomniał, dodaje: – A, bo drugi list jest do ciebie.

Wręcza mi złożoną na pół kartkę eleganckiej papeterii z wielkim napisem „Adrien”, tym razem zrobionym miękkim ołówkiem. Pismo jest równe i staranne. Bez niepotrzebnych zawijasów. Jakby poważna niemiecka uczennica pisała do koleżanki z Anglii. Tylko treść się nie zgadza:

*Kochany Adrien, kochany Jean-François,  
tylko Was kocham. Niech Bóg kocha Was tak samo.  
Tulipan.*

– Pytałem, czy chcesz to zachować na pamiątkę, czy wolisz spalić? – powtarza Smiley tym samym tonem lodowatego gniewu wprost w moje niesłyszające ucho. – Sugeruję to drugie. Znalazła to Millie McCraig. Było oparte o lustro w pokoju „Tulipan”.

Po czym pozornie bez emocji przygląda się, jak klękam przed kominkiem i na rozżarzonych węglach składam – jak ofiarę – wciąż zgięty na pół list od Doris. Mimo

kłębiących się we mnie burzliwych uczuć przychodzi mi na myśl, że pod względem nieszczęśliwej miłości jesteśmy sobie z George'em bliżsi, niż obaj byśmy chcieli. Ja tańczę źle. George w ogóle, jeśli wierzyć jego niewiernej żonie. Ale wciąż nie odezwałem się choćby słowem.

– W moim układzie z herr Mundtem, który właśnie zawarłem, jest kilka korzystnych warunków – ciągnie George bezlitośnie. – Na przykład sprawa nagrania z naszej rozmowy. Uznaliśmy obaj, że jego przełożeni z Moskwy i Berlina nie byłiby nim zachwyceni. I obaj zgodziliśmy się, że praca dla nas, o ile będzie dobrze prowadzona z dwóch stron, pomoże mu w karierze i awansach w Stasi. Już teraz powróci do towarzyszy w chwale zwycięstwa. Będą z niego zadowoleni i decydenci w jego Dyrektoriacie, i ci z moskiewskiego Centrum. Zaraz zwolni się posada Emmanuela Rappa, więc niech o nią wystąpi. Zapewnił mnie, że tak zrobi. Gdy będzie znaczył więcej i w Moskwie, i w Berlinie, i gdy zostanie dopuszczony do największych tajemnic, może pewnego dnia dowiemy się, kto zdradził „Tulipan” i część naszych innych agentów, którzy podejrzenie szybko zakończyli działalność. Obaj będziemy się na to z góry cieszyli, prawda?

O ile pamiętam, dalej nic nie mówię. Tymczasem Smiley ma na koniec jeszcze jedną bardzo ważną rzecz:

– Peter, tę ściśle tajną wiedzę masz tylko ty, ja i jeszcze garstka innych osób. Komitet Sterujący i w ogóle cały Cyrk muszą myśleć, że chcieliśmy za dużo, że za szybko ją sprawdzaliśmy, że nie byliśmy dość delikatni. I że dlatego się powiesiła. Tej wersji musimy się trzymać, rozgłaszać ją w centrali i poza nią. Wszędzie, gdzie działa Komitet, istnieć może tylko ta jedna wersja. Niestety dotyczy to także twojego przyjaciela Aleca Leamasa.

\*

Skremowaliśmy ją pod nazwiskiem „T. Brown”, jako urodzoną w Rosji wyznawczynię prawosławia, która uciekła przed komunizmem i wiodła samotny żywot w Anglii. Dlatego „Brown”, że – jak wyjaśniono emerytowanemu popowi, znalezionemu gdzieś przez panie z Operacji Tajnych, te same, które położyły na trumnie wiązanek tulipanów – zmieniła nazwisko, by uniknąć prześladowań ze strony komunistów. Pop od czasu do czasu też pracował dla Cyrku, więc nie zadawał zbędnych pytań. Przyszło nas sześcioro: Ash Meadows, Millie McCraig, Jeanette Avon i Ingeborg Lugg z Operacji Tajnych, Alec Leamas i ja. George musiał już być gdzie indziej. Po ceremonii panie się rozeszły, panowie poszli szukać pubu.

– Po jakiego grzyba ona to zrobiła, głupia baba? – wściekał się Alec nad szkocką, opierając głowę na dłoniach. – Namęczyliśmy się tylko jak idioci. – A potem tym samym tonem udawanej obrazy: – Gdyby mi powiedziała, że to robi, kurwa, tobym się tak nie męczył.

– Ja też nie – odpowiedziałem lojalnie, po czym wstałem, podszedłem do baru i zamówiłem jeszcze jedną kolejkę.

Kiedy wróciłem, doktor Meadows już się wymądrzał:

– Decyzje o samobójstwie wiele osób podejmuje całkiem wcześnie w życiu. Często nie zdają sobie z tego sprawy, Alec, to w nich jednak tkwi. Aż potem któregoś dnia zdarzy się



coś, co popchnie ich do działania. Coś zupełnie zwykłego, na przykład zgubią portfel w autobusie. Albo coś drastycznego, na przykład ktoś bliski im umrze. Ale zamiar jest zawsze ten sam. I ten sam rezultat.

Wypiliśmy. Zapadło milczenie, tym razem w końcu przerwane przez Aleca:

– Może wszyscy agenci to samobójcy. Niektórzy po prostu nie zdążą sami się zabić.

Biedacy. – Po chwili dodał: – A kto powie chłopakowi?

Chłopakowi? No tak, oczywiście. Miał na myśli Gustava.

– George mówi, żeby zostawić to drugiej stronie – odpowiedziałem, na co Alec mruknął:

– Jezu, co za świat! – I znów zajął się swą whisky.

## 10

Przestałem wgapiać się w ścianę biblioteki. Nelson, który zastąpił Pepsi, bardzo niepokoił się moim roztargnieniem. Grzecznie powracam więc do lektury raportu, który na rozkaz Smileya sporządziłem kiedyś w rozpaczy i z wyrzutami sumienia, nie pomijając najdrobniejszych nawet szczegółów – a wszystko po to, by zachować tajemnicę znaną tylko bardzo nielicznym.

### PODŹRÓDŁO „TULIPAN”. RAPORT I SAMOBÓJSTWO.

Prowadzący: Ingeborg Lugg (Operacje Tajne) i Jeanette Avon (Operacje Tajne).

Nadzór medyczny: dr n. med. Ashley Meadows, współpracownik Operacji Tajnych.

Sporządził i zredagował PG. Sprawdzone przez dyr. Operacji Tajnych w Marylebone do przedłożenia Komisji Nadzorczej Ministerstwa Skarbu.

Pierwsza wersja do przew. Komitetu Sterującego z prośbą o komentarz.

W Operacjach Tajnych nikt nie potrafi lepiej odbierać raportów od agentów niż Avon i Lugg: obie w średnim wieku, pochodzą z Europy Środkowej, mają wieloletnie doświadczenie operacyjne.

#### 1. Przyjęcie „Tulipan” i przewiezienie do Obozu nr 4.

Po przylocie samolotem RAF-u na lotnisko Northolt „Tulipan” nie przeszła kontroli paszportowo-celnej, a tym samym nigdy nie znalazła się oficjalnie na terytorium Zjednoczonego Królestwa. Przedstawivszy się jako „oficjalny reprezentant instytucji, która jest z niej bardzo dumna”, dr Meadows wygłosił krótką mowę powitalną w salonie dla VIP-ów w części tranzytowej i wręczył jej bukiet angielskich róż, co musiało wywrzeć na niej odpowiednie wrażenie, bo przez całą drogę przytykała je do ust bez słowa.

Następnie została przewieziona zamkniętą furgonetką do Obozu nr 4. Avon (pseud. ANNA), jako wykwalifikowana pielęgniarka o dużym uroku osobistym, siedziała z tyłu razem z „Tulipan”, zabawiając ją i usiłując nawiązać rozmowę. Lugg (pseud. LOUISA) i dr Meadows siedzieli z przodu, przy kierowcy, ponieważ uznano, że nawiązanie kontaktu przez Avon będzie ułatwione, jeżeli będą siedziały tylko we dwójkę na tylnym siedzeniu. Cała nasza trójka mówi biegle po niemiecku (poziom C2).

Podczas jazdy „Tulipan” to drzemała, to znów żywo reagowała na elementy krajobrazu, które mogłyby się spodobać jej synowi Gustawowi, kiedy przyjedzie do Wielkiej Brytanii. Mówiła o tym jako o czymś, co wkrótce nastąpi. Entuzjastycznie wskazywała też tereny i ścieżki rowerowe, gdzie będzie urządziła wycieczki, również z Gustavem. Dwukrotnie pytała o „Adriena”. Kiedy odpowiedzieliśmy, że nie znamy nikogo takiego, zaczęła wypytywać o Jeana-François. Wtedy dr Meadows poinformował ją, że jej kurier, Jean-François, ma teraz ważne obowiązki służbowe, ale na pewno kiedyś się pojawi.

Część mieszkalna skrzydła dla gości w Obozie nr 4 składa się z sypialni, salonu, aneksu kuchennego i drewnianej przeszklonej werandy dobudowanej do budynku w XIX w., wychodzącej na (nieogrzewany) basen. Wszystkie pomieszczenia – łącznie z werandą

i otoczeniem basenu – wyposażone są w ukryte mikrofony i inny sprzęt specjalny.

Zaraz za basenem znajduje się zagajnik składający się z drzew iglastych, którym obcięto część dolnych gałęzi. Przy budynku często pojawiają się sarny, które czasem wchodzi nawet do basenu. Ponieważ cały teren jest ogrodzony, sarny należą do stada mieszkającego i zdomowionego w posiadłości, co na pewno tworzy w Obozie nr 4 przyjemną, sielską atmosferę.

Po przyjeździe najpierw zapoznaliśmy „Tulipan” z Millie McCraig (ELLA), która na polecenie dyr. Operacji Tajnych od tego dnia zaczęła pełnić obowiązki gospodyni ośrodka konspiracyjnego. Również na życzenie dyr. Operacji Tajnych rozmieszczono nowe mikrofony w kluczowych punktach lokalu, natomiast zdemontowano te, które pozostały po wcześniejszych operacjach.

Mieszkanie służbowe znajduje się bezpośrednio za apartamentem gościnnym na końcu krótkiego korytarza. Oba połączone są wewnętrzną linią telefoniczną, dzięki czemu gość może wezwać pomoc o każdej porze dnia i nocy. Idąc za sugestią McCraig, w pokojach w głównym budynku zakwaterowano Avon i Lugg, przez co „Tulipan” znalazła się w czysto damskim towarzystwie.

Harper i Lowe, stała ochrona Obozu nr 4, mieszkają razem w wozowni. Obaj chętnie oddają się ogrodnictwu. Harper, który posiada ponadto wykształcenie leśnicze, opiekuje się zwierzętami mieszkającymi w posiadłości. W wozowni jest jeszcze dodatkowa sypialnia, którą zajął dr Meadows.

## 2. Raport agentki, dni 1–5.

Pierwszy etap pozyskiwania informacji był przewidziany na 2–3 tygodnie z możliwością przedłużenia, po czym mogły nastąpić sesje dodatkowe. O tym „Tulipan” nie poinformowano. Naszymi pierwszymi zadaniami była jej aklimatyzacja w ośrodku, przekonanie jej, że znajduje się wśród przyjaciół, i rozmowy na temat jej przyszłości w Anglii (z Gustavem) jako o czymś z góry przesądzonym. Z lekką dozą optymizmu mogliśmy przyjąć, że cele te zostały osiągnięte już pierwszego wieczoru. „Tulipan” poinformowano, że dr Meadows (Frank) jest jednym z kilku rozmówców zainteresowanych pewną konkretną tematyką i że co jakiś czas może się pojawiać więcej takich osób. Poinformowaliśmy ją również, że Herr Direktor (dyr. Operacji Tajnych) jest nieosiągalny z ważnych względów związanych z dr. Riemeckiem (GŁÓG) i innymi członkami siatki, ale po powrocie z radością przyjedzie ją powitać.

Ponieważ zwykle stosujemy się do reguły, że odbieranie raportu należy rozpoczynać „na gorąco”, zaraz po przybyciu źródła informacji, cały nasz zespół zebrał się na nowo następnego dnia rano o godz. 9.00 w salonie w głównym budynku. Sesja trwała z przerwami do godz. 21.05. Sprzęt nagrywający nadzorowała Millie McCraig w swoim lokalu, ona również wykorzystała tę okazję do dokładnego przeszukania apartamentu i rzeczy osobistych „Tulipan”. Zgodnie z uprzednimi ustaleniami rozmowę prowadziła Lugg (Louisa) przy pomocy Avon (Anna). Dr Meadows (Frank) wtrącał własne pytanie za każdym razem, gdy chodziło o poznanie stanu umysłu i motywacji „Tulipan”.

Mimo prób ukrycia prawdziwego celu z pozoru niewinnych pytań Franka „Tulipan” szybko się zorientowała, że są natury psychologicznej. Poinformowana, że Frank jest lekarzem medycyny, zaczęła wyśmiewać się z niego, że jest uczniem „tego wierutnego łgarza i oszusta Sigmunda Freuda”. Potem wpadła we wściekłość i oznajmiła, że w jej życiu jest tylko jeden lekarz i że nazywa się Karl Riemeck; że „Frank” jest „dupkiem” i że „jeżeli chce się jej do czegoś przydać, niech jedzie po jej syna!”. Aby uniknąć negatywnego wpływu swojej obecności, dr Meadows uznał, że najlepiej będzie, jeśli

wróci do Londynu i pozostanie w gotowości, na wypadek gdyby jednak miał być jeszcze w czymś pomocny.

Mimo podobnych chwilowych wybuchów przez następne dwa dni sesje toczyły się sprawnie i w atmosferze względnego spokoju. Co wieczór wysyłano do Marylebone kolejne taśmy z nagraniami.

Dyrektora Operacji Tajnych przede wszystkim interesował przepływ informacji sowieckiego wywiadu o celach w Wielkiej Brytanii trafiających z Moskwy do biura Rappa – choć nie był to szczególnie obszerny materiał. Wiadomo było, że dokumenty, które udało się „Tulipan” sfotografować, zwykle takich informacji nie zawierały. Może jednak czytała lub usłyszała coś na temat czynnych sowieckich źródeł, o których zapomniała albo które nie wydały się jej szczególnie ciekawe? Na przykład: czy nie natrafiła na jakiś ślad, jakieś plotki o infiltracji brytyjskiego establishmentu politycznego lub wywiadowczego? O złamaniu brytyjskich kodów i szyfrów?

Choć pytanie zadawaliśmy na najróżniejsze sposoby – i przyznać trzeba, ku jej rosnącej irytacji – nie udało nam się osiągnąć pozytywnych wyników. Mimo to w naszej opinii materiał wywiadowczy pozyskany od „Tulipan” należy ocenić jako dobry i bardzo dobry, szczególnie jeśli weźmie się pod uwagę fakt, iż pracowała w bardzo trudnych warunkach operacyjnych. Przez cały okres współpracy kontaktowała się wyłącznie z „Głogiem”, a nie bezpośrednio z rezydenturą w Berlinie. Nie zadawano jej wtedy ważniejszych konkretnych pytań, w obawie że zdradziwszy je w razie dekonspiracji i przesłuchania, ujawniłaby przeciwnikowi istotne luki w wiedzy naszego wywiadu. Teraz natomiast można było zadawać je bez ograniczeń. Chodziło między innymi o wiarygodność innych potencjalnych lub już aktywnych źródeł; o zidentyfikowanie zagranicznych dyplomatów prowadzonych przez Stasi; o wytłumaczenie przepływów tajnych funduszy, które co prawda fotografowała w biurze Rappa, ale ich odpowiednio nie rozpracowała; o lokalizację i wygląd tajnych stacji nadawczo-odbiorczych, które odwiedzała w towarzystwie Rappa, ich plany, procedury bezpieczeństwa, rozmiar, kształt i ukierunkowanie anten, jak również o ślady obecności w tych miejscach personelu sowieckiego lub pochodzącego z innych jeszcze krajów; i ogólnie o wszelkie inne informacje, które dotąd nie były przekazywane z powodu wymuszonego przez okoliczności krótkiego czasu trwania jej spotkań operacyjnych z „Głogiem”, niepełności przekazywanych danych i ograniczeń wynikających z wymogów konspiracji.

Mimo częstych objawów zniecierpliwienia, któremu dawała upust, używając niewybrednego słownictwa, „Tulipan” zdecydowanie pochlebiało, że znajduje się w centrum uwagi, i pozwalała sobie nawet na wesołe flirtowanie z oboma członkami ochrony Obozu nr 4, ze szczególnym uwzględnieniem młodszego z nich, Harpera. Jednak codziennie pod wieczór jej nastrój przechodził w rozpacz płynącą z wyrzutów sumienia – z wyrzutów sumienia względem syna, ale również z powodu siostry Lotte, „Tulipan” bowiem była przekonana, że swoją ucieczką naraziła siostrę na poważne kłopoty.

Gospodyni, Millie McCraig, spędzała z nią późniejszą część wieczoru. Kiedy się zorientowały, że łączy je wspólna wiara chrześcijańska, często modliły się razem. „Tulipan” wykazywała szczególne nabożeństwo do św. Mikołaja, którego miniaturową ikonkę zabrała ze sobą, wycofując się z terenu. Obie kobiety dodatkowo zbliżyło zamiłowanie do jazdy na rowerze. Na prośbę „Tulipan” McCraig (Ella) sprowadziła katalog rowerów dziecięcych. „Tulipan” bardzo żywo zareagowała na wiadomość o szkockim pochodzeniu McCraig i natychmiast zażądała mapy gór w Szkocji. Odtąd zaczęły wspólnie omawiać trasy rowerowe w tamtych okolicach. Już następnego dnia

centrala dostarczyła odpowiednią mapę turystyczną. Mimo to nastrój agentki był zmienny. Często dochodziło do wybuchów złości. Nie pomagały środki uspokajające i nasenne podawane przez McCraig na prośbę „Tulipan”.

Podczas każdej sesji prędej czy później padało pytanie o konkretną datę wymiany Gustava czy wręcz o to, czy już nie został wymieniony. W odpowiedzi zapewniano ją zgodnie z instrukcją, że sprawę negocjuje na najwyższym szczeblu Herr Direktor, ale że nie jest to coś, co można załatwić od ręki.

### 3. Rekreacyjne potrzeby „Tulipan”.

Od chwili przybycia do Zjednoczonego Królestwa „Tulipan” domagała się możliwości wykonywania ćwiczeń fizycznych. Myśliwiec RAF-u, który ją tu przywiózł, był bardzo ciasny; przejazd do Obozu nr 4 sprawił, że czuła się jak więzień; nie może dłużej znieść ograniczenia wolności itp. Skoro ścieżki w Obozie nr 4 nie nadają się do jazdy rowerowej, musi chociaż biegać. Pobrawszy jej rozmiar buta, Harper pojechał do Salisbury po tenisówki i przez następne trzy dni „Tulipan” wraz z Avon (Anna), osobą wysportowaną, biegały przed śniadaniem po ścieżkach wewnątrz posiadłości. „Tulipan” zabierała ze sobą niewielką torbę na ramię na skamieliny i rzadkie kamienie, które mogłyby kiedyś zainteresować Gustava. Torbę tę nazywała z rosyjska „anużką”. Na terenie posiadłości znajduje się też niewielka sala gimnastyczna – również tam „Tulipan” próbowała chwilowo opanowywać stres. Niezależnie od pory dnia zawsze chodziła tam z nią Millie McCraig.

Regularnie o godz. 6.00 „Tulipan” już w pełni ubrana stawała w przeszklonych, wychodzących na ogród drzwiach swego salonu i czekała na Avon. Jednak ostatniego dnia „Tulipan” przy drzwiach nie było. Avon weszła wobec tego sama i zawołała „Tulipan”. Potem zastukała do drzwi łazienki; nie otrzymawszy odpowiedzi, otworzyła je, ale i tam jej nie znalazła. Wtedy połączyła się przez wewnętrzny telefon z McCraig i zapytała, gdzie może znaleźć „Tulipan”, lecz McCraig też nie wiedziała. W tej chwili Avon, już poważnie zaniepokojona, szybkim krokiem ruszyła na ścieżkę wiodącą wokół ogrodzenia. Tymczasem na wszelki wypadek McCraig dała znać Harperowi i Lowe’owi, że nasz gość „gdzieś się zawieruszył”, więc obaj członkowie ochrony zaczęli natychmiast przeczesywać teren.

### 4. Odkrycie zwłok „Tulipan”. Osobiste zeznania J. Avon.

Od strony wschodniej ścieżka wiodąca wokół posiadłości przez jakieś dwadzieścia metrów wznosi się stromo, wypłaszcza się na mniej więcej pół kilometra, po czym skręca na północ, opada w bagnistą kotlinę i po drewnianej kładce prowadzi dalej na liczące dziewięć stopni drewniane schody pod górę, w swej wyższej partii częściowo ocienione przez rozłożysty kasztanowiec.

Skręciwszy na północ i rozpoczynwszy zejście w kotlinę, zobaczyłam, że na jednym z niskich konarów kasztanowca wisi „Tulipan”. Miała otwarte oczy i opuszczone wzdłuż ciała ręce. Pętla, na której wisała, była tak cienka, że w pierwszej chwili mogło się wydawać, iż ciało unosi się w powietrzu.

Jestem kobietą w wieku 42 lat. Stwierdzam z całą stanowczością, że to, co teraz zeznam, stanowi obraz mojej obecnej wiedzy. Odbyłam liczne szkolenia służbowe i mam pewne doświadczenie w radzeniu sobie w różnych sytuacjach operacyjnych. Tym trudniej przychodzi mi wyznać, że na widok wiszącej na drzewie „Tulipan” moim pierwszym odruchem było jak najszybciej pobiec do domu i wezwać pomoc, zamiast usiłować ją odciąć i przeprowadzić reanimację. Głęboko żałuję tego poważnego błędu operacyjnego, choć później mnie zapewniono, że „Tulipan” nie żyła od co najmniej

sześciu godzin, kiedy ją znalazłam, i stanowi to dla mnie znaczną ulgę. Poza tym nie miałam przy sobie noża, konar zaś był i tak zbyt wysoko, bym go mogła dosięgnąć.

Dodatkowe wyjaśnienia Millie McCraig, gospodyni lokalu konspiracyjnego w Obozie nr 4, zawodowego oficera wywiadu w randze porucznika, na temat opieki nad podźródłem „Tulipan”, jej zachowania i samobójstwa. Z pojedynczą kopią dla George’a Smileya, dyr. Operacji Tajnych.

Millie – taka, jaką ją wówczas znałem: poślubiona Firmie, pobożna córka pastora Wolnego Kościoła Prezbiteriańskiego. Uprawia wspinaczkę w górach Cairngorms, poluje z psami; działała w niejednym niebezpiecznym miejscu. Straciła brata na wojnie, ojca, bo zmarł na raka; plotkowano, że straciła też serce – dla starszego od niej żonatego mężczyzny, który wybrał honor ponad miłość. Byli tacy, według których mężczyzną tym był George, ale nigdy nie zauważyłem między nimi niczego, co by uzasadniało takie podejrzenia. Biada jednak temu z nas, młokosów, kto ośmielił się ją tknąć choćby palcem, bo Millie nie chciała żadnego z nas.

### 1. Zniknięcie „Tulipan”.

O godz. 6.10 zostałam poinformowana przez Jeanette Avon, że „Tulipan” sama wybrała się na poranną przebieżkę, więc natychmiast poleciłam ochronie posiadłości (Harper i Lowe) rozpoczęcie poszukiwań od ścieżki wiodącej wzdłuż ogrodzenia, ponieważ wiedziałam od Avon, że to ulubiona trasa „Tulipan”. Na wszelki wypadek dokonałam przeszukania apartamentu gościnnego. Ustaliłam, że i dres, i tenisówki są w szafie, natomiast nie ma tam francuskich strojów i bielizny, które otrzymała w Pradze. Choć nie posiadała ani dokumentów tożsamości, ani pieniędzy, zauważyłam również, że nie ma też jej torebki, w której nie było nic poza kilkoma artykułami pierwszej potrzeby.

Ponieważ cała sytuacja przekraczała kompetencje Operacji Tajnych, a w dodatku dyrektor działu musiał pilnie wyjechać do Berlina, podjęłam decyzję o połączeniu się z oficerem służbowym Komitetu Sterującego i poleceniu mu, by zawiadomił nasze kontakty w policji o ucieczce osoby chorej umysłowo, odpowiadającej rysopisowi „Tulipan”, która na pewno znajduje się w najbliższym sąsiedztwie Obozu nr 4, nie jest groźna dla otoczenia, nie zna języka angielskiego i leczy się psychiatrycznie. Po znalezieniu należy niezwłocznie odstawić ją do miejsca odbywania kuracji.

Następnie wykonałam telefon do przychodni dr. Meadowsa na Harley Street i poprosiłam jego sekretarkę o przekazanie, by jak najszybciej wracał do Obozu nr 4. Dowiedziałam się od niej, że doktor dostał już wiadomość z centrali i jest w drodze.

### 2. Wykrycie osoby nieupoważnionej w Obozie nr 4.

Gdy tylko skończyłam rozmawiać przez telefon, otrzymałam przez radio informację od Harpera, że podczas poszukiwania „Tulipan” natknął się w lesie niedaleko wschodniej granicy posiadłości na nieupoważnionego do przebywania tam rannego osobnika, który dostał się do środka przez świeżo wycięty otwór w ogrodzeniu niedaleko kładki. Osobnik ten nadepnął na stary, częściowo zarośnięty potrzask, bez wątplenia pozostawiony tu przez kłusowników w czasach, gdy posiadłość jeszcze nie należała do Cyrku, i spowodował zwolnienie zabezpieczenia w nim.

Wspomniany potrzask, staroświecki i nielegalny, miał zardzewiałe, ale wciąż naciągnięte szczęki. Według słów Harpera intruz został przez niego pochwycony za lewą nogę, a szarpiąc się z mechanizmem, jeszcze mocniej go zaciskał. Mówił poprawną angielszczyzną, choć z obcym akcentem, i przekonywał, że zobaczywszy otwór

w ogrodzeniu, wszedł na teren w celu załatwienia czynności fizjologicznej. Powiedział również, że jest zapalonym obserwatorem ptaków.

Po przybyciu Lowe'a obaj członkowie ochrony wspólnymi siłami uwolnili z potrzasku intruza, który natychmiast uderzył Lowe'a w brzuch, a Harpera czołem w twarz. Po krótkiej walce ochrona obezwładniła intruza i doprowadziła go do niedaleko położonej Rudery. Jest obecnie zamknięty w izolatce („łódź podwodna”); rana na nodze została prowizorycznie opatrzona. Zgodnie z obowiązującymi zasadami bezpieczeństwa Harper złożył meldunek o zajściu, podając jak najdokładniejszy opis intruza bezpośrednio do działu zabezpieczenia centrali i dyr. Operacji Tajnych, który jest w tym momencie w drodze z Berlina. Na moje pytanie, czy zauważyli zaginioną „Tulipan”, Harper i Lowe odpowiedzieli, że poszukiwania, przerwane z powodu wykrycia intruza, zostaną natychmiast wznowione.

### 3. Informacja o śmierci „Tulipan”.

Mniej więcej w tej samej chwili na ganku budynku głównego pojawiła się zdenerwowana Jeanette Avon, informując mnie, że zobaczyła wiszącą na drzewie i najprawdopodobniej martwą „Tulipan” w punkcie 217 według planu terenu. Natychmiast przekazałam tę informację Harperowi i Lowe'owi. Upewniwszy się, że intruz został unieruchomiony, nakazałam im jak najszybciej udać się do punktu 217 i udzielić niezbędnej pomocy.

Następnie włączyłam urządzenie alarmowe, aby zebrać w budynku głównym cały personel pomocniczy. Personel składa się z dwóch kucharek, kierowcy, konserwatora, dwóch sprzątaczek i dwóch pracowników pralni (patrz lista w załączniku A). Poinformowałam ich, że na terenie znaleziono zwłoki i że wszyscy mają pozostać w budynku głównym aż do odwołania. Nie uznałam za konieczne powiadomić ich, że na terenie znajduje się też osoba nieuprawniona.

Na szczęście w tym momencie pojawił się dr Meadows, któremu udało się bardzo szybko przyjechać z Londynu prywatnym bentleyem. Razem z nim natychmiast udałam się ścieżką wzdłuż wschodniego ogrodzenia w kierunku punktu 217. Po przybyciu na miejsce zobaczyliśmy „Tulipan”, odciętą już od stryczka i bez wątplenia martwą, ułożoną na ziemi, z pętlą wciąż jeszcze zaciśniętą na szyi, pilnowaną przez Harpera i Lowe'a. Harper, który krwawił z twarzy z powodu uderzenia przez intruza, zamierzał wezwać policję, Lowe – pogotowie ratunkowe. Pouczyłam obu, że nie należy nikogo wzywać bez uprzedniej zgody dyr. Operacji Tajnych, który jest w drodze do Obozu nr 4. Podobnego zdania był dr Meadows, który dokonał już wstępnych oględzin zwłok.

W tej sytuacji nakazałam Harperowi i Lowe'owi, by wrócili do Rudery, nie kontaktowali się z nikim, oczekiwali na dalsze rozkazy i pod żadnym pozorem nie nawiązywali rozmowy z zatrzymanym. Gdy odeszli, dr Meadows poinformował mnie, że „Tulipan” nie żyła już na kilka godzin przed znalezieniem zwłok.

Podczas gdy dr Meadows kontynuował badanie ciała denatki, ja przyglądałam się, jak była ubrana. Jej strój składał się z francuskiego bliźniaka, plisowanej spódnicy i tenisówek. W kieszeni swetra od kompletu miała tylko dwie zużyte chusteczki higieniczne – „Tulipan” skarżyła się wcześniej na lekki katar. Natomiast jej anużka była wypchana francuską bielizną.

Instrukcje, przekazywane teraz na bieżąco z centrali przez system łączności Obozu nr 4, nakazywały nam natychmiast umieścić ciało w Ruderze. Do niesienia noszy wyznaczyłam Harpera i Lowe'a. Szybko wywiązali się z tego zadania, choć rana Harpera broczyła coraz obficie.

Wraz z dr. Meadowsem wróciliśmy do budynku głównego. Trzeba przyznać, że Avon

odzyskała panowanie nad sobą i zajęła się przyrządzeniem herbaty dla reszty personelu i częstowaniem ciasteczkami, przy okazji bawiąc wszystkich rozmową. Zespół kryzysowy z centrali, kierowany przez dyr. Operacji Tajnych, miał pojawić się jeszcze tego samego dnia po południu. Do tego czasu w budynku głównym mieli pozostać wszyscy poza Harperem i Lowe'em. Dr Meadows oczyścił Harperowi obrażenia twarzy i zajął się rannym intruzem przetrzymywanym w „łodzi podwodnej”.

Tymczasem wśród zgromadzonych w budynku głównym wywiązała się dyskusja. Jeanette Avon powtarzała, że to ona ponosi szczególną odpowiedzialność za samobójstwo „Tulipan”, czemu postanowiłam kategorycznie zaprzeczyć. „Tulipan” cierpiała na depresję, nie mogła znieść wyrzutów sumienia i tęsknoty za dzieckiem, swoją ucieczką napytała poważnych kłopotów siostrze. Myśli samobójcze mogła mieć już w Pradze, na pewno zaś opadły ją po znalezieniu się w Obozie nr 4. Samobójstwo było jej wyborem. Wybór ten przyplącała życiem.

Na scenie pojawia się George. Kłamie jak z nut.

4. Przybycie dyr. Operacji Tajnych [Smiley] i insp. Mendela.

Dyr. Operacji Tajnych [Smiley] przyjechał o godz. 15.55 w towarzystwie em. insp. Olivera Mendela, sporadycznego współpracownika Cyrku. Razem z dr. Meadowsem natychmiast zaprowadziliśmy ich do Rudery.

Potem znów wróciłam do budynku głównego, gdzie Ingeborg Lugg i Jeanette Avon nadal uspokajały zgromadzony tam personel. Minęły jeszcze dwie godziny, nim p. Smiley powrócił z insp. Mendelem z Rudery. Zwołał wszystkich pracowników i złożył im osobiste wyrazy współczucia. Zapewnił, że za śmierć podźródła „Tulipan” można winić tylko ją samą i że nikt z pracowników Obozu nr 4 nie powinien mieć do siebie pretensji.

Zbliżał się wieczór. Ponieważ na podjeździe czekał już autobus pracowniczy i znacznej części pracowników śpieszyło się do powrotu do Salisbury, dyr. Operacji Tajnych uspokoił ich co do „tajemniczego intruza”, o którego obecności część z nich mogła się dowiedzieć. Stojący za nim insp. Mendel również uśmiechał się uspokajająco. Dyrektor postanowił wtajemniczyć obecnych w pewną sprawę. Było to może niezgodne z regulaminem, ale w tej sytuacji uznał, że personelowi należą się jednak pewne wyjaśnienia.

Wy tłumaczył, że tajemniczy intruz wcale nie jest tajemniczy. I nie jest intruzem, tylko cenionym pracownikiem elitarnej i mało znanej sekcji w naszej bratniej służbie, w MI5, do której zadań należy ocena możliwości przeniknięcia wroga do najtajniejszych i najbardziej wrażliwych obiektów w naszym kraju. Tak się składa, że jest bliskim kolegą i przyjacielem obecnego tu insp. Mendela. Śmiech. Ocenę taką z konieczności przeprowadza się bez powiadamiania personelu i ochrony sprawdzanego obiektu, a to, że kontrola przypadła akurat na ten sam dzień, w którym „Tulipan” postanowiła popełnić samobójstwo, nie jest niczym innym jak „szalonym zrzędzeniem Opatrzności”, dokładnie cytując słowa p. Smileya. Ta sama Opatrzność poprowadziła stopę rzekomego intruza w stary potrzask. Śmiech. Harper i Lowe spisali się świetnie. Im też już wszystko wyjaśniono. Wyjaśnienie przyjęli do wiadomości, choć z pewną niechęcią – nic dziwnego, uważali przecież, że „nasz kolega trochę przesadził z gwałtownością swej reakcji” (dyr. Operacji Tajnych). To stwierdzenie również przyjęto wybuchem śmiechu.

I jeszcze trochę więcej dezinformacji:



Dyr. Operacji Tajnych wyjawiał również personelowi, że rzekomy intruz nie jest cudzoziemcem, lecz rodowitym Anglikiem pochodzącym z Clapham. W tym momencie jest już w drodze na pogotowie w Salisbury, gdzie otrzyma surowicę przeciwtężcową i gdzie zostaną mu opatrzone rany. Inspektor Mendel wkrótce odwiedzi przyjaciela i zawiezie mu butelkę whisky jako prezent od Obozu nr 4 za wzorowo przeprowadzoną inspekcję. Brawa.

\*

Czeka mnie kolejny występ duetu Bunny i Laura. Bez Leonarda. Bunny gra pierwsze skrzypce, Laura sceptycznie się przysłuchuje.

– Czyli sporządziłeś ten raport. Powiem ci, że jest dokładny aż do przesady. Zamieściłeś w nim cały materiał dowodowy, a nawet jeszcze więcej. Wysłałeś pierwszą wersję do akceptacji przez Komitet Sterujący. A potem ten sam egzemplarz wykradłeś z archiwów Cyrku. Tak było?

– Nie.

– To dlaczego ten raport był tu, w „Stajni”, wśród innych papierów, które przecież ukradłeś?

– Bo raport nie poszedł.

– Nigdzie?

– Nigdzie.

– Nawet we fragmentach? W jakiejś skróconej formie?

– Komitet w Ministerstwie Skarbu postanowił nie zwoływać spotkania.

– Mówisz o tym tak zwanym Komitecie Trzech Mędrców, tak? Którego podobno tak strasznie bał się Cyrk?

– Przewodniczącym był Oliver Lacon. Lacon uznał po dłuższym namyśle, że raport do niczego się nie przyda. Nawet w skróconej wersji.

– Na jakiej podstawie?

– Na takiej, że nie warto obciążać podatnika kosztami śledztwa w sprawie samobójstwa kobiety, która nawet nie przebywała legalnie na terytorium Zjednoczonego Królestwa.

– Czy istnieje jakiegokolwiek prawdopodobieństwo, że na Laconie tę decyzję wymógł George Smiley?

– A skąd mam wiedzieć?

– A stąd, że Smileyowi chodziło między innymi o to, by ci chronić dupę. Na przykład dlatego, że... całkiem hipotetycznie... mogło się okazać, że „Tulipan” powiesiła się z twojego powodu. Może w twoim raporcie znalazła się wzmianka o czymś, co według Smileya mogłoby się wydać zbyt nieprzyjemne dla delikatnych uszu Ministerstwa Skarbu?

– Prędzej dla uszu Komitetu Sterującego. Nie ministerstwa. Jak na gust George’a, Komitet i tak już wiedział za dużo o operacji „Głóg”. A George mógł sobie pomyśleć, że ewentualne śledztwo jeszcze szerzej otworzy te wrota. I dlatego doradził Laconowi, by zrobił tak a nie inaczej. Ale to tylko moje domysły.

– A czy według ciebie jest całkiem nie do pomyślenia, że było tak: całemu śledztwu ukręcono łeb dlatego, że „Tulipan” wcale nie współpracowała z wami tak chętnie, jak cały czas twierdzicie? Jak przede wszystkim twierdzisz ty w tym swoim lizusowskim raporcie?

I że musiała za to zapłacić?

– Jak to: zapłacić? Co ty wygadujesz?

– Była bardzo zdeterminowana. To wiemy. A kiedy chciała, umiała być straszną jędzą. I chciała mieć przy sobie dziecko. Sugeruję, że odmówiła współpracy z zespołem przesłuchującym, dopóki nie znajdzie się przy niej jej syn, że przesłuchującym to się nie spodobało i w efekcie ich raport, twój raport, został wyssany z palca, wypichcony na polecenie Smileya. A tak się składa, że w Obozie numer cztery, który został już dawno zlikwidowany, znajdowała się cela więzienna w sam raz dla takich jak ona. I że to pomieszczenie nosiło nazwę „łódź podwodna”. I że używano go do tego, co w naszych czasach nazywa się elegancko wzmocnionymi technikami przesłuchań. I że pomieszczenie to było w gestii dwóch zboków z ochrony niegrzeszących nadmierną delikatnością. Sugeruję, że „Tulipan” miała okazję zaznajomić się z ich metodami.

Minęła dobra chwila, nim do mnie to dotarło.

– Na miłość boską, „Tulipan” nie była przesłuchiwana! Odbierano od niej raport, przyzwocie i po ludzku. Robili to profesjonaliści, ludzie, którzy byli po jej stronie i wdzięczni jej, którzy w dodatku doskonale wiedzieli, że świeżo wyciągnięci z terenu agencji lubią się pozłościć!

– A, to może to cię ubawi – mówi Bunny. – Dostaliśmy jeszcze jeden list przedprocesowy. Jak dojdzie do procesu, przybędzie nam kolejny ewentualny uczestnik. Otóż nie wiadomo na pewno, ale chyba za namową Christopha Leamasa do grona tych, którzy chcą puścić naszą Agencję z torbami, dołączył niejaki Gustav Quintz, syn Doris. Oskarża Agencję, że reprezentowana głównie przez ciebie uwiodła jego kochaną matkę, szantażem zmusiła do współpracy, wbrew jej woli wywiozła ją z ojczyzny i tak torturowała, że biedaczka powiesiła się na najbliższym drzewie. Prawda czy nieprawda?

Myślałem, że już skończył, ale się myliłem.

– A ponieważ te zarzuty dotyczą tak starych spraw, że nie da się ich zdusić w zarodku, stosując drakońskie przepisy prawa, z których mogliśmy korzystać w znacznie nowszych przypadkach podobnego rodzaju, istnieje spore prawdopodobieństwo, że komisja parlamentarna i/lub nieco później sąd zostaną wykorzystane właśnie po to, by grzebać w sprawach, które dziś dużo bardziej nas obchodzą. Czy ciebie to bawi?

Czy bawi? Może. Myślałem: brawo, Gustav, postanowiłeś upomnieć się o swoje. Mniejsza z tym, że wybrałeś się pod zły adres.

\*

W wariackim pędzie przejechałem Francję i Niemcy w ulewnym deszczu. Stoję nad grobem Aleca. Mały cmentarz w Berlinie tonie w tej samej ulewie. Mam na sobie motocyklowe skóry, lecz z szacunku dla Aleca zdjąłem kask, więc deszcz płynie mi po odsłoniętej twarzy, gdy obaj wymieniamy banalne uwagi. Stary zakrystian – czy kim on tam jest – prowadzi mnie do swojego domku i pokazuje księgę kondolencyjną, w której wśród innych wpisów znajduję sporządzony przez Christopha.

I może właśnie od tego wszystko się zaczęło, może to był punkt wyjścia: najpierw dla Christopha, potem dla rudego Gustava o szczerym uśmiechu, który kiedyś śpiewał mi

patriotyczne pieśni, i wreszcie dla Aleca. Każdy z nich był tym chłopcem, którym miałem się opiekować w sekrecie i choćby tylko w myślach od dnia śmierci jego matki. I którego widziałem oczyma wyobraźni najpierw w jakimś złowrogim enerdowskim sierocińcu dla dzieci tych, co wypadli z łask, a potem wyrzuconego na ulicę między obojętnych ludzi.

Właśnie dlatego w tajemnicy od czasu do czasu bezczelnie łamałem regulamin Cyrku i pod byle pretekstem szukałem go w archiwach, ślubując sobie – można by raczej powiedzieć: fantazując – że któregoś dnia, kiedy świat zmieni się choćby o jotę, choćby o pół, odzyskam go i z miłości do „Tulipan” pomogę mu w jakiś niesprecyzowany jeszcze sposób.

Wciąż łało, gdy znów wsiadłem na motor i ruszyłem – tym razem nie do Francji, lecz na południe, do Weimaru. Ostatni prawdopodobny adres Gustava, jaki znałem, był sprzed dziesięciu lat: mała wioska na zachód od miasta, dom, w którym zameldowany był jego ojciec Lothar. Po dwóch godzinach jazdy stałem już przed ponurym socjalistycznym blokiem z wielkiej płyty, zbudowanym dziesięć kroków od wiejskiego kościoła zgodnie z duchem walki z zabobonami. Teraz spojenia prefabrykowanych ścian kruszyły się niemal w oczach, niektóre okna były zasłonięte dyktą, a na wejściu do klatki schodowej ktoś wymalował sprejem wielką swastykę. Quintz mieszkał pod numerem 8d. Zadzwoiłem, ale bez skutku. W końcu otwarły się inne drzwi, jakaś staruszka obrzuciła mnie podejrzliwym wzrokiem.

– *Quintz?* – spytała z niesmakiem. – *Der Lothar? Längst tot.* Od dawna nie żyje.

– A Gustav? – zapytałem. – Jego syn?

– A, ten kelner? – rzuciła z pogardą.

Hotel nazywał się Elephant i stał na zabytkowym rynku Weimaru. Nie był nowy. Wręcz przeciwnie – już Hitler bardzo go lubił. To też zdążyła mi powiedzieć staruszka z bloku. Ale teraz został krzykliwie odnowiony – fasada błyszczała zachodnim dobrobytem na urągowisko skromniejszych, ale ślicznych sąsiednich kamieniczek. Dziewczyna w recepcji nie rozumiała, o co ją pytam, i powiedziała, że żaden herr Quintz nie mieszka obecnie w hotelu. Potem spłoniła się i dodała:

– A, panu chodzi o Gustava!

Poinformowała mnie, że personelowi nie wolno przyjmować prywatnych gości, więc muszę poczekać, aż herr Quintz skończy pracę.

A o której kończy? O szóstej. A gdzie najlepiej na niego zaczekać, jeśli można wiedzieć? No jak to, przy służbowym wejściu od tyłu.

Deszcz nie ustępował, ściemniało się. Stałem przy tylnym wejściu, jak mi powiedziano. Ze schodów prowadzących z suteryny wychynął chudy, pozbawiony uśmiechu mężczyzna. Wyglądał na starszego, niż był. Idąc, wkładał stary wojskowy płaszcz z kapturem. Przy rynninie stał przypięty łańcuchem rower. Pochylił się nad nim i zaczął odpinać kłódkę.

– *Herr Quintz?* – zapytałem. – Gustav?

Uniósł głowę i w przygasającym świetle ulicznej lampy wyprostował się na całą wysokość. Ramiona miał przedwcześnie zgarbione. Rude niegdyś włosy były teraz przeredzone i szpakowate.

– A bo co?

– Jestem znajomym pana matki – powiedziałem. – Może nawet mnie pan pamięta?

Poznaliśmy się na plaży w Bułgarii. Dawno temu. Zaśpiewał mi pan piosenkę. – I przedstawiłem się swoim pseudonimem, tym samym, który podałem mu tam, na plaży, gdy stała za nim jego naga matka.

– Pan był znajomym mamy? – powtórzył, powoli oswajając się z tą wiadomością.

– Już mówiłem.

– Pan Francuz?

– Tak jest.

– Ona nie żyje.

– Wiem. Bardzo mi przykro. Pomyślałem sobie, że mogę panu jakoś pomóc. Tak się składa, że miałem pana adres i akurat jestem w Weimarze. Uznałem, że to dobra okazja. Może pójdziemy na drinka? Pogadamy.

Popatrzył wprost na mnie.

– Pan spał z moją mamą?

– Byliśmy znajomymi.

– A, czyli spał pan z nią – powiedział, jakby stwierdzał historyczny fakt, nie unosząc ani nie zniżając głosu. – Moja mama była kurwą. Zdradziła ojczyznę. Zdradziła rewolucję. Zdradziła partię. Zdradziła mojego ojca. Sprzedała się Anglikom, a potem się powiesiła. Była wrogiem ludu – wyjaśnił.

Po czym wsiadł na rower i odjechał.

# 11

– Uważam, że pierwsze, co trzeba zrobić, serce... – mówi Tabitha swym niezmiennie uniżonym tonem. – Nie przeszkadza ci, że tak do ciebie mówię? Serce? Do wszystkich najlepszych klientów tak mówię. To im przypomina, że ja też mam serce, tak jak oni, chociaż ja mojemu muszę kazać milczeć... No więc na początek musimy zrobić dokładną listę wszystkich brzydkich rzeczy, które mówi o nas druga strona, a potem rozprawimy się z każdą po kolei. Usiądź sobie wygodnie. Siedzisz? Dobrze. A jak mnie słyszysz? Słyszysz mnie, tak? Ja nigdy nie wiem, jak działają te aparaciki. Twoje są prywatne czy dostałeś z państwowej służby zdrowia?

– Z Francji.

O ile dobrze pamiętam swoje lektury z dzieciństwa, Tabitha to u Beatrix Potter bezradna matka trójki nieposłusznym dzieci. Mimo wszystko trochę mnie bawiło, że siedząca naprzeciwko kobieta o tym samym imieniu zdawała się mieć – przynajmniej na pierwszy rzut oka – sporo tych samych cech: opiekuńcza, o miłej twarzy, lekko zdyszana i heroicznie zmęczona czterdziestolatka. O ile dobrze zrozumiałem, właśnie ona była moim obrońcą. Leonard rzeczywiście przesłał Bunny’emu obiecaną listę nazwisk. Bunny zachwycał się niepomiarownie każdym z nich – będą walczyli o ciebie jak wściekłe psy, Peter. Tylko co do tych dwojga mam odrobinę wątpliwości, według mnie nie mają jeszcze odpowiedniego doświadczenia, ale niech to zostanie między nami – o, ta tutaj, tylko nikomu nie mów, że ja ci to powiedziałem, ta tutaj: nie, za żadne skarby, ta baba po prostu nie zna umiaru, sędziowie jej nie cierpią. To właśnie była Tabitha.

Oświadczyłem, że bardzo mi się podoba i że chcę się z nią zobaczyć w jej kancelarii. Bunny odparł, że jej kancelaria nie spełnia jego warunków bezpieczeństwa, i zaoferował w zamian swój gabinet w forticy. Odpowiedziałem, że jego gabinet nie spełnia moich warunków bezpieczeństwa. W efekcie siedzimy z Tabithą w bibliotece, obserwowani gniewnym wzrokiem przez pełnowymiarowe postacie Hansa-Dietera Mundta i jego zażartego wroga Josefa Fiedlera.

\*

W czasie rzeczywistym od kremacji „Tulipan” upłynęła tylko jedna bezsenna noc, za to w świecie, w którym usiłuje teraz wyznać się Tabitha, cofnąć się trzeba bardzo daleko.

Powstał mur berliński.

Wszyscy agenci siatki „Głoga” zniknęli, zostali aresztowani, straceni – albo wszystko naraz.

Karl Riemeck, bohaterski lekarz z Köpenick, przypadkowy założyciel i inspirator siatki, został zastrzelony bez litości, gdy próbował uciec do Berlina Zachodniego na swym robotniczym rowerze.

Dla Tabithy to fakty historyczne. Dla nas, którzy je przeżywaliśmy, był to czas rozpacz,

przerażenia i goryczy.

Czy nasz agent „Fuks” pracuje dla nas, czy przeciwko nam? My, nieliczni wtajemniczeni, ze swojego punktu obserwacyjnego w „Stajni” śledziliśmy z zadziwieniem jego oszałamiającą karierę w szeregach Stasi, ukoronowaną objęciem stanowiska szefa działu operacji specjalnych.

Dzięki siatce „Fuksa” otrzymywaliśmy, analizowali i rozpowszechniali świetnej jakości materiał wywiadowczy na najróżniejsze tematy ekonomiczne, polityczne i strategiczne. Nasi klienci z Whitehall z trudem tłumili okrzyki zachwyty.

Tylko że mimo niewątpliwej potęgi Mundta – a może właśnie z powodu tej potęgi – nawet on nie potrafił powstrzymać czy choćby spowolnić nieubłaganego żniwa wśród naszych agentów prowadzonego przez jego rywala Josefa Fiedlera.

W tej straszliwej walce o względy Moskwy i władzę w Stasi Hans-Dieter Mundt, czyli źródło „Fuks”, twierdził, że nie miał wyboru – że w oczyszczaniu utopijnej Niemieckiej Republiki Demokratycznej ze szpiegów, sabotażystów i innych lokajów burżuazyjnego imperializmu musiał wykazywać się jeszcze większą gorliwością niż Fiedler.

A tymczasem morale naszej grupy prowadzącej jego siatkę podupadało wraz z usunięciem kolejnego agenta, ofiary wściekłego współzawodnictwa Mundta i jego rywala.

Najbardziej cierpiał Smiley. Co noc zamykał się w środkowym pokoju. Tylko od czasu do czasu odwiedzał go Kontroler. Po każdej z tych wizyt Smiley jeszcze bardziej upadał na duchu.

\*

– A dlaczego nie wolno mi samemu przeczytać zeznań powodów? – pytam Tabithę. – Tych ich listów przedprocesowych czy jak to się nazywa?

– Bo w swej mądrości i pod pozorem ochrony tajemnicy państwowej twoja dawna Agencja przywalała na całą tę korespondencję klauzulę tajności, a ty nie masz odpowiednich uprawnień. Za cholerę im to nie pomoże, ale zawsze trochę to wszystko opóźni i pozwoli im zyskać na czasie, bo zdaje się, że o to właśnie im chodzi. Tymczasem ja coś tam jednak się dowiedziałam. Mogę?

– A gdzie się podzieli Bunny i Laura?

– Niestety uznali chyba, że wiedzą już wszystko, a Leonard jest tego samego zdania. No więc udało mi się zapuścić żurawia w zapiski drugiej strony. Na nasze nieszczęście biedna Doris Gamp miała na ciebie chrapkę od pierwszego wejrzenia i w dodatku zaraz wszystko opowiedziała swojej siostrzyczce, tej Lotte. A że Lotte z kolei opowiedziała wszystko i ze szczegółami na przesłuchaniu w Stasi, to właściwie wiedzieli o tobie wszystko. Czy wy naprawdę ganialiście na golasa po bułgarskiej plaży w świetle księżyca?

– Nie.

– To dobrze. A ta noc pełna uniesień i miłości w hotelu w Pradze, gdy natura znów wzięła górę?

– Wcale nie wzięła.

– To dobrze. Teraz te dwie inne śmierci, Aleca Leamasa i Elizabeth Gold, naszych berlińczyków. Zacznijmy od Elizabeth. Jak zarzuca ci jej córka Karen, skontaktowałeś się

z nią osobiście, czy to z własnej inicjatywy, czy za podpuszczeniem George'a Smileya i innych osób nieznanymi z nazwiska, by ją „omotać, uwieść lub w inny sposób przymusić”, żeby została waszym „mięsem armatnim”... To nie ja mam taki straszny styl, tylko druga strona... w „z góry skazanej na niepowodzenie, megalomańskiej i fatalnie przygotowanej próbie”... Pojęcia nie mam, kto pisze te bzdury... wywołania zamętu w kierownictwie Stasi. Zrobiłeś to wszystko?

– Nie.

– To dobrze. No i co, zaczynasz rozumieć? Jesteś zawodowym casanovą na żołdzie tajnych służb Wielkiej Brytanii, specjalistą od usidlenia naiwnych dziewcząt, które później podstępnie wykorzystywałeś w idiotycznych bezsensownych operacjach. Czy to prawda?

– Nieprawda.

– Oczywiście. Poza tym stręczyłeś Elizabeth Gold swojemu kumplowi Alecowi Leamasowi. Tak czy nie?

– Nie.

– To dobrze. Oczywiście przy okazji sam przespałeś się z Elizabeth Gold, bo tak masz w zwyczaju. A jeżeli nie, to na pewno przygotowałeś ją odpowiednio dla Aleca. Pierwsze czy drugie?

– Ani pierwsze, ani drugie.

– Ani przez chwilę cię o to nie podejrzewałam. No i teraz efekt końcowy twoich machinacji: Elizabeth Gold zostaje zastrzelona przy murze berlińskim, jej kochanek Alec Leamas usiłuje ją ratować albo po prostu decyduje się zginąć razem z nią. Tak czy inaczej, też go zastrzelili. I to wszystko twoja wina. Czas na filiżankę herbaty czy jedziemy z tym dalej? Jedziemy. To teraz zarzuty Christopha Leamasa, które są jeszcze poważniejsze, ponieważ Alec jest ofiarą wszystkich wymienionych powyżej niegodziwości. Bo jak już go omotałeś, zwabiłeś, przekupiłeś, oszukałeś i tak dalej, by uczynić z niego bezwolną zabawkę swoich niepowstrzymanych spiskowych instynktów, był człowiekiem złamanym, niezdolnym samodzielnie przejść na drugą stronę ulicy, a więc tym bardziej przeprowadzić diabelsko zagmatwaną akcję dezinformacyjną, czyli udawać, że przeszedł na stronę Stasi, a tymczasem tak naprawdę wciąż pozostawać pod twoim zgubnym wpływem. To prawda?

– Nie.

– No pewnie, że nie. Pozwolisz, że coś ci zaproponuję? Nawodnij się dobrze, a potem wbij bystry wzrok w to, co znalazłam dziś bladym świtem, kiedy wreszcie pozwolili mi zaglądnąć, ale tylko troszeczkę, do małego fragmentu sławnych archiwaliów Agencji. Pytanie pierwsze: czy opisany epizod można uznać za początek upadku twojego przyjaciela Aleca? Pytanie drugie: czy ten upadek jest prawdziwy czy udawany? Innymi słowy, czy nie jest to początek świadomych zabiegów Aleca dążącego do tego, by miała go dość jego własna Agencja i by jego osoba stała się wielce atrakcyjnym kąskiem dla werbowników z Moskwy lub ze Stasi?

\*

Telegram od rezydenta w Berlinie [McFadyen] do przew. Komitetu Sterującego, z kopią do dyr. Tajnych Operacji i kier. działu osobowego. Bardzo pilne. 10 VII 1960.

Temat: Natychmiastowe zwolnienie dyscyplinarne Aleca Leamasa z rezydentury w Berlinie.

Dziś o godz. 1.00 w zachodniobrzezińskim nocnym klubie „Altes Fass” miał miejsce incydent, w którym uczestniczyli berliński rezydent Alec Leamas i Cy Aflon, szef rezydentury CIA w Berlinie. Żadna ze stron nie zaprzecza temu, co się stało. Obu panów cechuje długa wzajemna wrogość. Jak już wcześniej meldowałem, winą za to obarczam wyłącznie Leamasa.

Leamas pojawił się w klubie sam i od razu skierował się ku Damengalerie, części baru, w której gromadzą się samotne kobiety szukające klientów. Leamas pił już wcześniej, ale jak twierdzi, nie był pijany.

Aflon przebywał w lokalu w towarzystwie dwóch koleżanek ze swej rezydentury. Spokojnie oglądali występy i pili drinka.

Na widok Aflona i jego towarzystwa Leamas zmienił kierunek, ruszył do ich stolika i cichym głosem zwrócił się do Aflona następującymi słowami:

Leamas: Jak jeszcze raz spróbujesz podkupić mi źródło, to ci kark skręcę, skurwysynu.

Aflon: No, no, Alec, spokojnie. Tu są panie. Bardzo proszę.

Leamas: Dwa tysiące dolców na miesiąc, jak ci najpierw przyniesie coś, co nam potem sprzeda używane?! To tak się, kurwa, według ciebie prowadzi wojnę?! A może jeszcze te twoje panie wsadzą mu język do gardła?!

Kiedy Aflon zerwał się, by zareagować na tę oczywistą obelgę, Leamas uderzył go w twarz prawym łokciem, obalił na ziemię i kopnął w krocze. Wezwano policję zachodniobrzezińską, policja wezwała amerykańską żandarmerię. Aflona odwieziono do amerykańskiego szpitala wojskowego, gdzie teraz przebywa na leczeniu. Na szczęście przynajmniej w tej chwili wygląda na to, że obyło się bez złamań i obrażeń zagrażających życiu pacjenta.

Zarówno Aflonowi, jak i szefowi jego placówki, Milgtonowi Bergerowi, wyraziłem najszczerze wyrazy ubolewania. To tylko najnowszy z całej serii karygodnych wybryków Leamasa.

O ile jestem skłonny przyznać, że straty poniesione ostatnio przez siatkę „Głoga” są wysoce stresujące i dla całej rezydentury, i osobiście dla Leamasa, o tyle w żaden sposób nie mogę usprawiedliwiać tym szkody wyrządzonej stosunkom z naszym najważniejszym sojusznikiem. Leamas od dawna nie krył swej antyamerykańskości, ale tym razem przekroczył wszelkie granice. Albo on opuści Firmę, albo ja.

A pod zielonym podpisem Kontrolera widnieje lapidarna odpowiedź Smileya: „Już wezwałem Aleca do Londynu”.

\*

– No i jak to było? – pyta Tabitha. – Symulacja? Nie symulacja? Oficjalny początek końca Aleca Leamasa?

A gdy daję jej jakąś wymijającą odpowiedź, bo całkiem szczerze nie wiem, co mam powiedzieć, sama podsuwa własną teorię:

– Kontroler najwyraźniej uważał, że to właśnie początek... – Wskazuje zielone zawijasy u dołu strony. – Widzisz ten jego dopisek dla Smileya? „Bardzo obiecujący początek”. Podpisano: K. No chyba już jaśniej nie można, tak? Nawet w tym waszym bagnie.



Masz rację, Tabitho. Jaśniej nie można. I to jest bagno, nie ma dwóch zdań.

\*

Pogrzeb. Stypa. Bandycka narada zwołana w desperacji w samym środku nocy właśnie tu, w tym pokoju, w którym już wtedy spoglądali na nas posepnie Josef Fiedler i Hans-Dieter Mundt. Jest nas razem sześcioro „Fuksów”, bo tak zaraz zaczęła nas nazywać nasza najnowsza zdobycz Connie Sachs: Kontroler, Smiley, Jim Prideaux, Connie, ja i nasza niemal zawsze milcząca współpracowniczka Millie. Jim Prideaux właśnie wrócił z kolejnej tajnej misji, tym razem z Budapesztu, gdzie odbył jedno z nielicznych spotkań z naszym najcenniejszym agentem „Fuksem”. Connie Sachs, która już wtedy, w wieku lat dwudziestu kilku, była niekwestionowanym cudownym dzieckiem badań nad Związkiem Sowieckim i jego satelitami, ostatnio z hukiem pożegnała się z pracą w Komitecie Sterującym, skąd wpadła wprost w ramiona George’a. To energiczna niska, krępa intelektualistka ze świetnej rodziny, którą irytują tępe umysły – takie jak mój.

Poważna, pełna dystansu kruczowłosa Millie McCraig krąży między nami jak dyżurna pielęgniarka w szpitalu polowym, rozdając potrzebującym to kawę, to whisky. Kontroler jak zwykle domaga się swojej wstrętnej zielonej herbaty, wypija łyżeczek, zostawia resztę. Jim Prideaux pali te co zwykle śmierzące rosyjskie papierosy.

A George? Wydaje się daleko stąd i taki nieprzystępny, że tylko ktoś bardzo odważny ośmieliłby się przerwać jego zamyślenie.

Kontroler, mówiąc, wodzi poplamionymi tytoniem opuszkami palców wokół warg, jakby sprawdzał, czy nie robią mu się zajady. Jest siwowłosa, w nieokreślonym wieku i podobno nie ma żadnych przyjaciół. Gdzieś jakoby istnieje jego żona, ale jeśli wierzyć plotkom, trwa w przeświadczeniu, że jej mąż jest członkiem Rady Przemysłu Węglowego. Gdy Kontroler wstaje z fotela, zgarbione plecy wywołują zdziwienie. Wyglądają, jakby zaraz miały się wyprostować, ale na próżno by czekać. Pracuje w zawodzie od niepamiętnych czasów, lecz rozmawiałem z nim dokładnie dwa razy w życiu i raz byłem na jego wykładzie – na zakończeniu mojego szkolenia w Sarratt. Głos ma ostry jak brzytwa, taki jak on; mówi przez nos, monotonię i z irytacją, jak rozpieszczone dziecko. Nie ożywia się nawet do pytań, również swoich.

– A więc wierzymy czy nie wierzymy – pyta przez przebierające w powietrzu palce – że ten zasrany herr Mundt wciąż jeszcze dostarcza nam pierwszorzędnych materiałów? A może już tylko drugorzędnych? Albo śmieci? Albo wręcz dezinformację? Czy on nie robi nas w konia? George?

Przy Kontrolerze nie używa się pseudonimów. Taki zwyczaj. On nie lubi pseudonimów. Uważa, że wtedy wszystko brzmi zbyt górnolotnie. Lepiej wszystko nazywać po imieniu, do cholery. Ludzi też.

– Materiał od Mundta wygląda na równie dobry jak zawsze – odpowiada Smiley.

– No to tylko szkoda, że nie powiedział nam z wyprzedzeniem, że gnojki wybudują mur. Co, zapomniał? Jim?

Jim Prideaux niechętnie odsuwa papierosa od ust.

– Mundt twierdzi, że Moskwa go nie informuje. Informowali Fiedlera. Mundta nie.

A Fiedler zachował to dla siebie.

– I jeszcze ta świnia Mundt zabił Riemecka, tak czy nie? I to ma być nasz człowiek? Czemu on go zabił, do cholery?

– Twierdzi, że dwie godziny później Riemecka i tak dopadłby Fiedler – odpowiada chrapliwym, monotonnym głosem Prideaux.

I znowu wszyscy czekamy, co powie Kontroler, a on w rewanżu każe nam czekać jeszcze dłużej.

– Czyli nie uważamy, że przeciwnik z powrotem przewerbował Mundta przeciwko nam? – ciągnie zirytowany Kontroler. – Ciągłe jest nasz. Na jego szczęście. Przecież my możemy rzucić go na pożarcie, kiedy tylko nam się spodoba. Władzy mu się zachciało. Chce zostać pupilkiem Moskwy. No, my też chcemy, żeby nim został. Tu nasze interesy są zgodne. Jedyną przeszkodą dla niego jest ten zasraniec Fiedler. I dla nas też. Fiedler podejrzewa Mundta, że jest nasz, i ma rację. Dlatego Fiedler chce za wszelką cenę go skompromitować i zebrać wszystkie pochwały. Tak to w sumie wygląda, George?

– Tak by się zdawało.

– Zdawało! Zawsze tylko: „zdawało”. Nic nigdy po prostu nie „jest”. Myślałem, że w tej pracy zajmujemy się tylko faktami. A więc herr Josef Fiedler, święty człowiek jak na stosunki panujące w Stasi, prawdziwy komunista i do tego Żyd, uważa, że jego szanowny kolega Hans-Dieter Mundt, nienawrócony hitlerowiec, jest sługusem wywiadu brytyjskiego, tak czy nie? I raczej się nie myli, prawda?

George zerka na Jima Prideaux. Jim pociera szczękę i gapi się w wyświechtany dywan. Kontroler znowu:

– To czy my wierzymy herr Mundtowi? Albo inne pytanie: czy on przypadkiem nie koloryzuje jak wielu innych naszych agentów? Nie fantazjuje? Jim? Wy, oficerowie prowadzący, zwykle macie słabość do własnych agentów. Wszelkie wątpliwości tłumaczycie na ich korzyść. Nawet na korzyść takiego pierwszorzędnego sukinsyna jak Mundt.

Tylko że Kontroler wie doskonale, że w Jimie jest akurat tyle słabości co w kamieniu.

– Mundt ma swoich ludzi u Fiedlera. Powiedział mi kogo. Słucha, co mają mu do powiedzenia. Wie, że Fiedler chce go załatwić. Zresztą Fiedler właściwie powiedział mu to prosto w oczy. Poza tym Fiedler ma swoich ludzi w moskiewskim Centrum. Mundt uważa, że lada dzień mogą mu się dobrać do skóry.

Znowu czekamy na Kontrolera, który uznaje, że jednak napije się jeszcze jeden mały łyk wystygłej już zielonej herbaty. I że zmusi nas, żebyśmy patrzyli, jak pije.

– No i pojawia się takie pytanie, prawda, George? – mówi ze znużeniem i niezadowoleniem. – Bo gdyby usunąć Fiedlera... potem pogadamy jak... to może Moskwa pokochałaby Mundta? A jak już go pokocha, to może wreszcie dowiemy się, który skurwiol wystawia jej naszych agentów? – A ponieważ nikt z obecnych nie odpowiada mu na te pytania, ciągnie: – A co ty powiesz, Guillam? Może młody umysł podsunie nam coś pożytecznego? Względnie młody, oczywiście, ale zawsze...

– Niestety nic, sir.

– Szkoda. Bo widzisz, obaj z George'em podejrzewamy, że znamy odpowiedź, tylko że George'owi nie chce się w nią wierzyć. Ja wierzę. Jutro mam spotkanie z twoim kumplem Alekiem Leamasem. Podrzucę mu temat. Zobaczymy, co powie. W końcu to Mundt i Fiedler

zdemontowali mu całą siatkę. Ktoś w takim położeniu może chciałby dostać szansę bardziej pozytywnego zakończenia kariery. Nie sądzisz?

\*

Tabitha prowokuje mnie. Mam wrażenie, że z pełną świadomością:

– Nie bierz tego osobiście, ale wy, szpiegów, już tak macie, że w ogóle nie wiecie, co to jest prawda. Przez to strasznie trudno się was broni. Oczywiście możesz być pewny, że ciebie będę broniła najlepiej, jak umiem. Jak zawsze. – A kiedy odwzajemniam jej słodki uśmiech, lecz nie reaguję w żaden inny sposób, ciągnie: – Sęk w tym, że Elizabeth Gold prowadziła dzienniczek. A Doris Gamp wszystkie sekrety wypaplała siostrze, tej biednej Lotte. Kobiety takie są. Plotkują, piszą pamiętniki, głupie listy... Banda Bunny'ego ma z tym niezłą zabawę. Już zaczęli cię porównywać do naszych współczesnych konfidentów policyjnych, którzy najpierw kradną serca swoich ofiar, a potem zostawiają je z dzieckiem. Zerknęłam na daty, żeby sprawdzić, czy to nie ty obdarzyłeś Elizabeth jej śliczną Karen, ale jesteś poza wszelkim podejrzeniem. Dobrze i to. A Gustav, Bogu dzięki, jest za stary nawet na to, żebyś w ogóle wchodził w grę jako szczęśliwy tata.

\*

Piękna angielska jesień na Hampstead Heath. Popołudnie. Mniej więcej tydzień po decyzji Kontrolera, że „podrzuci Alecowi temat”. Siedzę z George'em Smileyem przy stoliku w ogródku kawiarni przy pałacu Kenwood. Dzień powszedni, więc wokół nie ma żywej duszy. Oczywiście mogliśmy się spotkać w „Stajni”, ale George dał mi jakoś do zrozumienia, że tak poufna rozmowa musi odbyć się na świeżym powietrzu. Ma na sobie kapelusz z szerokim rondem, który rzuca gęsty cień na jego oczy. W efekcie tylko część George'a dzieli się ze mną tylko częścią tajemnicy.

Najpierw gawędzimy o niczym. A przynajmniej tak mi się zdaje. Czy dobrze mi w tej pracy? Owszem, dziękuję. Doszedłem już do siebie po tej sprawie z „Tulipan”? Owszem, dziękuję. To miło ze strony Olivera Lacona, że nie puścił dalej pierwszej wersji mojego raportu. Zawsze mogło się zdarzyć, że ktoś z Komitetu Sterującego zacznie za dużo myśleć o tajemniczym intruzie w Obozie nr 4. Odpowiadam, że też się cieszę, chociaż pisałem w pocie, krwi i łzach.

– Peter, chciałbym, żebyś pomógł mi z jedną dziewczyną – zwierza mi się Smiley i na znak, jakie to dla niego ważne, mocno marszczy czoło. A potem, gdy dociera do niego, że mogę źle zrozumieć jego prośbę, dodaje: – O Boże, nie o to chodzi! Sprawa jest czysto służbowa. Zgodziłbyś się? Zasadniczo? Dla dobra sprawy? Musiałbyś zdobyć jej zaufanie.

– A ta sprawa to „Fuks”? – pytam ostrożnie.

– Tak jest. Wyłącznie. Całkowicie. Dla dobra i dalszych sukcesów operacji „Fuks”. Dla jej przetrwania. Chodzi o pewne działania dodatkowe, które nagle stały się konieczne – odpowiada. Popijamy soczek jabłkowy, mijają nas spacerowicze rozkoszujący się słońcem. – A poza tym to osobista prośba od Kontrolera – dopowiada, by mnie jeszcze bardziej zachęcić lub bym potem nie miał do niego pretensji. – Sam cię zaproponował: „Niech to zrobi ten młody Guillam”. To osobiste wyróżnienie.

Czy mam to traktować jako komplement czy jako zawołowane ostrzeżenie? Zawsze podejrzewałem, że George nie bardzo lubi Kontrolera. A Kontroler w ogóle nikogo nie lubił.

– Jestem pewny, że będzie mnóstwo okazji, żebyś się z nią zetknął – mówi dalej, tym razem bardziej optymistycznie. – Po pierwsze należy do lokalnego oddziału partii komunistycznej. Weekendami sprzedaje „Daily Workera”. Tylko że ja jakoś nie widzę ciebie kupującego u niej komunistyczną gazetkę. A ty widzisz?

– Pytasz o to, czy wystarczająco wyglądam na czytelnika „Daily Workera”? No nie. Nie bardzo.

– Masz rację. Masz rację. Nic na siłę. Pod żadnym pozorem nie udawaj kogoś, na kogo nie pasujesz. Lepiej trzymaj się własnej sympatycznej mieszczańskiej tożsamości. A ona biega – dodał, jakby właśnie sobie przypomniał.

– Jak to: biega?

– Codziennie rano. Moim zdaniem to czarujące. Nie uważasz? Biega dla zdrowia. Dla lepszego samopoczucia. Parę razy wokół boiska koło domu. Sama. A potem jedzie do pracy do takiej hurtowni książek w Fulham. Nie do księgarni, tylko do hurtowni. Sprzedaż wysyłkowa. Nam może się to wydawać nudne, ale dla niej to prawdziwa misja. Wszyscy powinni mieć książki. Uciśnione masy przede wszystkim. Oczywiście bierze też udział w marszach.

– To nie tylko w biegach?

– W Marszach Pokoju, Peter. Przez duże M i duże P. Dla pokoju maszeruje z Aldermaston na Trafalgar Square, a potem, jak jej mało, to jeszcze do Hyde Park Corner. Szkoda, że tak naprawdę w ten sposób pokoju się nie zapewni...

Czy czeka, żebym się uśmiechnął? Na wszelki wypadek próbuję.

– Ale oczywiście nie musisz zaraz nieść za nią transparentu. To też nie byłby najlepszy pomysł. Ty jesteś porządny, choć burzuj, robisz karierę, to dla niej zupełnie nieznany gatunek człowieka, więc możesz ją zaciekawić. Wystarczą porządne buty do biegania i ten twój łobuzerski uśmiech, a zaraz będziecie kumplami. A jeżeli w dodatku znowu poudajesz Francuza, to w odpowiednim czasie całkiem naturalnie się ulotnisz. I po krzyku. Ty zapomnisz o niej, ona o tobie i już.

– Przydałoby się wiedzieć, jak się nazywa – zauważam.

On też już o tym myślał. Niechętnie. Bez zdecydowania.

– Tak, no cóż... To emigranci. Jej rodzina, znaczy. Rodzice są tu pierwszym pokoleniem, ona drugim. Po dłuższym zastanowieniu postanowili osiedlić się tutaj pod nazwiskiem Gold – wyrzuca z siebie wreszcie, jakbym na siłę to z niego wyciągnął. – Na imię ma Elizabeth. Dla przyjaciół: Liz.

Nie śpiesz się. Piję soczek jabłkowy w towarzystwie grubaska w kapeluszu z szerokim rondem. Wokół nikt inny też się nie śpieszy.

– A kiedy już, jak to określiłeś, zdobędę jej zaufanie, to co?

– No, to przyjdiesz do mnie i mi o tym powiesz – ucina, jakby w jednej chwili całe jego wahanie przemieniło się w gniew.

Jestem młodym przedstawicielem handlowym z Francji. Nazywam się Marcel Lafontaine. Obecnie mieszkam w prowadzonym przez Hindusów pensjonacie w Hackney na wschodzie Londynu. Mam na to papiery. Dzień piąty. Codziennie o świcie jadę autobusem do parku Victorii i biegam. Zwykle jest nas tam z sześć, siedem osób. Biegamy, stoimy, dysząc, na schodach hali sportowej, mierzymy sobie czas, porównujemy. Moich towarzyszy bawi nieco moje francuskie imię, ale są jakby zawiedzeni, że nie mówię z francuskim akcentem. Tłumaczę się, że moja nieboszczka matka była Angielką.

W każdej legendzie najlepiej likwidować wszystkie niepotrzebne elementy, bo inaczej robi się to zbyt skomplikowane.

Z naszych trzech regularnych biegaczek Liz (nie mamy nazwisk) jest najwyższa, choć wcale nie najszybsza. Szczerze mówiąc, nie ma do biegania wielkiego talentu. Robi to, by ćwiczyć silną wolę, dla dyscypliny umysłowej, by czuć się niezależną. Jest pełna rezerwy i chyba nie zdaje sobie sprawy z własnej – nieco chłopięcej – urody. Ma długie nogi, ciemne krótko ostrzyżone włosy, szerokie czoło i wielkie piwne bezbronne oczy. Wczoraj po raz pierwszy wymieniliśmy uśmiechy.

– Masz dziś ciężki dzień? – pytam.

– Dziś mamy strajk – odpowiada bez tchu. – Muszę być pod bramą o ósmej.

– Pod jaką bramą?

– W pracy. Właściciel chce zwolnić naszego przedstawiciela związkowego. To może się ciągnąć tygodniami.

No to cześć, cześć, do następnego razu.

Ale następny raz przypada już nazajutrz. Jest sobota, więc pewnie się nie pikietuje, w końcu lud pracujący też musi kiedyś robić zakupy. Idziemy do kafeterii na kawę, pyta, czym się zajmuję. Tłumaczę, że zajmuję się akwizycją zamówień dla jednej firmy farmaceutycznej z Francji, sprzedaję różne rzeczy do tutejszych szpitali i praktyk prywatnych. Ona na to, że to musi być interesujące. Odpowiadam, że w sumie to nie bardzo, bo tak naprawdę chciałbym studiować medycynę, tylko że ojciec się nie zgadza, ponieważ firma, w której pracuję, jest nasza, rodzinna, a ojciec chce, żebym się u niego podszkolił w fachu od zera i potem przejął interes. Pokazuję wizytówkę. Nazwa firmy to nazwisko mojego fikcyjnego ojca. Liz ogląda wizytówkę ze zmarszczoną brwią i z uśmiechem. W końcu zwycięża brew.

– Naprawdę uważasz, że to w porządku? Tak ze społecznego punktu widzenia? Żeby syn dziedziczył firmę po ojcu tylko dlatego, że jest jego synem?

A ja odpowiadam, że nie, nie uważam, że to w porządku, nie podoba mi się to. Mojej narzeczonej też nie i właśnie dlatego chcę być lekarzem, jak ona, bo nie tylko kocham narzeczoną, ale ją podziwiam i uważam, że z nas dwojga to ona naprawdę pracuje dla dobra ludzkości.

A narzeczoną wymyśliłem sobie dlatego, że choć Liz wydaje mi się aż zanadto pociągająca, do końca życia nie dopuszczę, by powtórzyło się to co z „Tulipan”. Poza tym właśnie dzięki tej mojej narzeczonej możemy spacerować z Liz nad kanałem i nawzajem zwierzać się sobie – skoro ona już wie, że bez pamięci kocham i podziwiam jakąś lekarzkę we Francji.

Potem, kiedy już nazwierzaliśmy się sobie z osobistych marzeń i nadziei, rozmawiamy

o rodzicach i o tym, jak to jest być tu cudzoziemcem – przynajmniej częściowo. Pyta mnie, czy jestem Żydem. Odpowiadam, że nie.

Przy winie z karafki u Greka chce wiedzieć, czy jestem komunistą. Zamiast znowu zaprzeczyć, zaczynam się z nią droczyć. Mówię, że trudno mi się zdecydować, czy być bolszewikiem czy mienszewikiem, i zagaduję, czy mogłaby mi pomóc wybrać.

Wtedy robi się poważnie – a przynajmniej ona poważnieje – i zaczynamy rozmawiać o murze berlińskim, o którym sam tyle ciągle myślę, że jest dla mnie kompletnym zaskoczeniem, że ona też.

– Mój ojciec twierdzi, że mur jest po to, by faszyci nie włązili do Berlina Wschodniego – mówi.

Ja na to:

– No cóż, można i tak uważać.

Złości ją to.

– A według ciebie po co jest? – pyta ostro.

– Na pewno nie po to, żeby ktoś nie mógł wejść – mówię. – Raczej po to, żeby nikt nie mógł wyjść.

Na to dostaję już odpowiedź, z którą nie ma jak polemizować i nad którą najpierw długo się zastanawiała:

– Widzisz, Marcel, mój ojciec wcale tak nie uważa. Faszyci zabili mu rodzinę. To mu wystarcza.

\*

– Oj, Peter, Peter. Pamiętnik biednej Liz nie może się ciebie nachwalić – mówi mi teraz Tabitha ze swym pełnym pożałowania słodkim uśmiechem. – Jakiś ty rycerski! Jaki z ciebie prawdziwy francuski dżentelmen! Tak świetnie mówisz po angielsku, że ona chwilami zapomina, że jesteś Francuzem. Szkoda, że na świecie nie ma więcej takich mężczyzn! Wiadomo, że do partii się nie zapiszesz, trudno, ale jesteś prawdziwym humanistą, wiesz, co to miłość, i gdyby trochę nad tobą popracować, może kiedyś spadłyby ci łuski z oczu! Nie pisze co prawda, że ma ochotę dosypać twojej narzeczonej arseniku do herbaty, ale nie musi. A jeżeli zapomniałeś, to przecież zrobiła ci zdjęcie. O, to zdjęcie. Specjalnie pożyczyła polaroid od ojca.

Jestem w stroju do biegania, opieram się o jakąś metalową poręcz, bo tak mnie ustawiła. Potem powiedziała mi, że bym zachowywał się naturalnie i się nie uśmiechał.

– No i oczywiście uczepili się tego. To ich pierwszy dowód rzeczowy, można powiedzieć. Podstępny podrywacz, który zawrócił biednej dziewczynie w głowie i poprowadził ją na rzeź. Właściwie napisali na twój temat cały elaborat.

\*

– Już jesteśmy kumplami – melduję Smileyowi, tym razem nie na słoneczku w Hampstead Heath, tylko znowu w „Stajni”. W tle słychać stukot maszyn szyfrujących na piętrze i mechanicznych maszyn do pisania, obsługiwanych przez żeński personel operacji „Fuks”.

Przekazuję mu resztę ustaleń wywiadowczych. Mieszka z rodzicami, rodzeństwa brak.

Wieczorami nie wychodzi. Rodzice się kłócą. Ojciec nie wie, czy jest komunistą czy syjonistą. Nigdy nie opuszcza modłów w synagodze, jest na każdym zebraniu z towarzyszami. Matka jest zdecydowanie niereligijna. Tata chciałby, żeby Liz zajęła się handlem odzieżą. Mama chce, by zrobiła kurs nauczycielski. Mam jednak dziwne przeświadczenie, że George już to wszystko wie, bo przecież dlaczego wybrał właśnie ją?

– Pytanie, czego chce sama Elizabeth. Ciekawe – rozważa.

– Ona chce się stąd wyrwać, George – mówię może bardziej niecierpliwie, niż chciałem.

– Ale czy w jakimś konkretnym kierunku? Czy też wszystko jedno dokąd?

Mówię, że jej chyba najbardziej odpowiadałaby praca w bibliotece. Najlepiej marksistowskiej. Pisała już gdzieś do Highgate, ale jej nie odpowiedzieli. I mówię mu jeszcze, że i tak pracuje społecznie w bibliotece dzielnicowej. I że czyta opowiadania dzieciom emigrantów, które jeszcze nie nauczyły się po angielsku. Ale George pewnie wie i to.

– No, to musimy jakoś jej pomóc, prawda? Dobrze by było, gdybyś jeszcze z nią chwilę został, nim odejdziesz w siną francuską dal. Bardzo ci to nie odpowiada?

– No. Bardzo.

I widzę, że George'owi też niespecjalnie to odpowiada.

\*

Minęło pięć dni i dwa spacerki nad kanałem. Kolejny wieczór w „Stajni”.

– Zorientuj się, czy to by jej nie pasowało – proponuje George, wręczając mi kartkę wydartą z kwartalnika pod strasznym tytułem „Paranormal Gazette”. – Znalazłeś to w poczekalni u jednego lekarza, któremu sprzedawałeś leki tatusia. Płaca głodowa, ale to jej pewnie za bardzo nie przeszkadza.

Biblioteka Badań Psychiczných w Bayswater poszukuje pomocnika bibliotekarza. Podania wraz ze zdjęciem i życiorysem prosimy składać u p. Eleanory Crail.

\*

– Marcel, dostałam pracę! Marcel! – mówi Liz, równocześnie śmiejąc się i płacząc, i wymachując listem w kafeterii hali sportowej. – Dostałam! Dostałam! Tata mówi, że powinnam się wstydzić za siebie, że to szczyt burżuazyjnych zabobonów, pewnie w dodatku antysemitycznych. Mama mówi, żeby brać, bo to pierwszy krok w górę. No to wzięłam. Zaczynam w pierwszy poniedziałek miesiąca!

Po czym odkłada list, podskakuje, ściska mnie i oświadcza, że jestem jej najlepszym kolegą. Nie po raz pierwszy żałuję, że tak przekonująco wymyśliłem tę dziewczynę we Francji. Mam wrażenie, że Liz też żałuje.

\*

Teraz już niewiele było trzeba, żebym się wściekł. Wkrótce Tabitha przekonała się o tym na własnej skórze.

– A więc ledwo ją omotałeś, już uciekłeś i powiedziałeś swojemu kumplowi Alecowi, że

masz dla niego kochaną miłą komunistkę. I że wystarczy, by załatwił sobie pracę w tej samej kretyńskiej bibliotece, a ona zaraz się z nim prześpi. Tak było?

– W ogóle nie było mowy o informowaniu o niej Aleca. Nawiązałem kontakt z Liz Gold w ramach operacji „Fuks”. Alec nie był dopuszczony do „Fuksa”. To, co zaszło między Alekiem a Liz od chwili, gdy dostała pracę w bibliotece, nie miało nic wspólnego ze mną i nie byłem o niczym informowany.

– W takim razie jakie dokładnie były polecenia Smileya dla ciebie względem Aleca Leamasa, kiedy zaczął udawać, że się rozpija, że mu odbiło, że myśli o zdradzie?

– Miałem dalej być jego kumplem i reagować na bieżąco. Pamiętając o tym, że w miarę rozwoju operacji przeciwnik będzie analizował moje postępowanie równie dokładnie jak postępowanie Aleca.

– Popraw mnie, jeśli się mylę. Instrukcje Kontrolera dla Leamasa były mniej więcej takie: wiemy, że nienawidzisz Amerykanów, Alec, to poudawaj, że nienawidzisz ich jeszcze bardziej. Wiemy, że pijesz jak szewc, więc teraz pij dwa razy tyle. I wiemy, że jak się napijesz, to zaraz rwiesz się do bitki, więc nie krępuj się, wręcz przeciwnie, zrób zadymę, jakiej świat nie widział. Zgadza się?

– Alec miał zrobić jakiś grubszy numer. Szczegóły należały do niego. Tyle mi powiedział.

– Kto? Kontroler?

O co jej chodzi? Dla kogo ona pracuje? Raz jest o włos od prawdy, to znów ucieka przed nią, jakby się paliło.

– Smiley.

\*

Podczas przerwy obiadowej jestem na drinku z Alekiem w pubie o kilka minut piechotą od Cyrku. Kontroler dał mu ostatnią szansę, żeby się uspokoił – wsadził go do Sekcji Bankowości na parterze, by nakradł ile tylko się da. Alec mi tego nie mówi. Nie jestem pewien, czy wie, ile wiem. Jest już wpół do trzeciej – spotkaliśmy się o pierwszej – a jak się pracuje na parterze, to ma się na lunch godzinę i ani chwili dłużej.

Po paru piwach Alec przechodzi na szkocką, a zjadł tylko paczuszkę chipsów polanych sosem tabasco. Na cały głos narzeka, że Cyrk to teraz banda dziwaków, że nie wie, gdzie się podziali ci wszyscy porządni faceci z czasów wojny, i że tych na górze interesuje już tylko lizanie dupy Amerykanom.

Ja głównie słucham, mówię mało, bo nie jestem do końca pewny, ile z tego to autentyczny Alec, a ile należy do jego roli – i właśnie tak powinno być. Dopiero gdy stoimy na chodniku, kilka kroków od pędzących ulicą samochodów, chwytą mnie za ramię. Przez chwilę wydaje mi się, że zaraz mnie uderzy. Ale nie – obejmuje mnie rękami i funduje mi niedźwiadka, bo właśnie tego można się spodziewać po pijanym Irlandczyku, którego ma udawać. Po policzkach ciekną mu łzy.

– Ja cię kocham, słyszysz, Pierrot?

– Ja ciebie też, Alec – mówię, bo tak wypada.

Nim wreszcie mnie odepchnie, pyta:

– Ale jedno mi powiedz. Z ciekawości się pytam. Co to jest ten „Fuks”, kurwa?



- Takie jedno źródło prowadzone przez Operacje Tajne. A bo co?
- Bo ten stary alfons Haydon spił się niedawno i mnie pytał. Truł, że Operacje Tajne mają fantastyczne źródło, ale nie chcą się dzielić z Komitetem Sterującym. Wiesz, co mu powiedziałem?
- Co?
- Powiedziałem mu, że gdybym to ja kierował Operacjami Tajnymi, a ktoś z Komitetu zaczął mnie truć o to nowe źródło, tobym go kopnął w jaja.
- A Bill co na to?
- Powiedział mi, żebym się odpieprzył. I wiesz, co jeszcze mu powiedziałem?
- No nie wiem.
- Żeby trzymał swoje pedalskie łapy z daleka od żony George’a.

\*

Siedzę w „Stajni”. Jest późna noc. W „Stajni” zawsze jest późna noc. „Stajnia” to dom, który żyje nocą i tylko nagłymi niespodziewanymi zrywami. Czasem siedzimy, czekamy i umieramy z nudów. A czasem przy wejściu nagle coś się kotłuje, słychać krzyk: „Do roboty!”, wpada Jim Prideaux i przynosi najnowsze zdobycze „Fuksa”. Przyszły mikropunkty albo tajnopis na kalce – Jim własnymi rękami odebrał je z martwej skrzynki kontaktowej na terytorium przeciwnika albo „Fuks” wręczył mu je osobiście podczas jednogodzinowego spotkania w jakimś zaułku w Pradze. Nagle zaczynam biegać tam i z powrotem z telegramami, siedzę za biurkiem i po kolei obdzwaniam wszystkich klientów przez zielony telefon, panie z obsługi „Fuksa” tłuką w maszyny do pisania, na piętrze warczy u Bena maszyna szyfrująca. Przez najbliższe pół doby będziemy rozbierać materiał Mundta na czynniki pierwsze, rozdzielać go na kilka różnych całkowicie fikcyjnych źródeł – tu coś z nasłuchu radiowego, tam jakieś nagranie telefoniczne czy ze zwykłego podsłuchu – i tylko z rzadka, żeby całkiem nie wyzbyć się czynnika ludzkiego, wrzucamy coś z bezpośredniej rozmowy z jakimś nieprawdopodobnie wysoko postawionym informatorem. Ale zawsze używamy tylko jednego kryptonimu – „Fuks” – i wyłącznie do użytku uprawnionych czytelników. Dziś mamy ciszę przed burzą. Tym razem George siedzi sam w środkowym pokoju.

Zagaduję go:

- Parę dni temu widziałem się z Alekiem.
- A czy myśmy nie uzgodnili, Peter, że twój kontakt z Alekiem ma się teraz rozluźnić?
- Bo ja jednej rzeczy w tym całym „Fuksie” nie rozumiem. A uważam, że powinienem rozumieć – mówię, tym samym zaczynając z góry ułożone przemówienie.
- Powinieneś? Kto twierdzi, że powinieneś? Peter, zadziwiasz mnie.
- George, to proste pytanie.
- Nie miałem pojęcia, że zajmujemy się prostymi pytaniami.
- Na czym polega zadanie Aleca? Tylko tyle.
- Dobrze wiesz, że na tym, by robił, co robi. Ma zostać jednym z tych, którym się w życiu nie poszczęściło. Żeby go można wyrzucić z Firmy. Ma sprawiać wrażenie kogoś, kto ma pretensje, chce się odegrać, kogo można przekabacić, kupić.

– Ale po co to wszystko, George? Jaki jest nasz cel?

George nie wytrzymał. Okazuje zniecierpliwienie. Chce coś powiedzieć, bierze wdech, zaczyna od nowa:

– Twój przyjaciel Alec Leamas otrzymał rozkaz: ma ukazać w pełnym świetle wszystkie dobrze znane wady swego charakteru. Chodzi o to, by zwrócić na niego uwagę werbowników drugiej strony, może przy skromnym udziale zdrajcy lub zdrajców, których mamy wśród nas, i wystawić na sprzedaż jego spory przecież zasób wiedzy wywiadowczej, żebyśmy potem mogli dorzucić trochę kłamstw.

– Czyli to jest zwykła operacja dezinformacyjna z udziałem podwójnego agenta.

– Może nie tak całkiem zwykła, ale tak, rzeczywiście.

– Tylko że jemu się wydaje, że tak naprawdę ma zabić Mundta.

– No i ma rację, prawda? – odpowiada George ostro, bez chwili namysłu i nie zmieniając tonu.

Patrzył na mnie z wściekłością przez te swoje zaokrąglone okulary. Myślałem, że już dawno powinniśmy usiąść, ale nadal staliśmy, a jestem znacznie wyższy od George'a. Przede wszystkim jednak uderzył mnie jego oschły ton przywodzący na myśl nasze spotkanie w policyjnym bliźniaku kilka godzin po tym, jak zawarł pakt z diabłem, czyli z Mundtem.

– Alec Leamas jest zawodowcem. Jak ty i jak ja. Jeżeli Kontroler nie dał mu do przeczytania wszystkich warunków jego misji, tym lepiej dla Aleca i tym lepiej dla nas. Dzięki temu nie potknie się i nie zdradzi czegoś, czego nie wie. A jeżeli jego misja osiągnie sukces w sposób, którego się nie spodziewał, nie będzie się czuł oszukany. Wręcz przeciwnie, uzna, że zrobił, co do niego należało.

– Ale przecież Mundt jest nasz, George! To nasz agent! Przecież to on jest „Fuksem”!

– Wielkie dzięki. Hans-Dieter Mundt jest tajnym współpracownikiem Firmy. Z tego powodu należy za wszelką cenę chronić go przed tymi, którzy słusznie go podejrzewają i marzą tylko o tym, żeby postawić go pod murem i zająć jego stanowisko.

– A Liz?

– Elizabeth Gold? – Zupełnie jakby zapomniał, jak ona się nazywa, albo jakbym się przejęzyczył. – Od Elizabeth Gold chcemy tylko, żeby robiła to, co jej przychodzi bez wysiłku. Ma mówić prawdę i tylko prawdę. Czy teraz wiesz już wszystko, co chciałeś wiedzieć?

– Nie.

– Zazdrość ci.

## 12

Kolejne przedpołudnie. Tym razem jest szaro. Gdy wsiadam do autobusu, na Dolphin Square pada deszcz. Choć przybywam do „Stajni” przed czasem, Tabitha już tam jest, już siedzi, już czeka. Jest bardzo z siebie dumna, bo – jak twierdzi – ktoś podrzucił jej na wycieraczkę raporty inwigilacyjne ze Special Branch. Oczywiście nie ma pojęcia, czy są autentyczne i czy będzie jej potem wolno z nich skorzystać, ale niech mnie ręka boska broni, by komuś wypaplać, że je ma. Z tego co mówi, dochodzę do wniosku, że musi mieć kogoś znajomego w Special Branch i że raporty są jak najbardziej autentyczne.

– To może zacznijmy od tego. Najwcześniejszego. Ani słowa o tym, kto namówił Special Branch, żeby wzięła się za Aleca. Tylko tyle, że to prośba z „Pudła”. O ile wiem, w tamtych czasach policjanci tak nazywali Cyrk. Zgadza się?

– Zgadza się.

– Domyślasz się, kto w Cyrku mógł o to poprosić Special Branch?

– Pewnie Komitet Sterujący.

– Ale kto konkretnie z Komitetu?

– Właściwie każdy. Bland, Alleline, Esterhase. Może nawet sam Haydon. Tylko najprawdopodobniej zlecił to komuś od siebie, żeby sobie nie ubrudzić rąk.

– I inwigilację ma prowadzić Special Branch, a nie nasza kochana Służba Bezpieczeństwa? Czy to zgodne z procedurą?

– Całkowicie.

– Dlaczego?

– Bo obie służby nie bardzo się lubiły.

– A nasza dzielna policja?

– Nie cierpiała Służba Bezpieczeństwa, bo się wtrącała w nie swoje sprawy, i nie cierpiała Cyrku, bo byliśmy bandą zarozumiałych pedałów, których jedynym celem w życiu było łamanie prawa.

Zamyśliła się. Najpierw nad tym, co powiedziałem, potem w ogóle nade mną, obrzucając mnie badawczym spojrzeniem swoich smutnych oczu.

– Czasem jesteś bardzo pewny siebie. Ktoś mógłby pomyśleć, że wiesz więcej, niż mówisz. Musimy się tego wystrzegać. Mamy z ciebie zrobić mało ważnego urzędnika, który dał się wplątać w wir wydarzeń historycznych. A nie kogoś, kto ma coś bardzo ważnego do ukrycia.

\*

Dyr. Special Branch do Cyrku. Tajne spec. znaczenia.

Temat: Operacja „Galaktyka”.

Przed zajęciem pozycji moi funkcjonariusze przeprowadzili dyskretne rozpoznanie codziennych zajęć obserwowanej pary pod kątem zatrudnienia, stylu życia i ich

wzajemnych stosunków.

Figuranci pracują na pełny etat w Bibliotece Badań Psychiczych w Bayswater, prywatnej instytucji kierowanej przez Eleanorę Crail, niezamężną kobietę w wieku 58 lat, osobę wyróżniającą się pod względem zachowania i aparycji, dotąd przez policję nienotowaną. Nieświadoma, że rozmawia z jednym z moich funkcjonariuszy, udzieliła mu następujących informacji na temat figurantów:

„Wenus”, którą nazywa swoją „kochaną Lizzie”, od pół roku pracuje u niej na pełnym etacie na stanowisku pomocnika bibliotekarza. Według Crail sprawuje się bez zarzutu – jest punktualna, układna, inteligentna, przyzwoicie się zachowuje, szybko i pilnie uczy się zawodu, ma staranne pismo i „jak na swoje pochodzenie całkiem przyzwoicie posługuje się angielszczyzną”. Crail nie ma jej za złe komunistycznych przekonań, z którymi „Wenus” się nie kryje, „pod warunkiem że nie będzie się nimi popisywała w pracy”.

„Mars”, który jest dla niej „paskudnym panem L.”, został zatrudniony na pełny etat drugiego pomocnika bibliotekarza na czas remontu biblioteki i według Crail „nie jest wartościowym pracownikiem”. Już dwukrotnie zwracała uwagę lokalnej agencji pracy na jego nieodpowiednie zachowanie, ale bez rezultatu. Uważa, że jest niechlujny, nieuprzejmy, nie wraca na czas z przerw obiadowych i często „czuć od niego napoje wysokowe”. Crail ma mu za złe, że na każdą uwagę odpowiada, celowo imitując silny irlandzki akcent, i że zwolniłaby go już po pierwszym tygodniu, gdyby jej kochana Lizzie („Wenus”) się za nim nie wstawiła, ponieważ między figurantami – mimo znacznej różnicy wieku i odmiennych światopoglądów – powstała „niezdrowa nić porozumienia”, które według Crail mogło już nawet przekształcić się w związek erotyczny. Widać to choćby po tym, że już po dwóch tygodniach znajomości równocześnie przybywają rano do pracy. Oprócz tego wielokrotnie widziała, że trzymają się za ręce, i to wcale nie dlatego, że podają sobie książki.

Kiedy mój funkcjonariusz od niechcienia zapytał, czy „Mars” podał poprzednie miejsce zatrudnienia, Crail odpowiedziała, że według biura pracy był podrzędnym urzędnikiem w jakimś banku. To tylko pokazuje, twierdzi Crail, że banki przyjmują teraz do pracy byle kogo.

Inwigilacja.

Na początek obserwacji funkcjonariusze wybrali drugi piątek miesiąca, czyli dzień, w którym oddział Komunistycznej Partii Wielkiej Brytanii z Goldhawk Road organizuje dla wszystkich osób o poglądach lewicowych wszelkiej maści dzień otwarty w Oddfellows Hall na tej samej ulicy – jak się okazało, „Wenus” niedawno przepisała się do tego oddziału po przeprowadzce do Bayswater. Do regularnych uczestników imprezy należą m.in. członkowie Socjalistycznej Partii Robotniczej, radykalnego skrzydła Partii Pracy, Kampanii na rzecz Rozbrojenia Jądrowego i dwoje naszych tajnych pracowników obojga płci, co umożliwiła prowadzenie obserwacji również w toaletach.

Po wyjściu z biblioteki o godz. 17.30 figuranci wstąpili do pubu „Queen’s Arms” na Bayswater Street, gdzie „Mars” wypił dużą whisky, a „Wenus” mały kieliszek musującego wina gruszkowego. Zgodnie z naszymi przewidywaniami w Oddfellows’ Hall pojawili się o godz. 19.12. Dzień otwarty odbywał się tym razem pod hasłem: „Pokój – ale za jaką cenę?”. W wynajętej sali, obliczonej na 508 osób, znajdowało się ok. 130 osób różnych kolorów skóry i pozycji społecznych. „Wenus” i „Mars” szybko zajęli miejsca obok siebie z tyłu sali, w pobliżu wyjścia. „Wenus”, osobę lubianą w tym środowisku, wielu towarzyszy powitało uśmiechami i skinieniem głowy.

Kilka słów wprowadzenia wygłosił R. Palme Dutt, dziennikarz i działacz komunistyczny, który zaraz potem opuścił salę. Następnie głos zabrało kilku mniej wybitnych mówców. Ostatnim był Bert Arthur Lownes, właściciel „Ludowego Sklepu Spożywczego” na Bayswater Road, podający się za trockistę i dobrze znany policji z powodu licznych burd, awantur i zakłóceń prawa i porządku w miejscu publicznym.

Jeszcze zanim Lownes podszedł do mikrofonu, „Mars” okazywał objawy zniecierpliwienia i nudy. Ziewał, przysypiał i od czasu do czasu popijał z piersiówki niezidentyfikowany trunek. Z ośpienia – że zacytuje mojego funkcjonariusza – ocknął się dopiero pod wpływem krzykliwego przemówienia Lownesa. Niespodziewanie podniósł rękę, by zwrócić uwagę przewodniczącego zgromadzenia, Billa Flinta, który pełni funkcję skarbnika komórki partyjnej z Goldhawk Road, on zaś poprosił „Marsa”, by się przedstawił i zgodnie z zasadami dnia otwartego zadał mówcy pytanie. Notatki obojga funkcjonariuszy z tego, co nastąpiło, są identyczne:

Mars [mówi z irlandzkim akcentem. Przedstawia się]: Z zawodu jestem bibliotekarzem.

Mam pytanie do towarzysza. Mówicie nam, żeby sobie darować zbrojenie się po zęby przeciwko Sowietom, bo Sowietci nikomu nie zagrażają. Dobrze mówię? Na cholere bawić się w wyścig zbrojeń, skoro można tę forszę wydać na piwo?

[Śmiech].

Lownes: A niech mnie, trochę upraszczacie, towarzyszu. Ale dobrze, niech wam będzie.

Tak.

Mars: Według was prawdziwy wróg, którego trzeba się bać, to Ameryka. Amerykański imperializm. Amerykański kapitalizm. Amerykańska agresja. Co, też upraszczam?

Lownes: Ale o co konkretnie wam chodzi, towarzyszu?

Mars: A o to, towarzyszu, że czy w takim razie nie powinniśmy się zbroić po zęby przeciwko Amerykanom, skoro to ich mamy się bać?

Odpowiedź Lownesa zagłuszyły śmiechy, złośliwe okrzyki i gdzieniegdzie oklaski. „Wenus” i „Mars” wychodzą drzwiami z tyłu sali. Kiedy są już na zewnątrz, wygląda na to, że mocno się o coś kłócą. Ale szybko się godzą i trzymając się pod ramię, idą na przystanek autobusowy. Po drodze przystają tylko po to, by się przytulić.

Dodatek.

W zapiskach funkcjonariuszy znalazły się też niezależnie od siebie dwa podobne opisy tego samego dobrze ubranego mężczyzny w wieku około 30 lat, średniego wzrostu, o pofalowanych włosach blond i zniewieściałym wyglądzie, który poszedł na przystanek za figurantami i wszedł do tego samego autobusu. Usiadł na dole, ale figuranci przenieśli się na górę, bo Mars chciał zapalić. Gdy figuranci wysiedli, mężczyzna podążył za nimi do samej bramy domu, w którym mieszkają. Odczekał, aż na trzecim piętrze zapaliło się światło, po czym natychmiast udał się do budki telefonicznej.

\*

– Czyli wielki plan zaczynał się realizować. Smok już obwąchiwał twojego wypchanego barana. Smok reprezentowany przez naszego dobrze ubranego zniewieściałego pana. Tak?

– To nie był mój baran, tylko Kontrolera.

– A nie Smileya?

– Jeśli chodzi o wystawienie Aleca przeciwnikowi, Smiley grał drugie skrzypce.

– To mu odpowiadało?

– Chyba tak.

Zaczynam poznawać nową Tabithę. Albo tę prawdziwą. Tę, która właśnie pokazuje pazury.

– Widziałeś wcześniej ten raport?

– Słyszałem, co w nim było. Tak z grubsza.

– Tutaj o nim słyszałeś? W tym domu? Razem z innymi kolegami dopuszczonymi do operacji „Fuks”?

– Tak.

– To musiała panować ogólna radość. Hura, połknęli przynętę!

– W sumie tak.

– Co tak bez przekonania? Osobiście nie miałeś złych przeczuc co do tej operacji? Miałeś ochotę się z niej wyłączyć, tylko nie bardzo było jak?

– Wszystko szło po naszej myśli. Operacja rozwijała się prawidłowo. Nie było powodów do zmartwień.

W pierwszej chwili wydawało mi się, że nie zgodzi się ze mną, ale zmieniła zdanie.

– A teraz to. Piękna sprawa – powiedziała, popychając w moją stronę kolejny raport.

\*

Komendant Special Branch do „Pudła”. Tajne spec. znaczenia.

Temat: Operacja „Galaktyka”. Raport nr 6.

Nieuzasadniona napaść na Billa Arthura Lownesa, właściciela „Ludowego Sklepu Spożywczego”, placówki handlu detalicznego prowadzonej na zasadach spółdzielczych na Bayswater Road. 21 IV 1962, godz. 17.45.

Poniższe informacje opierają się na niezaprotokołowanych zeznaniach świadków zdarzenia. Nie zostały przedstawione w sądzie, ponieważ winny dobrowolnie poddał się karze.

Przez cały tydzień poprzedzający incydent „Mars” wciąż o najróżniejszych porach pojawiał się w sklepie Lownesa w stanie wskazującym na spożycie alkoholu pod pretekstem dokonywania zakupów na poczet miesięcznego rachunku należącego do „Wenus”, głównie jednak po to, by prowadzić gwałtowne i głośnie wymiany zdań z właścicielem, mówiąc z irlandzkim akcentem, podobnie jak na dniu otwartym. W dniu zajścia mój funkcjonariusz zaobserwował, że „Mars” załadował koszyk dużą ilością artykułów spożywczych, w tym również whisky, na łączną kwotę około 45 funtów. Zapytany, czy za zakupy zamierza zapłacić gotówką, czy znów obciążyć rachunek „Wenus”, odpowiedział – cytuję: „Na rachunek, matole. A coś ty, kurwa, myślał?”. Zaraz potem dodał, że jest pełnoprawnym członkiem głodujących mas, więc należy mu się jakaś działka bogactw tego świata. Zignorował ostrzeżenie Lownesa, że rachunek „Wenus” od dawna nie był spłacany, toteż nie ma mowy o dalszym kredycie, i skierował się w stronę wyjścia, dźwigając przed sobą ciężki koszyk pełen niezapłaconego towaru. W tym momencie Lownes wyszedł zza kasy i ostrymi słowami zażądał od „Marsa” zwrotu koszyka i opuszczenia sklepu. W odpowiedzi „Mars” wymierzył Lownesowi całą serię ciosów w tułów i okolice krocza, na koniec uderzył go jeszcze łokciem w prawą połowę twarzy.

Podczas gdy inni klienci podnieśli krzyk, a żona Lownesa telefonowała po policję,

„Mars” wcale nie próbował ucieczki i nie wykazywał skruchy. Wręcz przeciwnie, wciąż lżył swą ofiarę.

Jak zauważył potem jeden z moich młodszych funkcjonariuszy, szczęśliwym trafem nie był osobiście obecny przy zajściu, bo musiałby wtedy się zdekonspirować i wkroczyć do akcji. Poza tym mocno powątpiewał, czy w pojedynkę poradziłby sobie z napastnikiem.

Na szczęście na miejscu szybko pojawili się funkcjonariusze mundurowi. Aresztowany nie stawiał oporu.

\*

– No więc moje pytanie jest takie: czy osobiście wiedziałeś wcześniej, że Alec skatuje tego biedaka Lownesa?

– W zasadzie tak.

– Jak to: w zasadzie?

– Chodziło im o taki moment, kiedy Alec spali za sobą wszystkie mosty. Wyjdzie z więzienia, nie będzie miał pensa przy duszy, nie będzie miał wyjścia...

– „Im”, czyli Kontrolerowi i Smileyowi?

– Tak.

– A tobie nie? To nie był twój genialny pomysł, który ukradli ci twoi szefowie?

– Nie.

– Bo widzisz, mnie najbardziej martwi, że to ty mogłeś osobiście namówić Aleca do tego wszystkiego. Albo że druga strona będzie tak twierdziła. Że to ty popchnąłeś biednego zdesperowanego przyjaciela do jeszcze gorszych czynów. Na szczęście to nieprawda. Co za ulga! Tak samo z tą kasą, którą Alec podprowadził z sekcji bankowości Cyrku. To także kazało mu zrobić sześć innych osób, nie ty?

– Tak naprawdę to chyba Kontroler.

– Doskonale. A więc Alec tylko wykonywał rozkazy przełożonych, ty byłeś jego kumplem, a nie jego złym duchem. I Alec był tego wszystkiego świadomy, tak?

– Myślę, że tak. Tak.

– Czyli wiedział też, że jesteś dopuszczony do „Fuksa”?

– Ale gdzie tam! Niby skąd miał wiedzieć? On w ogóle nic nie wiedział o „Fuksie”!

– No właśnie, tak się spodziewałam, że się wkurzysz. Teraz, jeśli pozwolisz, pójdę się dalej przygotować, a ty przerzuć sobie to paskudztwo. Angielski przekład jest straszny, ale podobno oryginał jeszcze gorszy. Jeszcze zatęsknisz za przepięknym literackim stylem naszej Special Branch.

FRAGMENTY NIEPUBLIKOWANYCH AKT STASI, PRZEZNACZONYCH DO UJAWNIEŃIA W 2050 R. WYBÓR I PRZEKŁAD: ZARA N. POTTER, TŁUMACZENIA PRZYSIĘGŁE, NA ZAMÓWIENIE KANCELARII PRAWNICZEJ SEGROVE, LOVE I BARNABAS, LONDYN.

Gdy tylko zamknęły się za nią drzwi, ogarnęła mnie zupełnie nieracjonalna złość. Gdzie ona sobie poszła, cholera? Dlaczego tak sobie po prostu idzie? Po to, żeby wszystko opowiedzieć z zachwytem swoim kumplom w bastionie? Czy o to jej chodzi? Dają jej do ręki parę raportów Special Branch i mówią: „To teraz spróbuj z tym”? Czyli tak to działa?

Ale równocześnie wiedziałem dobrze, że jest inaczej. Tabitha to anioł. Anioł zesłany z nieba na pomoc biednemu oskarżonemu. A tymi swoimi smutnymi oczyma widzi znacznie więcej niż Bunny czy Laura. To też wiedziałem.

\*

Alec opiera się o brudną szybę i wygląda przez okno. Fotel jest jeden, więc siedzę w nim ja. Jesteśmy w pokoju na piętrze obskurnego hoteliku na godziny niedaleko dworca Paddington. Rano zadzwonił do mnie pod zastrzeżony numer w Marylebone. Ten dla agentów: „Musimy się spotkać. O szóstej w «Duchess»”. Chodziło mu o pub „The Duchess of Albany” na Praed Street. Dawniej często tam bywał. Jest wychudzony, niespokojny, ma przekrwione oczy. Dłoń, w której trzyma szklanę, drży. Mówi urywanymi zdaniami, jakby z wysiłkiem, robiąc długie przerwy.

– Jest taka jedna laska – mówi. – Komunistka jak cholera. Nie mam jej tego za złe. Z takim pochodzeniem... Zresztą teraz już nikt nie ma o nic do nikogo pretensji...

Czekam. O nic nie pytam. Sam mi powie, co zechce.

– Mówiłem Kontrolerowi. Niech jej w to nie miesza. Nie ufam staremu draniowi. Nigdy nie wiem, o co mu chodzi. Ciekawe, czy choć on wie. – Długo wpatruje się w uliczny ruch. Ja dalej milczę ze współczuciem. – A w ogóle to nie wiesz, gdzie się ostatnio George zamelinował, kurwa jego mać? – Odwraca się do mnie oskarżycielsko. – Parę dni temu miałem spotkanie z Kontrolerem na Baywater Street. George się nawet nie pokazał.

– Wiesz, George ma teraz kupę spraw w Berlinie – odpowiadam kłamliwie i dalej czekam.

Teraz Alec postanowił naśladować belferski ton Kontrolera:

– „Alec, zrób mi przysługę. Załatw Mundta. Zaraz będzie wszystkim lepiej na świecie. Podejmiesz się, stary?” No pewnie, kurwa, że się podejmę. W końcu to ten skurwysyn zabił Riemecka, nie? I wymordował połowę mojej siatki. A parę lat temu próbował załatwić George’a. Takich rzeczy nie będziemy tolerować, no nie, Pierrot?

– Nie będziemy – przytakuję skwapliwie.

Czy dosłyszał w moim głosie fałszywy ton? Popija whisky i wpatruje się we mnie jak sroka w gnat.

– Pierrot, czy ty jej przypadkiem nie poznałeś?

– Kogo?

– Mojej dziewczyny. Kurwa, wiesz dobrze kogo.

– A niby gdzie ją miałem poznać? Co ty wygadujesz? Chłopie, daj spokój.

Wreszcie odwraca się ode mnie.

– Bo opowiadała mi o takim jednym. Trochę mi ciebie przypominał. Tyle.

Ze zdumieniem kręcę głową, wzruszam ramionami, uśmiecham się. Alec znów pogrąża się w zadumie i patrzy z okna, jak na ulicy przechodnie zmykają przed deszczem.

\*

TEMAT: FAŁSZYWE OSKARŻENIA POD ADRESEM TOW. HANSA-DIETERA MUNDTA  
ROZPOWSZECHNIANE PRZEZ AGENTÓW WYWIADU BRYTYJSKIEGO. CAŁKOWITE



UNIEWINNIENIE TOW. MUNDTA PRZEZ TRYBUNAŁ LUDOWY. LIKWIDACJA IMPERIALISTYCZNYCH SZPIEGÓW PODCZAS PRÓBY UCIECZKI. PRZEDSTAWIONE PREZYDIUM SOCJALISTYCZNEJ PARTII JEDNOŚCI DN. 28 X 1962.

Posiedzenie sądu nad Mundtem w sali pod czerwoną gwiazdą z dykty było parodią sprawiedliwości, a oficjalny protokół był sto razy gorszy. Wstęp brzmiał tak, jakby pisał go sam Mundt. Może rzeczywiście go pisał.

Leamas, zapluty skorumpowany agitator antyrewolucyjny, był znanym degeneratem, pijakiem, burżuazyjnym oportunistą, kłamcą, kobieciarzem, bandytą i zdeklarowanym wrogiem postępu.

Oddani pracownicy Stasi, którzy dali się wziąć na lep jego fałszywych twierdzeń, działali w jak najlepszej wierze i nie ponoszą odpowiedzialności za to, że imperialistyczny jad znalazł chwilowy posłuch wśród wszystkich tych, którzy całe życie poświęcili walce z faszyzmem.

Proces był triumfem sprawiedliwości socjalistycznej i stał się apelem o większą czujność względem intryg kapitalistycznych szpiegów i prowokatorów.

Kobieta znana jako Elizabeth Gold była nieświadomą politycznie osobą o sympatiach prosyjonistycznych, otumanioną przez brytyjskie tajne służby, opętaną przez starszego od siebie konkubenta, wciągniętą w sieć intryg zachodnich szpiegów. Nawet gdy prowokator Leamas w całości przyznał się do popełnionych zbrodni, Gold podstępnie pomagała mu w ucieczce i za swoją dwulicowość zapłaciła najwyższą cenę.

Na koniec wyrażono wdzięczność i uznanie dla nieustraszonego obrońcy demokracji ludowej, który nie zawahał się i zastrzelił ją podczas ucieczki.

\*

– No, Peter. Musimy sobie streścić ten sąd kapturowy. Prostymi słowami. Jesteś gotowy?

– Wszystko mi jedno.

Ale ona nie daje się zbić z tropu. Zasiada dokładnie naprzeciw mnie za stołem niczym jakiś komisarz ludowy.

– Alec zostaje doprowadzony do sali posiedzeń trybunału ludowego jako główny świadek Fiedlera w jego kampanii mieszania z błotem Mundta. Zgadza się? Fiedler opowiada sędziom o pieniądzach, których ślad rzekomo prowadzi do Mundta. Tak? Rozwodzi się nad tym, że Mundt siedział w Anglii jako niby-dyplomata i właśnie wtedy został zwerbowany przez siły reakcyjnego imperializmu, czyli przez Cyrk. Potem mamy przerażającą listę tajemnic państwowych, które Mundt rzekomo miał sprzedać swym zachodnim mocodawcom. Sędziowie trybunału są zachwyceni. Do czasu. Bo co się stało?

Jej słodki uśmiech zniknął już dobrą chwilę temu.

– Bo pojawiła się Liz – odpowiadam niechętnie.

– No właśnie. Bo pojawiła się Liz. Ni stąd, ni zowąd pojawia się Liz i w błogiej nieświadomości zaprzecza wszystkiemu, co do tej pory zeznał Alec. Wiedziałaś, że to robi?

– Oczywiście, że nie! Skąd miałem wiedzieć, do diabła?

– No właśnie. Skąd? A czy nie zauważyłaś przypadkiem, co ostatecznie pograżyło Liz? I Liz, i jej Aleca? To, że w pewnej chwili wspomniała o George’u Smileyu. Że w pewnej

chwili całkiem niewinnie zeznała przed trybunałem, że wkrótce po tajemniczym zniknięciu Aleca pojawił się u niej niejaki George Smiley w towarzystwie jakiegoś młodego człowieka i powiedział, że jej Alec wykonuje wspaniałą pracę, w domyśle: na rzecz ojczyzny, i że wszystko będzie w jak najlepszym porządku. Twój George nawet zostawił jej wizytówkę, żeby o nim nie zapomniała. Zresztą nie miała żadnych kłopotów z zapamiętaniem jego nazwiska, które oczywiście było świetnie znane Stasi. Nie uważasz, że to zadziwiająco prosty błąd jak na takiego starego liska chytruska jak Smiley?

Odpowiedziałem jakoś tak, że nawet George'owi czasem zdarzały się wpadki.

– A czy przypadkiem nie ty byłeś tym młodym człowiekiem, który z nim do niej przyszedł?

– Nie! To nie ja! Dlaczego ja? Ja byłem „Marcel”! Nie pamiętasz?

– No to kto?

– Pewnie Jim. Jim Prideaux. On już wtedy się przeniósł.

– Gdzie się przeniósł?

– Z Komitetu do Operacji Tajnych.

– A był dopuszczony do „Fuksa”?

– Tak mi się zdaje.

– Tylko „zdaje”?

– Był dopuszczony.

– To powiedz mi jedno. Jeśli możesz. Kiedy Alec Leamas pojechał z tą swoją misją wkopania Mundta za wszelką cenę, kogo uważał za to anonimowe źródło, które obdarzało Cyrk fantastycznym materiałem z operacji „Fuks”?

– Nie mam pojęcia. Nigdy o tym z nim nie rozmawiałem. Może Kontroler mu coś powiedział. Ja nie wiem.

– W takim razie powiem tak, może prościej: czy w sumie można powiedzieć, że gdy Alec Leamas wreszcie wyruszył w swą zgubną podróż, mógł się domyślić drogą dedukcji czy eliminacji bądź z jakichś luźnych uwag i aluzji, czy mógł sobie wbić do skołowanej łepetyny, że źródłem, które trzeba chronić za wszelką cenę, jest Josef Fiedler, i że właśnie dlatego należy doprowadzić do likwidacji wrażego Hansa-Dietera Mundta?

Zdawałem sobie sprawę, że podnoszę głos, ale nie mogłem się powstrzymać.

– A skąd ja mam wiedzieć, do diabła, co Alec myślał, a czego nie myślał? Alec był agentem terenowym. Agent terenowy nie patrzy tak daleko. Jest wojna. Co z tego, że zimna? Dostał zadanie, musi je wykonać!

Czy ja mówiłem o Alecu? Czy o sobie?

– To w takim razie pozwól z łaski swojej, że rozwiążę tę twoją zagwozdkę. Ty, P. Guillam, jesteś dopuszczony do „Fuksa”. Tak czy nie? Jako jeden z bardzo nielicznych. Mogę mówić dalej? Mogę. Alec na pewno nie jest dopuszczony. Wiedział, że istnieje jakieś enerdowskie superźródło albo grupa źródeł o wspólnej nazwie „Fuks”. Wiedział, że ta osoba czy te osoby są prowadzone przez Operacje Tajne. Ale nie miał najmniejszego pojęcia ani o istnieniu tego domu, w którym teraz siedzimy, ani do czego służył. Prawda?

– No tak.

– I dlatego właśnie pod żadnym pozorem nie mógł być dopuszczony do „Fuksa”. Zresztą ty od początku w kółko to powtarzasz.

– No i co z tego? – mówię głuchym znużonym głosem.

– Jeżeli więc ty byłeś dopuszczony do „Fuksa”, a Alec nie, to co takiego wiedziałeś, czego Alec miał nie wiedzieć? A może wolisz teraz odmówić zeznań? Nie radzę. Na pewno nie w obecnej sytuacji, gdy komisja parlamentarna chce cię rozerwać na strzępy. Albo kiedy będziesz miał do czynienia z odpowiednio dobraną ławą przysięgłych.

\*

A więc to właśnie przeżywał Alec, myślę sobie. Bronił beznadziejnej sprawy i musiał przyglądać się bezsilnie, jak wszystko rozłazi mu się w rękach. Różnica jest taka, że teraz umiera się tylko ze starości. Z całych sił trzymam się jednego wielkiego kłamstwa, którego nie da się utrzymać – czegoś, czego przysięgłem sobie nigdy nie zdradzić, a co teraz zdradzę każdym wypowiedzianym słowem. Ale Tabitha jest bezlitosna:

– To dla odmiany porozmawiajmy przez chwilę o uczuciach. Możemy? Zawsze mi się wydaje, że uczucia ujawniają znacznie więcej niż suche fakty. Co czułeś, kiedy się dowiedziałeś, że nasza biedna Liz wzięła i w jednej chwili spała całą wspaniałą robotę, którą wykonał Alec? I przy okazji załatwiła też biednego Fiedlera?

– Nie dowiedziałem się.

– Słucham?

– Nikt nie podniósł słuchawki i nie powiedział: „Słyszałeś, co się stało na procesie?”. Najpierw była wiadomość agencji prasowej z NRD. Zdemaskowanie zdrajcy. Czyli upadek Fiedlera. Całkowita rehabilitacja wysokiego urzędnika aparatu bezpieczeństwa. Czyli zwycięstwo Mundta. Potem dramatyczna ucieczka więźniów i ich poszukiwania w całym kraju. A potem...

– A potem pewnie strzelanina pod murem?

– George tam był. To George wszystko widział. Nie ja.

– Ale jednak: co wtedy czułeś? Siedziałeś tutaj, w tym pokoju, nie wiem, albo chodziłeś tam i z powrotem, wszystko jedno, a jedna po drugiej napływały coraz gorsze wiadomości. Najpierw jedna, potem kolejna... I jeszcze jedna, i jeszcze...

– A co miałem zrobić? Zamówić szampana? – urywam. Opanowuję się. – Wiem, co sobie pomyślałam. Chryste Panie, biedna dziewczyna. Wplątana w to wszystko. Z emigranckiej rodziny. Zakochana po uszy w Alecu. Nie chciała nikomu zaszkodzić. To straszne, że musiała zrobić coś takiego.

– Musiała? Chcesz powiedzieć, że zamierzała zeznawać przed trybunałem? Ratować hitlerowca kosztem Żyda? Przecież to kompletnie bez sensu! Kto jej kazał?

– Kurwa mać, nikt jej nie kazał!

– Biedaczka nawet nie wiedziała, dlaczego ją zaciągnęli przed trybunał. Ona przyjechała do enerdowskiego rajy na wymianę międzypartyjną, a tu nagle zeznaje przeciwko swojemu kochankowi przed sądem kapturowym. Co czułeś, kiedy się o tym dowiedziałeś? Co czułeś? I potem, jak już się dowiedziałeś, że rozwalili ich oboje pod murem, rzekomo podczas próby ucieczki? Musiałeś być wstrząśnięty. Zrozpaczony. Tak?

– No pewnie.

– Nie tylko ty, wszyscy inni też?

- Też.
- Nawet Kontroler?
- Wybacz, nie jestem ekspertem od uczuć Kontrolera.  
Powrócił smutny uśmiech.
- A twój wujek George?
- Co George?
- Jak on to przyjął?
- Nie wiem.
- Dlaczego? – Ostro.
- George zniknął. Pojechał sam do Kornwalii.
- Po co?
- Pewnie po to, żeby sobie pochodzić. Zawsze tam jeździ.
- Na jak długo pojechał?
- Na kilka dni. Może na tydzień.
- A jak wrócił, to był odmieniony?
- George się nie zmienia. On się po prostu uspokaja.
- I uspokoił się?
- Nie rozmawiał na ten temat.

Zastanowiła się nad tym, ale wciąż trzymała się tematu.

- I nigdzie żadnych oznak triumfu? Choćby najmniejszych? – podjęła po chwili namysłu.
- Na drugim froncie? Operacyjnym? Nic w stylu... jak by to powiedzieć: „No cóż, są ofiary, tragiczna sprawa, okropność, ale mimo wszystko misja się powiodła”? Nie zauważyłeś nic takiego?

Nic się nie zmieniło. Ani jej łagodny ton, ani śliczny uśmiech. Wręcz przeciwnie, zachowywała się jakby jeszcze milej.

- Więc zapytam tak: kiedy się dowiedziałeś, kiedy wiedziałeś na pewno, że triumfalna rehabilitacja Mundta wcale nie była taką straszną wpadką, jak się z początku wydawało, tylko w rzeczywistości olbrzymim sukcesem naszego wywiadu? I że jego katalizatorem była Liz Gold, bez której nic z tego by nie wyszło? To podstawowy element twojej obrony. Jaki miałeś zamiar, ile wiedziałeś, do jakiego stopnia w tym wszystkim uczestniczyłeś? Każda z tych rzeczy może cię uratować lub zgubić.

Chwila ciszy dla uczczenia zmarłych. Przerywa ją Tabitha rzuconym od niechcienia pytaniem:

- Wiesz, co mi się wczoraj śniło?
- A skąd mam wiedzieć, do diabła?

– Analizowałam całą sprawę i brnęłam przez ten tasiemcowy raport, który Smiley kazał ci przygotować, a którego potem postanowił nie rozpowszechniać. I zaczęłam się zastanawiać nad tym dziwnym ornitologiem ze Szwajcarii, który okazał się utajnionym pracownikiem służby bezpieczeństwa. I pomyślałam sobie: dlaczego właściwie Smiley nie chciał, żeby twój raport poszedł w obieg? Więc pogrzebałam w szpargałach jeszcze trochę, powęszyłam, gdzie mi pozwolili węszyć, i za cholere nie udało mi się znaleźć najmniejszej wzmianki o tym, by wtedy ktokolwiek sprawdzał stan zabezpieczenia Obozu numer cztery. Ani słowa o tym, że jakiś nadgorliwy utajniony pracownik poturbował ochronę. Nie trzeba być

Duchem Świętym, żeby domyślić się reszty. Nie istnieje akt zgonu „Tulipan”. W porządku: wiemy, że biedaczka nie przyjechała do Anglii legalnie. No cóż, niewielu lekarzy lubi się podpisywać pod lipnym aktem zgonu. Nawet wśród tych, którzy pracują dla Cyrku.

Zrobiłem groźną minę, popatrzyłem przed siebie i próbowałem udawać, że mi się wydaje, że zwariowała.

– I teraz myślę, że było tak: Mundt przyjechał zamordować „Tulipan”. Zamordował, ale Pan Bóg nie był litościwy, więc go złapali. George złożył mu propozycję nie do odrzucenia. Szpieguj dla nas, bo jak nie, to będzie źle. Więc Mundt szpiegował. Istny róg obfitości. I nagle to wszystko staje pod znakiem zapytania, bo wygląda na to, że Fiedler go dopadnie. Wtedy Kontroler wpada na szatański pomysł. George’owi mogło się to nie podobać, ale George zawsze stawiał obowiązek na pierwszym miejscu. W końcu nikt nie przypuszczał, że Liz i Alec zostaną zastrzeleni. Ten drobiazg pewnie wymyślił Mundt. Jeśli załatwi się tych, co może wiedzą za dużo, będzie mógł spać dużo spokojniej. Tego nawet Kontroler nie przewidział. Wtedy twój George poszedł prosto na emeryturę i poprzysiągł sobie już nigdy nie szpiegować. I właśnie za to go wszyscy kochamy, tylko że długo nie wytrzymał w tym zamiarze. Wrócił, bo ktoś musiał przyskrzynić Billa Haydona, co mu się świetnie udało, i za to mu chwala. A ty cały czas byłeś po jego stronie, i bardzo ładnie.

Nic mi nie przychodziło do głowy, więc nic nie powiedziałem.

– I teraz muszę znowu rozdrapywać stare rany. Jak tylko trybunał ludowy załatwił sprawę, Hans-Dieter Mundt pojechał z wizytą roboczą do Moskwy i wszelki śluch po nim zaginął. Żegnaj, nadziejo, że kiedykolwiek uda się go wkłęcić do moskiewskiego Centrum, i że nam kiedyś powie, kto z Cyrku był zdrajcą. Zapewne Bill Haydon był po prostu szybszy. Możemy jeszcze trochę porozmawiać o tobie?

Nie mogłem jej w tym przeszkodzić, więc nawet się nie starałem.

– Jeśli będę mogła dowodzić, że „Fuks” nie był największą wpadką wszech czasów, tylko szatańsko chytrą operacją, która przynosiła fantastyczne wyniki wywiadowcze, a załamała się dopiero na samym końcu, nie mam właściwie żadnych wątpliwości, że cała komisja parlamentarna zawyje z zachwytem. A że Liz i Alec... No tak, tragiczna sprawa, ale w ówczesnej sytuacji politycznej cel przecież uświęcał środki. Podoba ci się? Nie podoba. Ojej. To tylko taka propozycja. Z tym że raczej nie mamy żadnej innej linii obrony. Nie mamy i koniec.

Już wcześniej zaczęła się zbierać: okulary, rozpinany sweterek, chusteczki higieniczne, raporty Special Branch, raporty Stasi...

– Coś mówiłeś, kochany?

Mówiłem? W sumie oboje nie wiemy, czy coś mówiłem. Nagle postanowiła przerwać pakowanie. Trzyma aktówkę na kolanach, czeka, bym się odezwał. Obrączkę ma na serdecznym palcu prawej ręki. Dziwne, że przedtem tego nie zauważyłem. W życiu bym nie pomyślał, że może być wdową. Ciekawe, kim był jej mąż.

– Słuchaj...

– Słucham, kochany.

– Jeżeli na chwilę przyjmiemy twoją bezsensowną hipotezę...

– ...że ta szatańsko chytra operacja rzeczywiście się udała?

– Czy jeżeli ją przyjmiemy, ale mówię tylko teoretycznie, bo wcale jej nie przyjmuję, to

czy ty serio twierdzisz, że gdyby kiedyś jakimś cudem pojawiły się dowody na papierze...

– Tak, tak. Wiemy, że się nie pojawią, ale gdyby się pojawiły, to musiałyby być niezbite...

– Czy chcesz mi powiedzieć, że w takim kompletnie nieprawdopodobnym przypadku wszystkie zarzuty, proces, całe to polowanie na czarownice, na mnie, na Smileya, na całą Firmę... że to wszystko by się skończyło?

– Jak mi znajdziesz te dowody, to ja ci znajdę sędziego. Ale sępy już się zbierają. Jak nie przyjdiesz na przesłuchanie, komisja będzie się spodziewała najgorszego i zrobi, co zrobi. Prosiłam Bunny'ego o twój paszport. Świnia, nie chce oddać. Ale zgodził się przedłużyć ci pobyt na Dolphin Square na tych samych co przedtem sknerskich warunkach. Do wójta nie pójdziemy. Pasuje ci znowu się spotkać jutro rano?

– Ale czy może być trochę później? O dziesiątej?

– Będę co do minutki – powiedziała, więc odparłem, że ja też.

## 13

Jak prawda się rypnie, nie ma co zgrywać bohatera, trzeba spieprzać. Ale ja specjalnie się pilnowałem, żeby do Dolphin Square dotrzeć powolutku i powolutku wejść do domu, w którym – jak teraz wiedziałem – miałem już nigdy nie zasnąć. Zaciągnąć zasłony, z westchnieniem opaść na fotel przed telewizorem, zamknąć drzwi do sypialni. Wyciągnąć francuski paszport z martwej skrytki za instrukcją przeciwpożarową. Ucieczka ma swoje uspokajające rytuały. Przebrać się w czyste rzeczy. Maszynka do golenia idzie do kieszeni płaszcza, resztę zostawić w spokoju. Zejść na dół, iść do restauracji z grillem, zamówić skromny posiłek, wyciągnąć książkę jak ktoś, kto wie, że wieczór spędzi samotnie. Poflirtować z węgierską kelnerką, na wypadek gdyby też była na usługach. Wie pani, ja mieszkam we Francji, ale musiałem przyjechać do Londynu użerać się z prawnikami, wyobraża sobie pani większy koszmar, cha, cha, cha! Zapłacić rachunek. Powolnym krokiem wyjść na skwerek między siedzące parami na ławeczkach emerytki w białych czapczkach i spódnicach krykietowych, porozkoszować się niezwykłym o tej porze roku ciepłym słońcem. Potem razem z innymi spacerowiczami ruszyć na bulwary. I już nigdy nie wrócić.

Tylko że nie wykonuję tych dwóch ostatnich punktów programu, bo dostrzegam Christopa, syna Aleca, w tym jego długim czarnym płaszczu i kapeluszu. Siedzi samotnie niespełna dwadzieścia kroków dalej, rozparty na ławce, czule obejmując jej oparcie ramieniem, z jedną wielką nogą założoną na drugą i trzymając prawą rękę – jak mi się zdaje, ostentacyjnie – w prawej kieszeni płaszcza. Patrzy wprost na mnie i uśmiecha się, i to nowość, bo nie widziałem ani razu, by się uśmiechał, czy to jako dziecko na meczu, czy to jako dorosły, kiedy jadł stek z frytkami. Może zresztą dla niego to też coś nowego, bo uśmiechowi towarzyszy uderzająca bladość twarzy podkreślona jeszcze czernią kapelusza, i ten jego uśmiech zachowuje się trochę jak żarówka, która niedługo się przepali, ale jeszcze nie wiadomo kiedy.

Ja też, jak on, nie bardzo wiem, co zrobić. Ogarnia mnie znużenie, czyli chyba strach. Mam go zignorować? Wesoło pomachać mu ręką i kontynuować ucieczkę zgodnie z planem? Pójdzie za mną. Narobi hałasu. On też ma swój plan – tylko jaki?

Błady drżący uśmiech to gaśnie, to znów się pojawia. Christoph coś ma z dolną szczęką, jakiś tik, którego nie jest w stanie opanować. A może złamał rękę? I dlatego tak dziwnie trzyma ją w kieszeni płaszcza? Nie robi żadnego wysiłku, by wstać. Ruszam w jego kierunku, pilnie obserwowany przez starsze panie w białych czapczkach. Na całym skwerku są tylko dwaj mężczyźni – my – a Christoph jeszcze bardziej rzuca się w oczy swymi olbrzymimi rozmiarami i zdaje się całkowicie dominować na scenie. Starsze panie już się zastanawiają, czego ja od niego chcę. Ja zresztą też. Zatrzymuję się przed nim. Nie wykonuje żadnego ruchu. Jakby był jednym z tych siedzących pomników rozsianych po całym Londynie – tu Churchill, tam Roosevelt... Ta sama wilgotna cera, ten sam

nieprzekonujący uśmiech.

Ale pomnik jednak ożywa, inaczej niż inne pomniki. Prostuje nogi, a potem z uniesionym prawym barkiem i ręką wciąż głęboko w kieszeni przesuwa wielkie cielsko, aż po lewej stronie ławki robi się miejsce dla mnie. I rzeczywiście jest chorobliwie blady, szczęka mu drży, wargi to się uśmiechają, to wykrzywiają w grymasie, oczy pałają.

– Kto ci powiedział, gdzie mnie znaleźć? – pytam go najpogodniej, jak potrafię, bo właśnie przyszedł mi do głowy głupi pomysł, że to może Bunny albo Laura, albo wręcz Tabitha nasłali go na mnie, żeby wynegocjować jakiś inny zgniły kompromis między Cyrkiem a powodami.

– Przypomniałem sobie. – Uśmiech rozszerza się teraz z dumą i rozmarzeniem. – Wiesz, ja mam genialną pamięć. Najlepszy mózg w całych Niemczech. Poszliśmy na pyszną kolację, to mi powiedziałaś, żebym się odpieprzył. No dobra, wcale nie powiedziałaś. Sam sobie poszedłem. Posiedziałem z kumplami. Popaliłem, poćpałem, posłuchałem. Wiesz, kogo słuchałem? No, zgadnij!

Kręcę głową. I też się uśmiecham.

– Tatusia. Mojego własnego tatusia. Jego głosu. Na spacerunku. Akurat zaliczyłem odsiadkę, on nadrabia zaległości, udaje ojca, na którego zawsze można liczyć. Nigdy nie mogłem na niego liczyć. No więc opowiada mi o sobie, zabawia mnie. Opowiada o tych wszystkich latach, kiedy go nie było, żebyśmy mogli udawać, że był. Opowiada, jak to było być szpionem. Jacy byliście wszyscy wyjątkowi, jak się poświęcaliście. I jak potrafiliście nieźle narozrabiać. I wiesz co? Między innymi opowiada mi o Domu Szpiegów. Niby żart taki. Że Cyrk miał po całym mieście takie meliny i że nazywały się Domy Szpiegów. Jesteśmy szpiedzy, więc mamy swoje domy. Domy Szpiegów. – Już nie uśmiecha się, tylko krzywi z oburzeniem. – Czy ty wiesz, kurwa, że twoja zaszracona firma cię tam zameldowała? I że dalej jesteś tam zameldowany? Pod swoim własnym nazwiskiem? P. Guillam, jak w pysk. I to ma być tajna służba? Wiedziałaś?

Nie. Nie wiedziałem. Ale dziwię się znacznie mniej, niż można by się spodziewać, że firma od pół wieku nie zmieniła swoich zwyczajów.

– No to może powiesz mi wreszcie, po co tu jesteś? – pytam go wytrącony z równowagi jego uśmiechem, którego najwyraźniej nie może się pozbyć.

– Żeby cię zabić, Pierrot – wyjaśnia, ani na jotę nie zmieniając tonu. – Żeby rozwalić ci łeb. Raz-dwa. Już nie żyjesz.

– Tu? – pytam. – Przy tych wszystkich ludziach? Jak?

Pistoletem samopowtarzalnym Walther P38. Tym, który wyciągnął z prawej kieszeni płaszcza i którym teraz wymachuje, w ogóle się nie przejmując, że ktoś go zobaczy, i dopiero kiedy jest pewny, że miałem dość czasu, by popodziwiać tę piękną broń, wsuwa ją z powrotem do kieszeni, nie wypuszczając z dłoni, i zgodnie z piękną tradycją filmów gangsterskich kieruje w moją stronę lufę pod fałdami płaszcza. Już nigdy się nie dowiem, co o tym całym przedstawieniu myślą panie w białych czapeczkach, jeśli w ogóle coś sobie o tym myślą. Może kręcimy film? A może jesteśmy głupkowatymi dorosłymi chłopcami, którzy dalej bawią się zabawką pistoletem?

– O Boziu! – wydaję z siebie okrzyk, którego chyba jeszcze nigdy w życiu nie wydałem. – A skąd ty to masz?



Moje pytanie go złości. Uśmiech znika.

– To ty myślisz, że ja nie znam gości w tej zapyziałej dziurze? Gości, co mi pożyczą gnata, i to raz-dwa? – I palcami wolnej dłoni pstryka mi głośno tuż przed nosem.

Na dźwięk słowa „pożyczą” instynktownie rozglądnąłem się dookoła w poszukiwaniu właściciela broni, bo miałem wrażenie, że raczej nie chodzi o wypożyczenie na dłuższy czas – i dzięki temu mój wzrok zatrzymał się na limuzynie Volvo z licznymi wielobarwnymi podmalowaniami na karoserii, zaparkowanej na podwójnej żółtej linii dokładnie naprzeciw bramy od strony bulwaru, i na samotnym łysym kierowcy samochodu wpatrzonym wprost przed siebie przez przednią szybę.

– A masz jakiś szczególny powód, żeby mnie zabić, Christoph? – pytam go, siląc się, by za wszelką cenę utrzymać ton spokojnego pytania. – Przekazałem górze twoją propozycję, jeśli o to ci chodzi – dodaję kłamliwie. – Zastanawiają się nad nią. Chyba zdajesz sobie sprawę, że liczykrupy Jej Królewskiej Mości nie wypłacają miliona euro ot tak, od ręki.

– W jego całym zasranym życiu byłem najlepszym, co mu się przydarzyło. Tak mi powiedział. – Mówił cicho, jakby z trudem cedził słowa przez zaciśnięte zęby.

– Zawsze wiedziałem, że cię kocha – odpowiadam.

– Zabiłeś go. Okłamałeś tatę i zabiłeś go. Swojego kumpla, mojego tatę.

– Christoph, to nieprawda. Twojego taty i Liz Gold nie zabiłem ani ja, ani nikt z Cyrku. Zabił ich Hans-Dieter Mundt ze Stasi.

– Wy wszyscy jesteście chorzy. Wy, szpiedzy. Leczący syfa malarią. Bawicie się w wojnę, wydaje wam się, że jesteście najlepsi na świecie. Wy jesteście dla mnie niczym, słyszysz? Chowacie się przed innymi, bo się wszystkich boicie. On też taki był. Sam mi powiedział.

– Powiedział ci? Kiedy?

– A myślisz, że kiedy, kurwa? W pierdłu! W moim pierwszym pierdłu. W pierdłu dla dzieci. Zboki, ćpuni i ja. „Ktoś do ciebie, Christoph. Mówi, że jest twoim najlepszym kumplem”. Skuli mnie i prowadzą do niego. Tata! Posłuchaj, mówi mi. Nic z ciebie nie będzie i ani ja, ani nikt nic tu nie poradzi. Ale pamiętaj, kurwa, że Alec Leamas kocha swojego syna... Mówiłeś coś?

– Nie.

– No to wstawaj, kurwa. Idziemy. Tam. Przez bramę. Za innymi. Będziesz kombinował, to cię kropnę.

Wstaję. Idę. Przez bramę. Idzie za mną, prawa ręka ciągle w kieszeni, lufa wciąż sterczy ku mnie przez materiał. W takiej sytuacji powinno się zrobić różne rzeczy, na przykład błyskawicznie obrócić się i przywalić mu łokciem w twarz, zanim zdąży przycisnąć spust. Ćwiczyliśmy to w Sarratt z pistoletami na wodę. Wtedy woda całkiem często rzeczywiście trafiała tylko w matę. Ale tym razem pistolet nie jest na wodę, a ja nie jestem w Sarratt. Christoph idzie półtora metra za mną, dokładnie tak, jak wypada rasowemu zabójcy.

Minęliśmy bramę. Łysy w pstrokatym volvo ciągle trzyma ręce na kierownicy i choć idziemy wprost na niego, nie zwraca na nas najmniejszej uwagi, tak pilnie wpatruje się przed siebie. Czy Christoph najpierw zabierze mnie na przejażdżkę, a dopiero potem skróci moje męki? Jeśli tak, to największe szanse, by mu się wyrwać, mam w chwili, kiedy będzie mnie pakował do volva. Raz, dawno temu, zrobiłem coś takiego. Złamałem facetowi rękę

drzwiami, kiedy usiłował wepchnąć mnie do auta.

Mijają nas jadące w obie strony inne samochody. Musimy odczekać na przerwę w ich sznurze, nim przejdziemy przez jezdnię, więc zastanawiam się, czy uda mi się zacząć z nim szamotać i w najgorszym razie pchnąć go pod jakieś pędzące auto. Myślę o tym dalej, choć jesteśmy już po drugiej stronie ulicy. Przeszliśmy obok volva, a Christoph i łysy kierowca nie zamienili ani słowa, ani spojrzenia, więc może się mylę, może nie mają ze sobą nic wspólnego, a gość, który pożyczył Christophowi gnata, siedzi sobie gdzieś w Hackney i rżnie w karciochy z innymi bandziorami.

Jesteśmy już na bulwarze. Jest tam półtorametrowy ceglany murek. Stoję twarzą do niego, z widokiem na rzekę, a za nią na światła Lambeth, bo już zapada zmrok. Jest jeszcze zupełnie ciepło jak na tę porę dnia, wieje lekka przyjemna bryza, rzeką płyną całkiem spore statki, a ja już opieram się dłońmi o murek, stoję plecami do Christopha, mam nadzieję, że podejdzie na tyle blisko, bym mógł spróbować tego samego numeru co z pistoletami na wodę, ale nie czuję jego obecności i nie słyszę ani słowa.

Trzymając ręce nieco odstawione od tułowia, żeby je dobrze widział, odwracam się powoli. Stoi jakieś dwa metry ode mnie, rękę wciąż ma w kieszeni. Oddycha wielkimi haustami, pobladła twarz jest tak mokra, że lśni w półmroku. Mijają nas ludzie, ale nie przechodzą między nami – coś im mówi, że lepiej obejść nas dookoła. Tym czymś są gabaryty Christopha, jego płaszcz i kapelusz. Czy znowu wymachuje bronią czy trzyma ją w kieszeni? Czy ciągle pozuje na gangstera? Trochę poniewczasie zaczynam się domyślać, że tak ubiera się ktoś, kto chce, by się go bano. A ten, kto chce, by się go bano, przede wszystkim boi się siebie. I może dlatego wzbiera we mnie odwaga.

– No, Christoph, do roboty – mówię. Obok nas przemyka para w średnim wieku. – Strzelaj, jeśli rzeczywiście po to tu jesteś. Ktoś w moim wieku ma gdzieś, czy pożyje dłużej jeszcze rok. To dobra, czysta śmierć. Strzelaj. Będiesz miał powód do dumy, spędzając resztę życia w więzieniu. Widziałeś starych ludzi, którzy umierają w więzieniu. Możesz zostać jednym z nich.

Teraz czuję drżenie mięśni na plecach, pulsowanie w uszach, nie potrafię powiedzieć, czy to efekt silnika przepływającej barki czy czegoś w mojej głowie. W ustach zaschło mi od tego gadania i chyba na chwilę przestałem widzieć, bo dopiero po chwili dotarło do mnie, że Christoph stoi obok, przechyla się przez murek, wymiotuje i łka z żalu i ze złości.

Otoczyłem go ramieniem, delikatnie wyciągnąłem mu prawą dłoń z kieszeni. Kiedy się pojawiła, już bez pistoletu, sam wyjąłem jego broń i odrzuciłem ją jak najdalej w kierunku rzeki. Nawet nie usłyszałem plusku. Ciągle trzymał ręce na murku, ale teraz wtulił w nie głowę. Pogrzebałem w jego drugiej kieszeni, na wypadek gdyby miał drugi magazynek, by czuć się pewniej, i rzeczywiście miał. Magazynek wyrzuciłem w ślad za pistoletem i wtedy pojawił się łysy z volva. W porównaniu z Christophem wydawał się maleńki i wręcz wychudzony; chwycił go wpół od tyłu i szarpnął, lecz bez skutku.

We dwóch jakoś wreszcie oderwaliśmy olbrzyma od murku i wspólnymi siłami zaciągnęliśmy go aż do samochodu. Zaczął wyć, jeszcze nim wsiadł. Skoczyłem, by otworzyć drzwi obok kierowcy, ale mój sprzymierzeniec już wcześniej otworzył tylne. Jakoś udało się upchnąć Christopha do środka i zatrzasnąć za nim drzwi. Wycie nieco przycichło, trwało jednak nadal. Volvo odjechało. Zostałem na chodniku sam. Powoli odzyskałem

świadomość przejeżdżających obok aut, na nowo usłyszałem dźwięki. Byłem żywy. Przywołałem taksówkę i poprosiłem kierowcę, żeby mnie zawiózł do British Museum.

\*

Najpierw brukowana uliczka. Potem prywatny parking śmierdzący gnijącymi śmieciami. Wreszcie sześć furtek, nasza była na końcu po prawej. Jeżeli w głowie wciąż słyszałem wycie Christopha, to wmawiałem sobie, że go nie słyszę. Za to całkiem wyraźnie usłyszałem, kiedy zaskrzypiał zawias u furtki. Zawsze skrzypiał, niezależnie od tego, ile razy go oliwiliśmy. Kiedy miał się pojawić Kontroler, zostawialiśmy furtkę otwartą, aby nie wysłuchiwać utyskiwań starego zrzędy, że znowu obwieszcza się jego przyjście biciem w tarabany. Chodnik z piaskowca. Płyty kładliśmy we dwóch z Mendelem. W szparach sadziliśmy trawę. Nasz domek dla ptaków. Zapraszamy wszystkie ptaszki. Trzy schodki do drzwi kuchennych. Przez okno patrzy na mnie nieruchomy cień Millie McCraig. Jej wzniesiona dłoń oznacza, że nie wolno mi wejść do środka.

Stajemy w prowizorycznej szopie w ogrodzie, dobudowanej do zewnętrznej ściany domu na kosze na śmieci i resztki damki, zakrytej pokrowcem i odartej z kół w czasie rewizji. Mówimy szeptem. Może zawsze mówimy szeptem. Z okna kuchni patrzy na nas tajny kot.

– Peter, nie mam pojęcia, gdzie co wsadzili – zwierza się. – Telefon jest trefny. Zresztą zawsze tak było. Ściany u mnie też trefne. Nie mam pojęcia, czego teraz używają, gdzie co utykają.

– Słyszałaś, co Tabitha mówiła mi o dowodach?

– Częściowo. Ale wystarczyło.

– Masz ciągle wszystko, co zostawialiśmy u ciebie? Oryginały zeznań, korespondencję, wszystko, co George kazał ci schować?

– Wszystko sama mikropunktowałam. I ukryłam. Oczywiście.

– Gdzie?

– U siebie w ogródku. W domku dla ptaków. Wszystko w kasetkach, owinięte w ceratę. I w tym. – „To” oznacza pozostałości po rowerze. – Oni teraz w ogóle nie wiedzą, gdzie szukać, Peter. Ja nie wiem, jak ich szkoła – dodaje z oburzeniem.

– A masz też rozmowę George’a z „Fuksem” w Obozie numer cztery? Jak go werbował? Jak się dogadali?

– Mam. W mojej kolekcji starych płyt z muzyką klasyczną. Oliver Mendel mi je nagrał. Od czasu do czasu ich słucham. Tylko po to, żeby usłyszeć głos George’a. Ciągle tak lubię słuchać jego głosu. A ty w ogóle się ożeniłeś, Peter?

– Mam tylko gospodarstwo i zwierzęta. A kogo ty masz, Millie?

– Wspomnienia. I Pana Boga. Kazali mi się wynieść do poniedziałku. Nie każę im czekać.

– A gdzie się podziejesz?

– Umrę. Tak jak ty. Mam siostrę w Aberdeen. Nie oddam ci ich, Peter, jeśli po to tu jesteś.

– Nawet dla dobra sprawy?

– Nie ma żadnej sprawy, dopóki George nie powie, że jest. Jak dawniej.

– Gdzie on jest?

– Nie wiem. Nawet gdybym wiedziała, też bym ci nie powiedziała. Wiem na pewno, że żyje. W każde urodziny i na każde święta przychodzi kartka. Nigdy nie zapomina. Zawsze do mojej siostry, nigdy tu, wiadomo. Jak dawniej.

– Do kogo mam się zwrócić, gdybym jednak musiał go znaleźć? Na pewno jest ktoś taki, Millie. I ty wiesz kto.

– Może Jim. Jeśli ci powie.

– Można do niego zatelefonować? Znasz jego numer?

– Jim nie lubi telefonów. Przynajmniej od jakiegoś czasu.

– Ale ciągle jest tam, gdzie był?

– Tak mi się zdaje.

I już bez dalszych słów chwytła mnie za ramiona silnymi cienkimi rękoma i obdarza mnie surowym pocałunkiem zaciśniętych warg.

\*

Tego wieczoru dojechałem do Reading. Przenocowałem w hostelu przy stacji, gdzie nikt nie pytał o nazwisko. Jeżeli do tej pory nie połapali się, że zniknąłem z Dolphin Square, pierwszą osobą, która zauważy moje zniknięcie, będzie Tabitha – nie o dziewiątej, tylko o dziesiątej. Jeżeli zrobi się awantura, to nie ma siły, żeby naprawdę rozkręciła się przed dwunastą. Spokojnie zjadłem śniadanie, kupiłem bilet do Exeter i stałem w korytarzu przepełnionego pociągu aż do Taunton. Przez parking przy stacji wydostałem się z miasteczka i trochę się powłóczyłem, żeby doczekać do zmroku. Jima Prideaux nie widziałem od czasu, gdy Kontroler wysłał go do Czechosłowacji ze straceńczą misją, na której zarobił kulkę w plecy i długotrwałą kurację u czeskich oprawców. Obaj byliśmy mieszkańcami: Jim pół Czechem, pół Normandczykiem, ja w połowie Bretończykiem. Ale na tym podobieństwo się kończyło. Jim to przede wszystkim Słowianin. Jako młody chłopiec był łącznikiem i podrzynał niemieckie gardła w służbie czeskiego ruchu oporu. W Cambridge może go wykształcono, ale nie oswojono. Kiedy wstąpił do Cyrku, nawet instruktorzy walki wręcz z Sarratt robili się przy nim bardzo ostrożni.

Do głównej bramy dojechałem taksówką. Zgniłozielony napis głosił: „Teraz przyjmujemy również dziewczęta”. Dziurawy podjazd wił się ku podniszczonemu dworkowi otoczonemu niskimi barakami z prefabrykatów. Omijając dziury, przeszedłem wzdłuż boiska, minąłem halę do krykieta z zapadłym dachem, kilka domków personelu i stadko kudłatych kucyków pasących się w zagrodzie. Obok przejechali dwaj chłopcy na rowerach. Większy miał na plecach futerał na skrzypce, mniejszy – na wiolonczelę. Zamachałem, żeby przystanęli.

– Szukam pana Prideaux – powiedziałem. Spojrzeli po sobie bezradnie. – Podobno tutaj pracuje. Taki stary, kulawy.

– Mieszka w przyczepie tam, w Dołku. Daje korki z francuskiego i trenuje młodszą drużynę rugby.

– Co to jest Dołek?

– Musi pan minąć główny budynek z lewej, potem dalej w dół, aż zobaczy pan starego alvisa. Właściwie to my już jesteśmy spóźnieni...

Poszedłem na lewo. Przez wysokie okna widziałem, jak w białym świetle neonówek

ślęczą przy biurkach mali chłopcy i małe dziewczynki. Dotarłszy do drugiego końca dworku, minąłem całą aleję prowizorycznych budynków lekcyjnych. Dróżka opadała w stronę świerkowego zagajnika. Przed nim zobaczyłem pod plandeką stary samochód, a obok przyczepę kempingową. W środku za firanką paliła się pojedyncza lampa. Już z daleka usłyszałem Mahlera. Zastukałem do drzwi. Gruby głos odpowiedział wściekle:

– Wynoś się, smarkaczu! *Fous-moi la paix!* Sam sobie sprawdź w słowniku!

Podszedłem do zasłoniętego okna i wydobytym z kieszeni długopisem wystukałem swój kod, po czym dałem mu dość czasu, żeby mógł odłożyć broń – jeśli ją teraz miał w ręce – bo z Jimem nigdy nic nie wiadomo.

\*

Na stole stała butelka śliwowicy, już opróżniona do połowy. Jim bez pytania wyciągnął drugą szklankę i wyłączył gramofon. W świetle parafinowej lampy jego pomarszczona twarz wydawała się na stałe wykrzywiona z bólu i ze starości. Wygięte plecy opierały się o strzępy tapicerki. Ludzie, którzy przeszli tortury, są klasą samą w sobie. Jakoś jeszcze można sobie wyobrazić, co przeżyli, ale nie to, co z tego wynieśli.

– Cholerną budę szlag trafił – krzyczy niemal i zaraz wybucha wariackim śmiechem. – Thursgood. Tak się nazywał. Dyrektor. Porządna żona, dwoje dzieci. I nagle okazało się, że pedzio – oświadcza z przesadną drwiną. – Uciekł w nocy ze szkolnym kucharzem. Zabrał całe chesne. Do Nowej Zelandii czy gdzieś tam. Nawet tyle kasy nie zostawił, żeby starczyło na wypłatę dla nauczycieli pod koniec tygodnia. Nie przypuszczałem, że może się zdobyć na coś takiego. No i co dalej? – Chichocze, znów napełniając nam szklanki. – Co dalej? Przecież nie można zostawić dzieci na łodzi w połowie roku szkolnego. Co z egzaminami? Z ligą trampkarzy? Z nagrodami na koniec roku? No, to miałem emeryturę i jeszcze do tego rentę za to, jak mnie tam urządzili. Niektórzy rodzice się dołożyli. George znał jakiegoś bankiera. No, przecież po czymś takim nie wyrzucą mnie na zbity pysk! – Wypił, ale przypatrywał mi się znad szklanki. – Nie przyjechałeś chyba znowu wysłać mnie na śmierć do Czech? Słyszałeś, że znów zaczynają się dogadywać z Moskwą?

– Muszę się skontaktować z George'em – powiedziałem.

Przez chwilę nic się nie działo. Z ciemniejszego za oknem świata dobiegały tylko szelest liści i jęki bydła. Za to tu, w środku, pokrzywione ciało Jima uniosło się nade mną przy ścianie małej przyczepy, a jego słowiańskie spojrzenie wbiło się we mnie spod krzaczastych czarnych brwi.

– George był zawsze dla mnie bardzo dobry, wiesz? Nie każdy ma ochotę wstawiać się za agentem kaleką. Wcale nie jestem pewny, czy on musi widzieć się z tobą. Trzeba go zapytać.

– Jak się z nim skontaktujesz?

– George wcale nie miał szpiegowskiej gry we krwi. Nie wiem, jak trafił do zawodu. Zawsze czuł się za wszystko odpowiedzialny. W naszej branży tak nie można. Nie można cierpieć za innych, nie tylko za siebie. Nikt tego nie wytrzyma. Według mnie ta jego cholerna żona zalaża mu nieźle za skórę. Gdzie ona miała rozum? – zapytał i znów zamilkł, krzywiąc się z niesmakiem i oczekując, że go oświecę.

W końcu Jim nigdy nie przepadał za kobietami, a w każdej odpowiedzi, którą mogłem mu

dać, musiałyby znaleźć się wzmianka o jego nemezis i kochanku Billu Haydonie, który zwerbował go do Cyrku, zdradził go swym moskiewskim mocodawcom i spał z żoną Smileya dla zatarcia śladów.

– Wyobraź sobie, że najbardziej gryzł się z powodu Karli. Też sobie wybrał przedmiot współczucia! – skarżył się Jim ciągle w imieniu Smileya. – Tego chytrego sukinsyna z moskiewskiego Centrum, który tylu agentów zwerbował przeciwko nam!

Powinien jeszcze dodać: z których najważniejszym był Bill Haydon. Ale do tego musiałyby wspomnieć o kimś, komu podobno skręcił kark gołymi rękami, gdy człowiek ten czekał w Sarratt na wymianę za naszych agentów przetrzymywanych w Moskwie.

– Najpierw właśnie George namówił Karłę, żeby uciekł na Zachód. Znalazł jego czuły punkt, przygwoździł go, chwala mu. Wszystko z niego wyciągnął. Załatwił mu nowe nazwisko i pracę gdzieś w Ameryce Południowej, żeby uczył Latynosów rosyjskiego. George dał mu nowe życie, o wszystko się wystarał. A rok później skubaniec wziął i się zastrzelił. George’owi serce omal nie pękło. Jak to, do cholery! Mówię mu: coś ty, George? Karla się zastrzelił? To krzyżyk na drogę! Ale George zawsze tak miał: wszystko widział z jednej i z drugiej strony. Zamęczał się. – Mruknął z dezaprobatą i znowu dołał śliwowicy. – Czy ciebie przypadkiem nie szukają? – zapytał.

– Szukają.

– Zwiewasz do Francji?

– Tak.

– Na jakim paszporcie?

– Brytyjskim.

– Poszedł już za tobą list gończy?

– Nie wiem. Mam nadzieję, że nie.

– To najlepiej przez Southampton. Nie rzucaj się w oczy, płyn w południe, wtedy na promie jest tłok.

– Dzięki. Tak właśnie planowałem.

– Ale chyba nie chodzi o „Tulipan”, co? Chyba nie odgrzebujesz tej starej sprawy? – Zacisnął pięść i przejechał nią wzdłuż ust, jakby chciał w ten sposób odgonić od siebie nieprzyjemne wspomnienia.

– Chodzi o całą operację „Fuks” – powiedziałem. – Powstała cholerna komisja parlamentarna, dobiera się Cyrkowi do skóry. Nie mogą znaleźć George’a, więc czarny charakter zrobili ze mnie.

Jeszcze nie skończyłem mówić, gdy rąbnął pięścią w rozdzielający nas stół, aż zadzwoniły szklanki.

– A co im George zawinił, kurwa mać?! Ją zabił ten skurwiel Mundt! Zabił ich oboje! Aleca i dziewczynę!

– No tak, Jim, ale coś trzeba powiedzieć w sądzie. Chcą mi się dobrać do skóry. Pewnie tobie też się dobiorą, jak coś na ciebie znajdą w papierach. Dlatego tak bardzo potrzebuję pogadać ze Smileyem. – A gdy wciąż nie odpowiadał, dodałem: – To jak mogę się z nim skontaktować?

– Ty nie możesz.

– A ty?

Znów gniewne milczenie.

– Dzwonię z budki, jeżeli musisz wiedzieć. Nie tu, w okolicy, wykluczone. I nigdy dwa razy z tej samej. I zawsze z góry umawiam się na następne spotkanie.

– Ty z nim czy on z tobą?

– Czasem tak, czasem tak.

– A jego numer telefonu jest za każdym razem ten sam?

– Może.

– Stacjonarny?

– Może.

– Czyli ty wiesz, gdzie go znaleźć, prawda?

Chwycił pierwszy zeszyt ze sterty leżącej przy nim na stole i jednym ruchem wyrwał czystą kartkę. Podałem mu ołówek.

– *Kollegiengebäude drei* – sylabizował, zapisując. – Biblioteka. Kobieta imieniem Friede. Starczy? – I wręczywszy mi kartkę, odchylił się do tyłu i zamknął oczy, czekając, żebym zostawił go w spokoju.

\*

Wcale nie zamierzałem płynąć w południe zatłoczonym promem z Southampton. Wcale nie używałem brytyjskiego paszportu. Nie chciałem Jima okłamywać, ale z nim naprawdę nigdy nic nie wiadomo.

Porannym lotem z Bristolu doleciałem na Le Bourget. Gdy szedłem po schodkach, opadły mnie wspomnienia o „Tulipan”. Tu ostatni raz widziałem cię żywą. Tu ci obiecałem, że wkrótce zobaczysz się z Gustavem. Tutaj modliłem się, żebyś odwróciła się do mnie, ale się nie odwróciłaś.

W Paryżu wsiadłem do pociągu do Bazylei. Kiedy wysiadałem we Fryburgu, objawiła się we mnie cała złość i wszystkie skrupuły tłumione przez dni przesłuchań. Bo za to, że całe życie upłynęło mi w służbowo narzuconym kłamstwie, kogo mam winić, jeśli nie George’a Smileya? Czy to był mój pomysł, żebym zaprzyjaźnił się z Liz Gold? Czy to był mój pomysł, by okłamywać Aleca – naszego wypchanego barana, jak go nazwała Tabitha – a potem patrzeć, jak wpada w pułapkę, którą George zastawił na Mundta?

Teraz przyszedł czas rozliczeń. Teraz pora odpowiedzieć wprost na trudne pytania. Na przykład: George, czy ty z góry postanowiłeś stłumić we mnie wszystkie ludzkie uczucia, czy ja też byłem tylko przypadkową ofiarą? Albo: A twoje ludzkie uczucia? Dlaczego zawsze musiały grać drugie skrzypce, ustępując jakiejś większej abstrakcyjnej sprawie, której teraz nawet nie umiem nazwać – a może nigdy nie umiałem?

Albo jeszcze inaczej: Jak myślisz, jak bardzo możemy wyzbywać się ludzkich uczuć w imię wolności, nim przestajemy być i ludzcy, i wolni? A może po prostu byliśmy ofiarami tego nieuleczalnego angielskiego nałogu kążącego nam pchać się w światową grę, choć wypadliśmy z niej już bardzo dawno temu?

Biblioteka w *Kollegiengebäude drei*, jak poinformowała mnie uprzejmie, ale i energicznie uczynna recepcjonistka Friede, mieści się w budynku po drugiej stronie dziedzińca. Wchodzi się w tę wielką bramę, potem w prawo. Nie ma napisu „Biblioteka”, bo tak naprawdę to nie

żadna biblioteka, tylko długa zaciszna czytelnia przeznaczona dla przyjezdnych uczonych.  
I bardzo proszę pamiętać o surowym nakazie przestrzegania ciszy.

\*

Nie mam pojęcia, czy Jim jakoś uprzedził George'a o moim przyjeździe, czy też George po prostu mnie wyczuł. Siedział za biurkiem wśród stert papieru, w wykuszu okna, plecami do mnie, zwrócony pod takim kątem, by jak najlepiej wykorzystać dzienne światło i przy okazji rozkoszować się widokiem na okoliczne wzgórza i lasy. O ile mogłem się zorientować, byliśmy sami. Wokół widać było tylko wyłożone boazerią wnęki, biurka i wygodne, ale puste fotele. Podszedłem tak, byśmy mogli się widzieć. A ponieważ George zawsze wyglądał na starszego niż w rzeczywistości, z ulgą stwierdziłem, że nie czeka mnie żadna nieprzyjemna niespodzianka. To wciąż był ten sam George co dawniej, tylko teraz naprawdę miał tyle lat, na ile zawsze wyglądał. Był to jednak George w czerwonym swetrze i jaskrawożółtych sztruksach, co mocno mnie zdumiało, bo dawniej chodził zawsze w źle skrojonych garniturach. I o ile wyraz jego twarzy w spoczynku zachował swój sowi smutek, o tyle smutku nie było w jego powitaniu, na które w nagłym przypływie sił zerwał się od biurka, chwytając oburącz moją dłoń.

– A cóż ty tu czytasz? – pytam z udawanym oburzeniem, lecz półgłosem, ze względu na surowy nakaz przestrzegania ciszy.

– Kochany chłopcze, nawet nie pytaj. Stary sklerotyczny szpieg szuka odwiecznych prawd. Peter, wstydź się, że tak młodo wyglądasz. Pewnie dalej rozrabiasz jak zwykle?

Zbiera z biurka książki i papiery i upycha je do szafki. Z przyzwyczajenia zaczynam mu pomagać.

A ponieważ trudno w takiej sytuacji postawić mu te wszystkie trudne pytania, w zamian pytam, jak się miewa Ann.

– Bardzo dobrze, Peter, dziękuję. Tak. Całkiem dobrze jak na to, że... – Zamyka szafkę i wsuwa klucz do kieszeni. – Od czasu do czasu mnie tu odwiedza. Chodzimy na wycieczki. Po Czarnym Lesie. Nie takie forsowne marsze jak dawniej, ale ciągle to jednak wycieczki.

Nasza przyciszona rozmowa kończy się, bo w czytelni pojawia się starsza pani, która z wysiłkiem odłożywszy wypchaną torbę, kładzie swoje papiery na blacie, nakłada okulary do czytania najpierw na jedno, potem na drugie ucho i z głębokim westchnieniem rozsiada się w swojej wnęcie. Chyba właśnie jej westchnienie sprawia, że ostatecznie porzucam myśl o wszelkich rozliczeniach z George'em.

\*

Siedzieliśmy w spartańskiej kawalerce George'a na wzgórzu z widokiem na miasto. Umie słuchać jak nikt inny. Jego drobne ciało wpada jakby w stan hibernacji. Długie powieki opadają do połowy. Póki nie skończy się do niego mówić, nie krzywi się, nie kiwa głową, nawet nie podnosi brwi. A kiedy się skończy – zresztą zawsze upewnia się, że się skończyło, bo potrafi kilkakrotnie powrócić do tego czy innego szczegółu, który według niego nie został odpowiednio przedstawiony – nadal się nie dziwi, nie osądza, nie aprobejuje, nie gani. I dlatego tym większe było moje zdumienie, że gdy wreszcie dotarłem do końca mojej



przydługiej opowieści – zapadał już zmrok, leżące w dole miasto chowało się już w wieczornej mgle, z której przebijały się tylko pojedyncze światełka – z wielką gwałtownością zasłonił nas kotarami przed całym światem i wpadł w prawdziwą furję, jakiej nigdy dotąd u niego nie widziałem.

– Banda tchórzy! Banda obrzydliwych tchórzy! Peter, to ostatnie świństwo. Mówisz, że ma na imię Karen? Zaraz ją odszukam. Może pozwoli, żebym do niej przyjechał i porozmawiał. Albo jeszcze lepiej, żeby przyleciała tu do mnie na mój koszt, jeśli tylko się zgodzi. A jeżeli Christoph chce ze mną rozmawiać, niech też przyjedzie. – Po nieco denerwującej przerwie ciągnął: – No i Gustav też, oczywiście. Mówisz, że jest już termin pierwszego posiedzenia komisji? Będę zeznawał. Choćby pod przysięgą. Stawię się, by dać świadectwo prawdzie. Wszystko jedno, czy przed komisją czy w sądzie... Nie miałem o tym wszystkim pojęcia – mówił dalej w tym samym gniewie. – Nic nie wiedziałem. Nikt mnie nie szukał, nikt mnie nie informował. Bardzo łatwo mogli do mnie trafić. Nawet tu, gdzie się schowałem. – Ale nie powiedział, przed czym się chował. – „Stajnia”? – oburzał się. – Byłem pewny, że już dawno nie istnieje. Kiedy odchodziłem z Cyrku, wszystkie pełnomocnictwa przekazałem prawnikom. Nie mam pojęcia, co się potem działo. Zdaje się, że nic. Czy wiedziałem o komisji parlamentarnej, o pozwach? Ani słowa, nic. Dlaczego nie wiedziałem? Powiem ci, dlaczego nie wiedziałem. Bo nie chcieli, żebym wiedział. Bo byłem za wysoko jak na ich gust. Oczywiście! Były szef Operacji Tajnych na ławie oskarżonych? Przyznający się do tego, że poświęcił świetnego agenta i niewinną kobietę dla sprawy, o której prawie nikt dziś nie pamięta? I że wszystko osobiście zaplanował i uprawomocnił sam szef Firmy? To bardzo nie na rękę naszym dzisiejszym władcom. Nie wolno szargać dobrego imienia naszej świętej instytucji. Dobry Boże! Nie muszę ci mówić, że natychmiast każę Millie McCraig ujawnić wszystkie dokumenty i w ogóle wszystko, co zostawiliśmy pod jej opieką – mówił dalej już spokojniejszym tonem. – Operacja „Fuks” do dziś mnie prześladowuje. I zawsze będzie mnie prześladować. To wszystko wyłącznie moja wina. Wiedziałem, że Mundt jest brutalny, mimo to go nie doceniłem. Dla niego pokusa pozbycia się wszystkich świadków była po prostu za silna.

– Ależ George – zaproponowałem. – „Fuks” był operacją Kontrolera. Ty tylko w niej uczestniczyłeś.

– Tylko że niestety to jeszcze większy grzech. Peter, zanocujesz u mnie na kanapie?

– Szczerze mówiąc, zamówiłem już hotel w Bazylei. To bardzo blisko. Jutro rano mam pociąg do Paryża.

Kłamałem. Chyba domyślał się, że kłamię.

– W takim razie ostatni pociąg masz o jedenastej dziesiątej. To może chociaż zjemy przedtem kolację?

Z powodów, których sam nie jestem pewien, nie powiedziałem mu o tym, że Christoph próbował mnie zabić, ani o oskarżycielskiej mowie, jaką jego ojciec, Alec, wygłosił przeciwko Firmie, którą przecież równocześnie tak kochał. A mimo to następne słowa George’a zabrzmiały właśnie jak odpowiedź na zarzuty Christoph'a:

– My nie byliśmy bezlitośni, Peter. Nigdy nie byliśmy bezlitośni. Potrafiliśmy się zdobyć na litość. Może niesłusznie, na pewno na próżno. Teraz wiemy, że na próżno. Wtedy nie wiedzieliśmy.

Po raz pierwszy, odkąd go znam, położył mi dłoń na ramieniu – i zaraz ją cofnął, jakby się oparzył.

– Ale ty wiedziałeś, Peter! Oczywiście, że wiedziałeś. Bo masz dobre serce. Właśnie dlatego musiałeś odszukać biednego Gustava. Podziwiam cię za to. Byłeś wierny Gustawowi, byłeś wierny jego biednej matce. Zdaję sobie sprawę, jak straszna była dla ciebie jej strata.

Nie miałem pojęcia, że wiedział o mojej nieudanej próbie ułatwienia Gustawowi życia, ale też za bardzo się nie zdziwiłem. Takiego właśnie George’a pamiętam – wszechwiedzącego o słabości innych, stoicko nieuznającego jej u siebie.

– A jak się ma twoja Catherine?

– Bardzo dobrze, naprawdę. Dziękuję.

– A jej... jej syn, tak?

– Cóрка. Cóрка też świetnie.

Czy zapomniał, że Isabelle to dziewczynka? Czy też ciągle myślał o Gustavie?

\*

Stara gospoda obok katedry. Trofea myśliwskie na czarnej drewnianej boazerii. Zawsze tu stała, a może bomby obróciły ją w proch i pył, a potem całość odtworzono ze starych litografii? Dziś danie dnia to duszona dziczyzna. George gorąco ją poleca, do tego doskonale pasuje wino badeńskie. Tak, George, dalej mieszkam we Francji. Cieszy go to. A czy on już na stałe mieszka we Fryburgu? Waha się. Tak, Peter, a przynajmniej przez jakiś czas. Okaże się. A potem, jakby dopiero teraz o tym pomyślał, choć raczej podejrzewam, że pytanie to od dłuższej chwili wisiało w powietrzu, powiedział:

– Mam wrażenie, Peter, że przyjechałeś tu do mnie z jakimś oskarżeniem. Mam rację? – A że teraz to ja się zawahałem, dodał: – Chodzi o to, jakie rzeczy musieliśmy robić? Czy o to, dlaczego je robiliśmy? – pytał swym najłagodniejszym tonem. – A może, co najważniejsze, dlaczego ja je robiłem? Ty byłeś wiernym żołnierzem. Do ciebie nie należało zadawanie pytania, dlaczego słońce wstaje co dzień.

Powinienem był nie zgodzić się z tym, lecz nie chciałem przerywać mu ciągu myśli.

– Czy dla pokoju na świecie cokolwiek to oznacza? Tak, tak, oczywiście. Nie będzie wojny, tylko taka walka o pokój, że nie zostanie kamień na kamieniu, jak mawiają nasi rosyjscy przyjaciele. – Zamilkł na chwilę, ale zaraz zaczął mówić na nowo i z nowym wigorem: – A może walka w święte imię kapitalizmu? Broń Boże! Chrześcijaństwa? Też broń Boże! – Łyk wina, zadumany uśmiech, nie do mnie jednak, do siebie. – A może w takim razie dla Anglii? – podjął. – Kiedyś na pewno tak, na pewno tak. Ale dla czyjej Anglii? Dla której Anglii? Dla samej samotnej Anglii? Peter, ja jestem Europejczykiem. Jeżeli kiedykolwiek miałem poczucie misji, wykraczające poza walkę z wrogiem, to zawsze chodziło mi tylko o Europę. Jeżeli byłem bezduszny, to dla dobra Europy. Jeżeli kiedykolwiek miałem jakiś nieosiągalny ideał, to chodziło mi o to, żeby wprowadzić Europę z mroku, w którym się pogrążyła, w nowy wiek rozumu. Dalej tak uważam.

Milczenie. Głębsze i dłuższe niż kiedykolwiek, nawet niż w najgorszych czasach. Zwykle tak ruchome płynne rysy twarzy teraz zmrożone w bezruchu, czoło naprzód, opuszczone ciemne powieki. Palec wskazujący w roztargnieniu podnosi się ku mostkowi okularów,

sprawdza, czy są na miejscu. Wreszcie potrząsnął głową, jakby chciał zbudzić się ze złego snu, i się uśmiechnął.

– Wybacz, Peter, to kazanie. Do stacji mamy dziesięć minut piechotą. Pozwolisz, że cię odprowadzę?

Kreślę te słowa, siedząc za biurkiem w swoim gospodarstwie w Les-Deux-Églises. Wydarzenia, o których pisałem, zdarzyły się dawno temu, ale są dziś dla mnie równie rzeczywiste jak doniczka z begoniami na parapecie albo jak ordery ojca lśniące w mahoniowej gablotce. Catherine kupiła sobie komputer. Twierdzi, że robi postępy. Wczorajszej nocy kochaliśmy się, ale nie ją trzymałem w ramionach, tylko „Tulipan”.

Ciągle schodzę nad zatoczkę. Biorę laskę. Chwilami ciężko mi się tam gramoli, lecz jeszcze daję sobie radę. Czasem jest tam przede mną mój przyjaciel Honoré, kuca zawsze na tej samej skałce, trzyma między buciorami wielką flachę cydru. Wiosną pojechaliśmy razem autobusem do Lorient i tak długo mnie męczył, że w końcu poszliśmy na nabrzeże, gdzie kiedyś mama brała mnie, by oglądać statki odpływające na wschód. Dziś szpecą wszystko monstrualne betonowe bastiony zbudowane przez Niemców na schronienie U-Bootów. Z licznych alianckich nalotów żaden nie wyrządził im większej krzywdy, za to miasto zostało zrównane z ziemią. A bastiony stoją dalej, całe sześć pięter w górę, niewzruszone jak piramidy.

Zastanawiałem się, dlaczego Honoré mnie tu przyprowadził, aż do chwili, gdy nagle zatrzymał się i gniewnie wskazał ręką ogromne mury.

– Skurwysyn sprzedawał im beton – powiedział z oburzeniem swym dziwacznym bretońskim głosem.

Jaki skurwysyn? Dopiero po chwili orientuję się, o kogo mu chodzi. Oczywiście o jego nieboszczyka ojca, którego powieszono za kolaborację z Niemcami. Miał nadzieję, że mnie tym zaszokuje, ale cieszy się, że tak się nie stało.

W niedzielę był pierwszy śnieg. Bydło jest przygnębione, bo zamknięte w oborze. Isabelle to już duża panna. Wczoraj, gdy do niej zagadałem, uśmiechnęła się do mnie prosto w twarz. Zaczynamy wierzyć, że kiedyś jednak zacznie mówić. O, proszę, jedzie *Monsieur le Général*, jego żółta furgonetka sunie drogą wijącą się wśród wzgórz. Może ma dla mnie list z Anglii.

# Podziękowania

Serdeczne podziękowania niech przyjmą: Marie Paule i Théo Guillou za to, że tak miło i mądrze nauczyli mnie Bretanii Południowej; Anke Ertner za niezmordowane badania nad Berlinem Wschodnim i Zachodnim lat 60. XX wieku i za jej różne drobne a bezcenne wspomnienia; Jürgen Schwämmle, najlepszy z location managerów, za to, że zaplanował drogę ucieczki z Berlina Wschodniego do Pragi, którą wybrali Alec Leamas i „Tulipan”, i że mnie tamtędy poprowadził; oraz nasz bezbłędny kierowca Darin Damianow, dzięki któremu ta śnieżna przejażdżka była jeszcze przyjemniejsza. Muszę też podziękować Jörgowi Drieselmannowi, Johnowi Steerowi i Steffenowi Leidemu z Muzeum Stasi w Berlinie za to, że oprowadzili mnie po swych mrocznych włościach, i za piękny dar – mój własny petschaft. I wreszcie szczególne podziękowania otrzymuje Philippe Sands, który okiem prawnika i instynktem pisarza prowadził mnie przez zawilóści komisji parlamentarnych i prawa procesowego. Co dobrego to on, co złego to ja.

- 
- <sup>1</sup> Po zwerbowaniu „Głoga” uznaliśmy, że należy zredukować do minimum jego jawne wyjazdy do Berlina Zachodniego. Właśnie dlatego rezydentura w Berlinie dostarczyła mu dokumenty na nazwisko Friedricha Leibacha, pracownika budowlanego zamieszkałego w dzielnicy Lichtenberg w Berlinie Wschodnim, gdzie „Głóg” we własnym zakresie wynajął szopę ogrodową, w której przechowywał rower i ubranie robocze.
  - <sup>2</sup> Inny kryptonim podźródła „Tulipan”.
  - <sup>3</sup> „Teatr” to prototyp amerykańskiej radiostacji wysokich częstotliwości o krótkim zasięgu, skonstruowanej specjalnie dla potrzeb działalności wywiadowczej w Berlinie. W liście do Wydziału Technicznego Leamas opisał ją następująco: „To niewygodne, skomplikowane, przereklamowane pudło, typowa jankeska robota”. Urządzenie zostało wkrótce wycofane z użytku.